

Brylantowy legat

Clark Higgins Carol



calibre 0.9.43

CAROL HIGGINS CLARK

BRYLANTOWY
LEGAT

Przełożyła: ALINA SIEWIOR-KUŚ

Wydanie polskie: 2003

Podziękowania

Cieszę się, mogąc podziękować tym wszystkim, którzy zachęcali mnie i wspierali podczas pisania tej książki.

Specjalne słowa wdzięczności należą się Roz Lippel, mojej przyjaciółce i wydawcy, która prowadziła mnie i udzielała mi życzliwych rad na kolejnych etapach mojej drogi.

Chciałabym również podziękować mojemu agentowi Nickowi Ellisonowi i szefowej działu zagranicznego Alice Pistek. Jestem też ogromnie wdzięczna,

jak zawsze, mojej specjalistce od reklamy, Lisl Cade.

Kieruję też najserdeczniejsze podziękowanie do dyrektora artystycznego, Johna Fulbrooka, zastępczyni kierownika redakcji Gypsy da Silva i korektorki Carol Catt.

Na koniec dziękuję rodzinie i przyjaciołom, a szczególnie mojej matce, Mary Higgins Clark, która doskonale zdaje sobie sprawę z tego, z jaką radością wita się moment, gdy wreszcie można napisać słowa podziękowania.

Wy wszyscy jesteście brylantami bez skazy.

Regan Reilly z niecierpliwością wypatrywała drapaczy chmur na Manhattanie przez okno samolotu, którym od pięciu godzin leciała z Los Angeles. Wspaniale wracać do domu, pomyślała. Chociaż mieszkała w Kalifornii, jej miejsce było tutaj. I to z wielu powodów, z których wcale nie najmniej ważny wydawał się związek Regan z szefem Oddziału do Spraw Specjalnych nowojorskiej policji, Jackiem Reillym, Bogu dzięki żadnym krewnym.

Trzydziestojednoletnia Regan, pracująca jako prywatny detektyw w Kalifornii, zamierzała wziąć udział w konferencji kryminologicznej. Cieszyła się nie tylko na myśl o tym zjeździe, lecz także o spotkaniu z rodzicami, bo organizatorką sympozjum — przy pomocy kilku kolegów po piórze — była jej matka, pisarka Nora Regan Reilly, której naturalnie miał towarzyszyć mąż Luke, właściciel trzech zakładów pogrzebowych w New Jersey. To w czasie poszukiwań ojca, porwanego dla okupu przed Bożym Narodzeniem, Regan poznała Jacka; od trzech miesięcy łączył ich romans na odległość, jako że mieszkali na przeciwległych krańcach kraju.

— Zrobię wszystko dla twojego szczęścia, Regan — żartował nieraz Luke, kiedy cały i zdrowy wrócił do domu. — Nawet dam się porwać.

Tak, jestem szczęśliwa z Jackiem, myślała Regan, gdy samolot, wylądowawszy gładko, skierował się na pas.

Przy odprawie bagażowej z radością zobaczyła, że jej walizki znalazły się pośród pierwszych, które wyrzuciła taśma. Załadowała je na wózek, po czym pobiegła na postój taksówek. Stała tam tylko jedna osoba. Dzisiaj wszystko idzie jak po maśle, uznała Regan, aż za łatwo. Coś musi się stać. Choć był czwartek i piąta po południu taksówka w rekordowym czasie dotarła do miasta.

Kiedy minąwszy hotel Plaza, skręcili ku Central Park South, Regan uśmiechnęła się do siebie. Jestem niemal u celu, pomyślała. Z rodzicami miała spotkać się na koktajlu otwierającym konferencję, później czekała ich wspólna kolacja. Tego wieczoru Jack brał udział w uroczystości rozdania nagród na Long Island, tak więc zobaczą się następnego dnia.

Życie składało się z samych przyjemności.

W mieszkaniu rodziców Regan ogarnęło znajome wrażenie wygody, jak zawsze gdy tylko przekraczała próg domu. Wzięła szybki prysznic, przebrała się w czarną sukienkę, nocny uniform

wielkiego miasta, i wyszła. Przyjęcie trwało w najlepsze. Nora natychmiast dostrzegła córkę.

— Regan, jesteś już! — zawołała rozradowana, biegnąc ku jedynaczce.

Kilka godzin później we trójkę kończyli uroczystą kolację w Gramercy Tavern. Wszystkie stoliki były zajęte, przy barze kłębił się tłum.

— Ach, to było wyśmienite — westchnęła Regan, rozglądając się po zatłoczonym wnętrzu. — Idealne miejsce na rozpoczęcie weekendu, nigdy nie mam dość tej okolicy.

Nie wiedziała, że dwie przecznice dalej w tej akurat chwili popełniono zbrodnię, która miała sprowadzić ją na powrót do Gramercy Park szybciej, niż

się spodziewała.

Nat Pemrod siedział przy zabytkowym biurku w salonie swego eleganckiego apartamentu. Otwarte drzwi sejfu przed nim ukazywały całą zawartość. Nat z łezką w oku spoglądał na pierścionek zaręczynowy i obrączkę zmarłej żony Wendy, na perły, prezent z okazji pierwszej rocznicy ślubu i na śmieszny pierścionek, znaleziony w zabawce bożonarodzeniowej, który jednak dla Wendy miał większą wartość niż prawdziwa biżuteria! Przez lata małżeństwa nazbierało się tego sporo: bransoletki, kolczyki, naszyjniki i broszki. Z każdym przedmiotem, czy był to kosztowny klejnot, czy tania

błyskotka, wiązało się jakieś wspomnienie.

Nat przez pół wieku był jubilerem. Kilka dni temu z Benem, przyjacielem i kolegą po fachu, uradzili, że pieniądze ze sprzedaży czterech drogocennych brylantów, które od dawna znajdowały się w ich posiadaniu — fakt znany jedynie najbliższym — przekażą na chylący się ku upadkowi Klub Osadników, by w ten sposób uczcić stulecie jego istnienia.

Obaj zostali jego członkami, mając trzydzieści kilka lat, a Nat przez większość życia zamieszkiwał w siedzibie klubu, usytuowanej w Gramercy Park, pięknej dzielnicy Nowego Jorku. Klub, założony przez

pewnego ekscentryka dla „ludzi o duszach pionierów”, w czasach świetności stanowił mekkę artystów, polityków i ludzi z dobrego towarzystwa. Jego członkami — „pionierami” — byli mężczyźni i kobiety o najróżniejszych zawodach i osobowościach, w tym naturalnie spora grupka dziwaków. Obecnie jednak Klub Osadników podzielił los wielu podobnych instytucji i groziło mu zamknięcie. Brakowało nowych członków, budynek wymagał generalnego remontu, a fundusze kurczyły się w zastraszającym tempie. Niektórzy ironicznie mówili o nim jako o „Klubie Bankrutów”.

Tak więc na zbliżającą się stuletnią

rocznicę rozpoczęcia działalności Nat i Ben postanowili sprzedać brylanty, a uzyskane pieniądze w kwocie niemal czterech milionów dolarów przekazać tam, gdzie jak to mówili, są ich serca.

— To z pewnością postawi tę dziurę na nogi! — zachichotał Nat.

Doszedł też do wniosku, że najwyższy czas zdecydować, komu przypadnie biżuteria Wendy. Pragnął, by doceniono te błyskotki, kiedy go już nie będzie, nie potrafił jednak znieść myśli, że klejnoty ukochanej żony miałyby ozdobić inną kobietę za jego życia. Przeprowadziwszy sentymentalną inwentaryzację, już zamierzał włożyć wszystko do sejfów, kiedy jego wzrok padł na puzderko z czerwonego

aksamitu.

Ręce lekko mu drżały, gdy po nie sięgał. Położył pudełeczko na otwartej dłoni i ostrożnie otworzył. Jego oczom ukazały się cztery ogromne, piękne brylanty, które za kilka dni miały się zmienić w zimną i twardą gotówkę.

— Z przykrością pożegnam się z wami po pięćdziesięcioletniej zażyłości, ale Osadnicy naprawdę potrzebują forsy — roześmiał się i odłożył puzderko na biurko.

Krew popłynęła mu szybciej w żyłach; z podniecenia zaklaskał w dłonie. To będzie niezła zabawa, pomyślał, kiedy pomożemy klubowi odzyskać dawną świetność. Ogromne przyjęcie rocznicowe w sobotni

wieczór. Kolejne imprezy w ciągu roku. Ben i ja jako główni aktorzy. To z pewnością rozjaśni ponury marzec.

Nagle jak gdyby zimny wiatr wdarł się do mieszkania. Nat ciaśniej otulił się szlafrokiem i uważnie rozejrzał wokół. Wspaniała boazeria, zabytkowe meble, kute żeliwne schodki obok sięgających do sufitu półek z książkami, kominek oraz para naturalnej wielkości owieczek ustawionych przy oknie.

Kupili je na początku małżeństwa, ponieważ przypominały Wendy dzieciństwo spędzone na owczej farmie w Anglii. W kolejnych latach Nat zaskakiwał żonę każdym owczym bibelotem, jaki tylko wpadł mu w ręce, ale najbardziej lubiła te dwa wypchane

zwierzaki. Były dziećmi, których nigdy nie miała. Tak bardzo je kochała, że przed trzema laty przekazała szczodłą kwotę na Klub Osadników, pod warunkiem że po śmierci jej i Nata owieczki zajmą honorowe miejsce w głównym salonie. Wendy istotnie wkrótce potem umarła.

Tak, lepszego miejsca na przeżycie ponad pięćdziesięciu lat chyba bym nie znalazł, pomyślał Nat. Ben i ja podjęliśmy słuszną decyzję, nie pozwalając klubowi zginąć.

Wstał, wziął czerwone pudełko i podszedł do owieczek, którym z Wendy nadali imiona Dolly i Bah-Bah. Wyjął szklane oczka Dolly i zastąpił brylantami, po czym tak samo postąpił z

Bah-Bahem.

— Ależ macie oczy! — roześmiał się. — Wyglądacie jak milion dolarów! Wasza mama Wendy uwielbiała, kiedy spałyście z brylantami. Nazywała was klejnocikami! Ale to już jedna z ostatnich takich nocy.

Ostrożnie opuścił wełniane rzęsy na drogocenne, błyszczące oczy i poklepał obie owieczki. Kryształowy schował do puzderka i położył na biurku.

Teraz wezmę prysznic i zamknę sklep, pomyślał ruszając długim korytarzem w stronę sypialni. W jasnej marmurowej łazience odkręcił na pełną moc kurki w kabinie.

— Starym kościom sprawi to przyjemność — mruknął, mijając

ogromną wannę z jacuzzi i wracając do sypialni. — Niech się tam najpierw trochę zagrzeje — dodał i zamknął za sobą drzwi.

Dochodziła dziesiąta, zaraz zaczynały się wiadomości. Nat z pilotem w ręku położył się na łóżku i włączył telewizor. Co za dzień, pomyślał z radością i zachichotał. Planowanie, jak oddać komuś kilka milionów dolarów, rzeczywiście może człowieka wykończyć. Przymknął powieki; zdawało mu się, że tylko na chwilę, kiedy jednak je otworzył, zegar na nocnym stoliku wskazywał dziesiątą trzydzieści osiem.

Nat dźwignął swe osiemdziesięcioletnie ciało ze

staroświeckiego łóżka z baldachimem, które jego droga żona kupiła trzydzieści lat temu na wyprzedaży garażowej. Kiedy otworzył drzwi łazienki, otoczył go obłok gorącej pary.

— Ach — mruknął, zdejmując szlafrok i wieszając go na haczyku.

Coś jednak było nie tak. Mrużąc oczy, spojrzął na jacuzzi. Wanna pełna była wody.

— Co to? — zapytał głośno, podczas gdy serce ścisnęło mu się ze strachu. — Przecież jej nie napełniłem.. a może?

— Nie, to nie ty.

Nat okręcił się na pięcie. Już otwierał usta, by coś powiedzieć, gdy z pary wyłoniła się jakaś postać i z całej

siły wepchnęła go do jacuzzi. Uderzył głową o krawędź wanny i bezwładnie zsunął się do wody.

— Idealnie. — Napastnik patrzył, jak ciało Nata nieruchomieje, kołysane lekko coraz słabszymi wirami. — To straszne, jak wielu ludzi traci życie, bo poślizgnęli się w wannie. Okropne.

W chwilę potem kurki prysznicza zostały zakręcone, a kabina wytarta do sucha.

2

Gdyby tego ranka ktoś życzył Thomasowi Pilsnerowi miłego dnia, młody człowiek odpowiedziałby automatycznie, jak zwykle, tak jak czyni

to reszta świata, słysząc owo wyświechtane pozdrowienie.

Jakże wiele się zmieniło w ciągu zaledwie dwunastu godzin!

Skąd przed południem miałyby wiedzieć, że w porze lunchu dwaj członkowie klubu, którego był prezesem, oznajmią mu rewelację największą z możliwych? Klub Osadników, wymagający pomocy jak biznes bez właściciela, zagrożony brakiem środków na bieżące wydatki, miał dostać darowiznę w wysokości przypuszczalnie czterech milionów!

To ci dopiero zastrzyk gotówki, pomyślał Thomas. Była jedenasta wieczorem, a on od lunchu czuł się jak naelektryzowany. Do późna zajmował

się przygotowaniem do wielkiego sobotniego przyjęcia. Cóż to będzie za feta! Nat i Ben powiedzieli, że zamierzają pokazać zebrany brylanty.

— Wszystko, co tylko zechcecie! — oświadczył im Thomas z gwałtownością, która jemu samemu wydała się dziwna.

Załatwiając sprawy na mieście, wręcz tańczył z radości. Nikomu jeszcze nie powiedział, podejrzewał jednak, że wiadomość jakoś się rozeszła. Czy to ważne? Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Przyjęcie tak czy owak zapowiadało się ekscytująco.

Rozdzwonił się telefon na biurku. To pewnie moja maleńka Janey, pomyślał, zwykle bowiem telefonowali do siebie

kilka razy na dzień. Poznali się przed trzema miesiącami, kiedy przyszła na odczyt do klubu, i od tej pory tworzyli parę — idealnie dobraną, jak zgodnie utrzymywali wszyscy dookoła. Znakiem rozpoznawczym Janey był sznur pereł i kardigan, Thomas zaś nie wychodził z domu bez muszki. Oboje mieli po dwadzieścia kilka lat, czuli się jednak jak dusze, które spędziły ze sobą poprzednie życie i w gruncie rzeczy należą do minionej epoki.

Jakże odpowiadałoby im życie w Nowym Jorku pod koniec dziewiętnastego wieku! Kiedy jednak próbując przywrócić do życia przeszłość, wybierali się na przejażdżkę dorożką po Central Parku, wokół

widzieli spoconych joggerów i deskorolkowców.

Thomas podniósł słuchawkę i nagle mina mu zrzęła.

— Ben Carney? O nie...

Pobiegł korytarzem ku windzie i gwałtownie nacisnął guzik. Drzwi rozsunęły się wolno i równie wolno zamknęły, a staroświecka kabina z jękiem ruszyła na czwarte piętro. Kolejna rzecz do wymiany, przemknęło Thomasowi przez skołatany umysł. Jak przekaże Natowi tę straszną wieść o jego przyjacielu Benie?

Kiedy drzwi windy się rozsunęły, Thomas pędem ruszył w stronę apartamentu Nata Pemroda. Z drugiej strony holu dochodził gwar kolejnego

przyjęcia dla samotnych, które regularnie wydawała Lydia Sevatura. Cóż, trudno to uznać za przedsięwzięcie z klasą, ale trzeba iść na ustępstwa, jeśli klub ma przyciągnąć nowych członków, powiedział sobie w duchu prezes, dzwoniąc do drzwi.

Nat nie otwierał.

Thomas zadzwonił ponownie.

I znowu na próżno. Przystawił ucho do drzwi; wydało mu się, że w środku słyhać dźwięk z telewizora. Z kieszeni wyciągnął klucz uniwersalny, który zawsze nosił na wszelki wypadek, otworzył i ostrożnie wszedł do przedpokoju. Po lewej stronie miał korytarz wiodący do sypialni, kuchni i jadalni, po prawej łukowe wejście do

salonu, ciągnącego się przez całą długość mieszkania.

— Nat! — zawołał. Obok drzwi sypialni głos z telewizora brzmiał głośniejsz. — Nat!

Zajrzał do środka przez uchylone drzwi. Poduszki piętrzyły się przy podglówku, narzuta była zgnieciona. Młody człowiek poczuł suchość w gardle. Wszedł do łazienki i ledwo słyszalny okrzyk wydarł mu się z ust.

Szybko ruszył z powrotem do wyjścia. Na korytarz wybiegł akurat w chwili gdy otworzyły się drzwi od mieszkania Lydii. Thomas bez tchu popędził po schodach, przeskakując po trzy stopnie na raz. W gabinecie drżącymi palcami wystukał numer 911.

Po kilku minutach pojawili się policjanci i lekarz Nata. Wróciwszy na czwarte piętro, Pilsner z przerażeniem usłyszał, że stary jubiler nie żyje.

— Poślizgnął się w wannie — wyjaśnił doktor Barnes. — Wygląda na to, że uderzył się w głowę. Ostatnio miewał zawroty...

Do sypialni wszedł jeden z policjantów.

— Na biurku leży mnóstwo biżuterii. Sejf jest pusty.

Thomas podniósł głowę.

— Nat powiedział mi, że on i jego przyjaciel Ben zamierzali sprzedać cztery wielkie brylanty, a uzyskaną sumę przekazać klubowi. Trzymali kamienie w czerwonym pudełeczku.

— Nie widziałem żadnego czerwonego pudełka.

— Przecież pokazał mi je dzisiaj po południu!

— Niech mi pan wierzy, takiego pudełka tam nie ma. Jest mnóstwo granatowych, ale ani jednego czerwonego.

Thomas stracił przytomność.

3

Regan otworzyła drzwi mieszkania rodziców i podniosła trzy dzienniki, które rzucono na próg o jakiejś niesamowitej porze, kiedy większość mieszkańców Nowego Jorku jeszcze smacznie śpi, po czym wróciła do

wąskiej kuchni. Ekspres do kawy syczał, plując do dzbanka ostatnimi świeżo zaparzonymi kroplami. Muzyka dla uszu, pomyślała Regan, wyjmując kubek z szafki nad zlewem. Jeszcze chwila i kofeina znajdzie się w jej krwiobiegu.

Usiadła przy stole w jadalni, pijąc pierwszy, najlepszy łyk kawy. Przed jej oczyma rozciągał się nieprawdopodobny widok na Central Park; matka zawsze powtarzała, że to on nadaje wartość mieszkaniu. I miała rację. W *pied-a-terre* z dwiema sypialniami było raptem tyle miejsca, aby powiesić kapelusz, ale okna od podłogi do sufitu, z których oglądało się park z wysokości piętnastego piętra, sprawiały, że człowiek za nic by nie zrezygnował z

tego apartamentu. Nawet w taki zimny i szary marcowy poranek panorama parku wręcz hipnotyzowała.

Kawa, gazety, Central Park: idealny początek. A nim dzień dobiegnie końca, zobaczę się z Jackiem, pomyślała Regan. Nagle przypomniała sobie dyskusję, jaką prowadzili w college'u na zajęciach z angielskiego. Oczekiwanie i nadzieje to połowa radości życia. Regan się uśmiechnęła. W większości wypadków to prawda, ale spotkanie z Jackiem było o niebo lepsze od oczekiwania. Mam już po uszy czekania, czas na życie.

Wzięła do ręki brukowiec, który zawsze lubiła czytać w Nowym Jorku. Pierwsze strony zawierały zwykłe wiadomości o poważnych i

niepoważnych konfliktach, jakie wybuchają w Wielkim Jabłku. Rozprawienie się z utrudniającymi ruch motocyklistami i przechodniami śmigającymi przez skrzyżowania na czerwonym świetle, napad na bank w śródmieściu i hałas na budowie, który doprowadzał do szaleństwa okolicznych mieszkańców.

Regan odwróciła stronę i aż tchu jej zabrakło z wrażenia. W środku widniało zdjęcie jej i matki na koktajlu otwierającym konferencję kryminologiczną. W krótkiej notatce podano czterodniowy program.

Podpis pod zdjęciem głosił: „Autorzy powieści kryminalnych od dzisiaj do niedzieli słuchać będą

wykładów ekspertów o wszelkich aspektach zwalczania przestępstw. Konferencji przewodniczy pisarka Nora Regan Reilly, mająca na koncie wiele bestsellerów. Jej córce Regan prawo także nie jest obce, pracuje jako prywatny detektyw i do miasta przyleciała z domu w Los Angeles, aby wziąć udział w seminariach i wykładach oraz, naturalnie, w przyjęciach”.

Dom w Los Angeles! Mieszkanie z jedną sypialnią, pomyślała Regan. A przyleciała turystyczną klasą, w której serwowano wyschnięte, lodowate precle. Ktokolwiek powiedział, że świat to iluzja, wcale nie żartował. No, przynajmniej zdjęcie było dobre.

Na fotografii Regan, zaliczająca się

do czarnych Irlandczyków ze względu na ciemne włosy, jasną cerę i niebieskie oczy, obejmowała matkę, która ze swymi niespełna stu sześćdziesięcioma dwoma centymetrami wzrostu była niższa o dziesięć centymetrów. Patrząc na nie, nikt nie miałby wątpliwości, że to matka i córka, choć Nora była blondynką. Regan odziedziczyła kolor włosów po ojcu, lecz jego głowę obecnie zdobiła nobliwa siwizna. Luke miał metr dziewięćdziesiąt, tak więc w tym względzie Regan nie faworyzowała żadnego z rodziców. A jako jedyne dziecko stanowiła też jedyny rezultat wymieszania ich genów. Doprawdy, jak w grze w kości!

— Kawa pachnie wspaniale.

Regan odwróciła się do matki, która stała w progu w jasnoróżowym jedwabnym szlafrocisku narzuconym na szczupłe ramiona. Jej twarz, pozbawiona makijażu, odznaczała się łagodną pięknnością. Nora ziewając, wyjęła z szafki chińską filiżankę i spodek. Przebywanie w nowojorskim mieszkaniu zawsze w pewien sposób skłaniało ją do używania wyłącznie eleganckiej porcelany. Regan pomyślała, że powodem może być widok parku. Kiedy wczesnym rankiem pijesz kawę z wytwornej filiżanki, czujesz się jak gwiazda filmowa z lat czterdziestych. W zasięgu wzroku nie ma żadnych plastikowych kubków czy puszek z piwem.

— Widziałaś coś ciekawego w gazecie?

— Jeśli uznać, że my jesteśmy interesujący, to odpowiedź brzmi: tak.

— Co?

Regan wskazała zdjęcie.

— Mamusia i ja.

Nora się roześmiała.

— Jakie to słodkie. — Zmrużyła oczy i pochyliła się nad gazetą. — Doskonała reklama dla zjazdu. Chcę się znaleźć w Paisleyu przed dziesiątą, bo jestem pewna, że przed drzwiami będzie się kłębił tłum spóźnialskich.

Hotel Paisley, usytuowany w pobliżu Seventh Avenue, był stary i niezbyt obszerny; nie ulegało wątpliwości, że najlepszy okres ma już za sobą.

Odnaczał się jednak nieco przykurzonym urokiem i idealnie nadawał na konferencję. Był wystarczająco duży, aby urządzić w nim wszystkie seminaria, a jednocześnie tak mały, że niepozbawiony przytulności. Umowa, jaką Nora zawarła z szefostwem, zawierała bezpłatną kawę oraz składane krzesła dla wszystkich uczestników konferencji.

Zadzwonił telefon. Regan spojrzała na zegar stojący na kominku.

— Jeszcze nie ma ósmej. Kto to może być?

— Mam tylko nadzieję, że nic złego się nie stało. — Nora westchnęła z niepokojem, podnosząc słuchawkę.

Jesteśmy do szpiku kości irlandzcy,

pomyślała Regan. Jak brzmi to powiedzenie? „Irlandczycy mają głębokie przeczucie tragedii, które pozwala im przetrwać dobre czasy”. Co oznacza, że każdy telefon przed ósmą rano i po jedenastej wieczorem musi przynosić złe wiadomości. Jakoś nikomu nigdy nie wpadnie do głowy, że może dzwonić ktoś, kto chce pogadać wtedy, kiedy opłaty są niższe.

Regan obserwowała wyraz twarzy matki. Gdy tylko Nora rozpoznała dzwoniącego, odprężyła się i uśmiechnęła.

— Jak się masz, Thomasie?

Co to za Thomas? — zastanawiała się Regan.

— Nic się nie stało. Wcale nas nie

zaniepokoiłeś...

Jasne, pomyślała Regan. Tylko na chwilę serca przestały nam bić, a dodatkowa porcja adrenaliny wywołana dzwonkiem telefonu dała kopa, którego tak potrzebowałyśmy.

— Tak, jest tu przy mnie. Już oddaję słuchawkę... — Nora zwróciła się do córki. — To Thomas Pilsner.

Regan uniosła brwi.

— Och! — mruknęła zaskoczona.

Thomas, uroczy ekscentryk, był nowym prezesem Klubu Osadników w Gramercy Park. Oboje natychmiast przypadli sobie do gustu na obiedzie wydanym przez autorów powieści kryminalnych ubiegłej jesieni.

— Witaj, Thomasie — powiedziała

wesoło, wyobrażając sobie jego chłopięcą twarz i szopę jasnobrązowych falujących włosów. Mógłby wskoczyć na zdjęcie sprzed stu lat i wcale nie wyglądałby na nim dziwnie.

— Regan! O mój Boże, Regan! — wykrzyknął histerycznie jej przyjaciel, który najwyraźniej ukrył swoje prawdziwe uczucia przed Norą.

— Co się dzieje?

— W nocy ledwo spałem, a rano o szóstej zobaczyłem twoje zdjęcie w gazecie i czekałem dwie godziny, żeby do was zadzwonić. Wielki Boże!

— Uspokój się, Thomasie, i powiedz, o co chodzi.

— Wczoraj w nocy umarli dwaj starsi członkowie klubu.

— Bardzo mi przykro. — Regan pomyślała, że irlandzka intuicja dotycząca telefonów przed ósmą rano przynajmniej raz okazała się słuszna. W uszach zabrzmiał jej triumfalny okrzyk babci: „A nie mówiłam?”. — Co im się stało?

— Jeden dostał ataku serca na środku ulicy tuż przed autobusem, drugi poślizgnął się w wannie. Moim zdaniem jednak coś w tej sprawie śmierdzi. — Głos Thomasa drżał, lecz słowa opuszczały jego usta gwałtownym strumieniem. — Śmierdzi to za mało. Cuchnie! Wczoraj byłem z nimi na lunchu. Powiedzieli, że zamierzają sprzedać cztery cenne brylanty, a otrzymaną sumę przekazać klubowi.

Otrzymalibyśmy około czterech milionów.

— Ale te pieniądze chyba dostaniecie, prawda?

— Brylanty zginęły!

— Jak to: zginęły?

Thomas opowiedział jej, co się wydarzyło poprzedniego dnia.

— A czerwonego pudełka z brylantami nigdzie nie ma — zakończył.

— Co mówi policja?

— Właściwie to nie wiem.

— Dlaczego?

— Bo zemdlałem.

— Ojej!

— To było takie żenujące. Kiedy odzyskałem przytomność, zaprowadzili mnie do mieszkania, lekarz dał mi

środek nasenny i poradził, żebym przespał całą noc. Byłem w szoku!

— Domyślam się, że ty nie przespałeś nocy.

— Boże, nie! Obudziłem się po kilku godzinach i nie mogłem już zmrużyć oka. To takie smutne, że Nat i Ben zmarli prawie jednocześnie. Słuchaj, jestem przekonany, że ktoś się do tego przyczynił. Policja sądzi, że Nat uderzył się w głowę, a moim zdaniem to nieprawda. Ktoś tutaj przyszedł, zabił go i ukradł brylanty.

— Masz jakiś dokument potwierdzający zamiar przekazania pieniędzy klubowi?

— Nie, powiedzieli mi o tym dopiero wczoraj. Chcieli ogłosić swoją

decyzję w sobotę wieczorem na przyjęciu z okazji stulecia klubu.

— Widziałeś brylanty?

— Stały obok mojego talerza z sałatką prawie przez cały lunch, co jakiś czas pozwalali mi na nie popatrzeć. Były przepiękne!

— Czy to możliwe, że Ben wziął brylanty?

— To byłoby fatalne.

— Dlaczego?

— Bo kiedy został przywieziony go do szpitala, nie znaleziono portfela. Jeśli Ben miał brylanty przy sobie, to na pewno ktoś zabrał je razem z portfelem!

— Niewykluczone, że czerwone pudełeczko zostało ukryte gdzieś w mieszkaniu któregoś z nich.

— Nie sędę.

— Czemu nie?

— Nat w czasie lunchu wspomniał, że cieszy się, bo nie będzie musiał dłużej martwić się o szyfr do sejfu.

— A jak to się stało, że obaj zostali współwłaścicielami brylantów?

— O, to cała historia. Nat i Ben byli jubilerami. Z jeszcze dwoma kolegami po fachu przez pół wieku co tydzień grali w karty w mieszkaniu Nata. Nazywali siebie Kolorami, od pików, kierów, karo i trefli. Naturalnie najbardziej lubili karo. Dawno temu każdy przyniósł na spotkanie swój najpiękniejszy, najbardziej cenny brylant i ustalili, że wszystkie cztery kamienie otrzyma ten z nich, który przeżyje

pozostałych. Zwycięzca bierze wszystko, tak postanowili. O całej sprawie wiedziała tylko Wendy, żona Nata. Tamci dwaj koledzy umarli w zeszłym roku, nim zacząłem pracować w klubie. Też byli jego członkami. Na zbliżające się stulecie istnienia klubu Nat i Ben postanowili przekazać drogocenne kamienie na jakiś dobry cel, a nie czekać, aż jeden z nich odejdzie, by drugi mógł cieszyć się pieniędzmi. A teraz obaj nie żyją!

— Zastanawiam się, co myśli o tym policja — powiedziała Regan.

— Przypuszczalnie sądzą, że to ja zabrałem brylanty.

— Dlaczego mieliby podejrzewać właśnie ciebie?

— Bo o nich wiedziałem.

— Ale to ty im powiedziałaś o kamieniach. Przecież sam mówiłeś, że starsi panowie trzymali w tajemnicy istnienie brylantów, prawda?

— W klubie jednak wieść się rozniosła i aż huczało od plotek, Regan. Huczało, rozumiesz? Ludzie słyszeli o planach na sobotę. Nie wiem, może kelner się wygadał. Gdybym o niczym nie wspomniał policji, a pieniądze nie zostałyby przekazane klubowi, ludzie zaczęliby pytać. Wyglądałoby na to, że je ukryłem i wziąłem dla siebie.

— Rozumiem — odrzekła Regan.

— Czy mogą mnie podejrzewać o to wszystko?

Regan odchrząknęła.

— No wiesz, Thomasie, policja zawsze bierze pod lupę każdego, kto miał motyw lub sposobność dokonania zbrodni.

— I dlatego jesteś mi potrzebna, Regan.

— Co mam zrobić?

— Proszę cię, zamieszkać w klubie i pomóż mi uporządkować ten bałagan! Musimy odzyskać brylanty, oczyścić moje nazwisko z podejrzeń i zabezpieczyć przyszłość Klubu Osadników!

I tylko tyle? — zadała sobie w duchu pytanie Regan.

— Thomasie, przyjechałam tu na kilka dni. W poniedziałek wracam do Los Angeles, prowadzę tam sprawę.

— No to poświęć mi weekend! Może uda ci się wyjaśnić coś w tak krótkim czasie. — Umilkł, po czym dodał błagalnie: — Jesteś mi potrzebna, Regan. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Regan spojrzała na matkę, która siedziała przy stole, mierząc córkę pytającym spojrzeniem.

— Dobrze, Thomasie — odrzekła. — Przeniosę się do klubu. Będę tam około dziesiątej.

— Wiedziałem, że jesteś jedyną osobą, do której powinienem zadzwonić. Rozgryziesz tę tajemnicę.

— Mam nadzieję, że cię nie zawiodę, Thomasie. Zrobię, co w mojej mocy. — Odwiesiła słuchawkę, po czym

zwróciła się do matki: — Zawsze powtarzałaś, że chcesz, abym pracowała w Nowym Jorku.

4

— Proszę, Księżniczko Miłości. — Z tymi słowy Maldwin Feckles wszedł do pogrążonej w mroku sypialni swej pracodawczyni, niosąc tacę z gorącą kawą, świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy i rogalikami. — Czas wstawać i pozwolić, by twój blask spłynął na ludzi. — Postawił tacę przy królewskim łożu i rozsunął firanki.

Lydia z jękiem otworzyła oczy.

— Która godzina?

— Ósma rano. O tej porze poleciała

pani podawać sobie śniadanie.

— Te okropne wydarzenia z wczorajszej nocy przyśniły mi się czy były prawdziwe?

Maldwin westchnął. Był niewysokim mężczyzną o sztywnej postawie, czarnych włosach, które sterczałyby w rozwichrzonych kosmykach nad uszami, gdyby żel nie utrzymywał fryzury w porządku, oraz twarzy z cerą białą i gładką jak u niemowlęcia.

— Obawiam się, że nasz sąsiad Nat istotnie odszedł.

— „Odszedł” to niewłaściwe określenie — uznała Lydia, siadając na łóżku. — Opuścił ten padół w niezwykle dramatyczny sposób. — Ziewnęła

szeroko i sięgnęła po matinkę z różowymi piórami, aby zarzucić ją na różową nocną koszulkę.

Odziedziczywszy dwa miliony po wiekowej sąsiadce w Hoboken, przeprowadziła się do eleganckiego apartamentu w Nowym Jorku i otworzyła biuro matrymonialne, słusznie nazwane Znaczące Związki, którego klienci poznawali się na przyjęciach wydawanych w jej mieszkaniu. Postanowiła też, że zawsze będzie się ubierać stosownie do roli Księżniczki Miłości.

Trudno było w to wszystko uwierzyć.

W dojrzałym wieku trzydziestu ośmiu lat spełniły się najbardziej

nieprawdopodobne sny Lydii. Opuściła maleńką garsonierę po niewłaściwej stronie ulicy i zatrudniła oddanego sobie kamerdynera. A wszystko dzięki temu, że załatwiała drobne sprawy dla pani Cerencioni, staruszki sprawiającej wrażenie, jakby brakowało jej na rachunek za światło.

Na swoje nieszczęście Lydia poznała poszukiwacza złota, z którym połączyła ją przelotna miłość. Poznawszy się jednak na nim, szybko zerwała znajomość. Tylko że dawny ukochany dalej zostawiał wiadomości na automatycznej sekretarce i przysyłał liściki miłosne. To było niezwykle kłopotliwe.

A teraz sprawy mogły się jeszcze

bardziej skomplikować. Kiedy już zainwestowała w mieszkanie i firmę sporo pieniędzy, pojawiło się poważne niebezpieczeństwo, że klub zamknie podwoje, a budynek zostanie sprzedany. I pomyśleć, że gdy już biuro zaczęło cieszyć się powodzeniem i szacunkiem, na co oboje z Maldwinem solidnie zapracowali, przypuszczalnie trzeba będzie poszukać nowego miejsca! A przecież ratunkiem dla wszystkich byłyby owe brylanty, na temat których tyle wczoraj słyszeli, a które podobno zaginęły!

— Całe to zamieszanie i nieszczęśliwa śmierć... — Lydia stuknęła w szklanekę z sokiem długimi różowymi paznokciami. — Sądziś, że ludzie nie

będą się bali przychodzić na moje przyjęcia?

Maldwin poprawił poduszki pod jej ufarbowanymi na blond włosami.

— Tego rodzaju wydarzenia tylko mogą nam pomóc. Nikt pani nie zarzuci, że przyjęcia są nudne. W końcu swatanie powinna otaczać aura tajemniczości.

— A jeśli w gazetach napiszą, że niektórych moich gości zaniepokoił przyjazd policji?

— Będzie dobrze, o ile tylko nie zrobią błędu w pani nazwisku oraz nazwie mojej szkoły dla kamerdynerów.

— Maldwin prychnął. — Panno Lydio, pamięta pani zasadę, którą przyjęliśmy, łącząc siły?

— Nie ma złej reklamy.

— No właśnie — odparł, ruszając ku drzwiom.

— Tylko że bardzo się martwię, Maldwinie.

Kamerdyner przystanął, czekając na dalszy ciąg.

— Jeśli będziemy musieli szukać nowego lokum, słono za to zapłacimy. Na papier firmowy wydałam fortunę. Poza tym ludzie przyzwyczaili się przychodzić pod określony adres. Przyjęcie w Gramercy Park dawały im pewne *je ne sais quoi*.

Maldwin się skrzywił. Nie znosił, gdy Lydia popisowała się szkolną francuszczyzną. Miała okropny akcent.

— Wiem, Księżniczko — odrzekł — ale musimy dalej żyć. Jutrzejsze

przyjęcie powinno przyciągnąć nowych członków do klubu. A jeśli szczęście nam dopisze, brylanty zostaną odzyskane i nie będziemy musieli się stąd ruszać. — Przygładził włosy i poprawił sygnet na małym palcu. — Moi uczniowie niedługo przyjdą. Wybieramy się na wycieczkę do miasteczka w New Jersey, gdzie pełno jest antykwariatów. Przypuszczam, że wrócimy późnym popołudniem.

Lydia mruknęła coś pod nosem.

— A ja mam ćwiczenia, nie zapominaj. Wieczorem musimy iść do studia Stanleya na wywiad. W niedzielę chce nadać specjalny program o klubie i o nas. Ilu widzów ma ta jego kablówka?

— Obawiam się, Księżniczko, że

bezpłatne kanały nie skupiają przed ekranem masowej publiczności, ale od czegoś trzeba zacząć.

— Przeszłam długą drogę od tamtej garsoniery, w której nie było nawet miejsca na garderobę. — Lydia się zamyśliła. — I wiesz, Maldwinie, nie chcę tam wracać.

— Nasze firmy rozkwitną, panno Lydio — zapewnił ją kamerdyner oficjalnym tonem. — Za każdą cenę.

Oboje wybuchnęli nerwowym śmiechem. Maldwin skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

szybko się ubrała i wysuszyła włosy. Kiedy wyłączyła suszarkę, usłyszała, że dzwoni telefon komórkowy.

To był Jack. Regan uśmiechnęła się na dźwięk jego głosu, oczyma wyobraźni widząc orzechowe, ale bardziej zielone niż piwne oczy i regularne rysy twarzy, okolonej kręcącymi się na końcach włosami barwy piasku. Miał sto osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, barczyste ramiona i odznaczał się niezaprzeczalną charyzmą. Niezwykle inteligentny i błyskotliwy, przejawiał ten rodzaj poczucia humoru, którego źródłem jest wyrastanie w wielkiej rodzinie. Obecnie trzydziestoczteroletni, wychował się w Bedford w Nowym Jorku, ukończył

Boston College i zaskoczył swoich bliskich, wstępując do policji śladem dziadka, który zakończył karierę w stopniu porucznika.

W ciągu dwunastu lat Jack od policjanta patrolującego ulice doszedł do rangi kapitana i funkcji szefa Oddziału Specjalnego. Zrobił także dwie specjalizacje, a jego celem było stanowisko komisarza policji Nowego Jorku.

— Jak udał się wczorajszy obiad?
— zapytała Regan.

— Powiem tylko, że wolałbym być z tobą. Wysłuchałem mnóstwa nudnych przemówień, a potem musiałem z Long Island wrócić samochodem do centrum. W domu byłem dopiero o drugiej w

nocy.

— No cóż, nigdy nie uwierzysz, w co się wplątałam.

— Właśnie miałem to samo powiedzieć.

Regan usiadła na łóżku.

— Ty pierwszy.

Jack milczał chwilę.

— Dzisiaj wieczorem muszę polecieć do Londynu. Kumpel ze Scotland Yardu prosił mnie o konsultację w śledztwie. W niedzielę jestem z powrotem.

Poczuła rozczarowanie.

Przypuszczam, że czeka mnie więcej nadziei i zawodów, pomyślała, głośno jednak powiedziała:

— W poniedziałek wyjeżdżam.

— Wiem. Jadę z tobą.

— Naprawdę? — ucieszyła się natychmiast.

— Jeśli się zgodzisz. Mam kilka dni wolnych i chcę je spędzić z tobą.

— Ja też chcę być z tobą — zapewniła go. — Poniedziałek w L.A. — to brzmi wspaniale.

— A w co ty się wplątałaś? Mam nadzieję, że nie chodzi o innego mężczyznę.

— Co prawda zadzwonił do mnie inny mężczyzna, ale nie ma powodów do zmartwienia — wyjaśniła ze śmiechem, po czym opowiedziała Jackowi rozmowę z Thomasem.

— Czyli w weekend też masz robotę. Przyjadę i podrzucę cię do

Gramercy Park — odrzekł. — Nie mogę czekać do niedzieli, żeby się z tobą zobaczyć.

— Wyjąłeś mi to z ust.

— Będę u ciebie za pół godziny.

Regan wyłączyła telefon. Więc jednak Bóg jest, pomyślała.

6

Thomas Pilsner siedział przy biurku w gabinecie na parterze Klubu Osadników i wykręcał sobie palce. Zazwyczaj widok orientального dywanu, spłowiałych skórzanych foteli i sekretarzyka przynosił ukojenie, lecz nie dzisiaj. Myśli jak szalone wirowały mu w głowie, serce biło w tempie, które

można by uznać za usprawiedliwione jedynie w sytuacji, gdyby właśnie zakończył bieg wokół Gramercy Park.

Jakże lubił to miejsce! Gramercy Park ze swymi pełnymi wdzięku drzewami, zacienionymi trawnikami, żeliwnymi bramami i brukowanymi chodnikami był niczym miraż, oddalony o kilka zaledwie kroków od centrum Manhattanu. Nazywano go najwspanialszym klejnotem w koronie, którą jest Nowy Jork. Otaczały go dawne budowle w typowych dla okresu wiktoriańskiego stylach: greckim, włoskim i neogotyckim, a w południowo-wschodniej części tego rejonu zbudowano jeden z pierwszych apartamentowców w mieście.

Każdy, kto mieszkał w tej okolicy, otrzymywał klucz do prywatnego parku — dwuakrowego raję odznaczającego się bukolicznym urokiem, a dostępnego jedynie dla lokatorów sąsiadujących z nim kamienic.

Ludzie mieli wrażenie, że wkraczają w inne stulecie, gdy wychodzili z za zakrętu i ich oczom ukazywał się park. Hałas cichł, a czas zwalniał. Chaos i zamęt miasta wydawały się znikać, gdy człowiek zostawiał za sobą drapacze chmur i korki uliczne.

To miejsce jest po prostu niebem na ziemi, myślał ze smutkiem Thomas. Dlaczego nie urodziłem się sto lat wcześniej, kiedy w tych pięknych domach mieszkali pisarze, malarze i

architekci, a życie było o tyle prostsze?

Wytarł nos i zmusił się do opanowania. Regan przyjeżdża, powiedział sobie, ona mi pomoże.

Zadzwoił telefon na biurku.

— Przyszła pani Regan Reilly — zameldował strażnik.

— Wpuść ją.

Jack obejmował Regan, gdy szli schodami na górę do holu, a potem w dół do gabinetu Thomasa.

— Wygląda na oko, że Oddział Specjalny nie ma tu nic do roboty, ale jestem ogromnie ciekaw, co się dzieje — powiedział.

Thomas powitał ich w progu.

— Regan, pojawiłaś się w samą

porę! — zawołał.

Regan przedstawiła sobie obu mężczyzn, po czym ona i Jack usiedli na fotelach naprzeciwko Thomasa.

— Jack niedługo musi jechać — zaczęła tłumaczyć — ale jest szefem Oddziału Specjalnego i moim dobrym przyjacielem. Chce nam pomóc.

Thomas przyjrzał mu się uważnie.

— Przyjmę pomoc od każdego, kto może mi jej udzielić.

— Powtórzyłam Jackowi wszystko, co mi mówiłeś — wyjaśniła. — Co jeszcze możesz dodać?

— Zatrudniono mnie w ubiegłym roku we wrześniu, kiedy skończyłem szkołę biznesu, żebym tchnął w ten klub nowe życie. Może na pierwszy rzut oka

tego nie widać, ale budynek po prostu się rozpada! Ożywienie działalności wymaga ogromu pracy oraz przyciągnięcia nowych członków. Tylko że teraz, kiedy wkoło tyle sal gimnastycznych, nikt nie ma ochoty wstępować do takiej staroświeckiej instytucji.

Regan kiwnęła głową, jakby ponaglając go do mówienia.

— Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by ściągnąć tu ludzi. Dzisiaj po południu wytwórnia filmowa kręci sceny we frontowym salonie. Jutro wieczorem mamy galę rocznicową. Klub istnieje od stu lat, dlatego Ben i Nat postanowili teraz ogłosić swoją darowiznę. Mielibyśmy świetną reklamę

i rozgłos w mediach. To nasza jedyna szansa. Zawiadomiłem dziennikarzy, mających obsługiwać imprezę. Niestety, teraz nie ma darowizny, a ja muszę jakoś zatuszować fakt, że przypuszczalnie doszło tu do morderstwa i kradzieży. Kto wstąpi do klubu, skoro dopuszczono w nim do tak strasznych wydarzeń? — Thomas złamał ołówek, którym do tej pory się bawił, a kawałki upuścił na biurko. Nad jego górną wargą pojawiły się kropelki potu.

— Ile mieszkań jest na piętrze? — zapytała Regan.

— Tylko dwa. Apartamenty.

— Czy wczoraj w nocy ktoś był w tym drugim mieszkaniu? — To pytanie zadał Jack.

Thomas wzniósł oczy do nieba.

— Czy był? Kobieta, która tam mieszka, zajmuje się swataniem i wydaje przyjęcia dla samotnych. Wczoraj też takie urządzono.

— Cóż, ktoś z tego przyjęcia mógł przejść do mieszkania Pemroda — zasugerowała Regan.

— Ona ma też służącego, który prowadzi szkołę dla kamerdynerów. Jego uczniowie, a jest ich kilku, pracowali na przyjęciu. Kiedy policja pomagała mi zejść na dół po tym, jak zemdlałem, wszyscy mi się przyglądali. To było straszne!

— Czy to możliwe, że zostawiłeś otwarte drzwi, kiedy po odkryciu ciała pobiegłeś na dół? — zapytała Regan. —

Było dość czasu, żeby ktoś ukradł brylanty i wyszedł, nim pojawiła się policja.

— Przypuszczam że tak — odrzekł Thomas wolno. — Byłem w okropnym stanie. W końcu niecodziennie znajduje się ciało znajomego w wannie. Powinienem był zadzwonić na policję stamtąd...

Regan westchnęła.

— Czy na korytarzu znajdowali się jacyś ludzie, nim rozeszła się wieść o śmierci Nata?

— Ludzie wychodzili na taras na drugim końcu korytarza. Lydia nie pozwala palić w swoim mieszkaniu.

— A czy wszyscy wiedzieli o brylantach? — zapytał Jack.

— Nie ulega wątpliwości, że tutaj aż huczało od plotek.

— Może Nat albo Ben powiedzieli komuś o swoich planach — odezwała się Regan. — Taką sprawę trudno utrzymać w tajemnicy. A co z krewnymi Nata?

— Rozmawiałem z jego jedynym krewnym, bratem, który mieszka w Palm Springs. Nazywa się Carl Pemrod. Nic nie wie o brylantach. Nie może podróżować, więc nie wybiera się tutaj. Ciało Nata zostanie skremowane. Carl prosił, żebyś do niego zadzwoniła, Regan. Mam tu jego numer. Zna twoją matkę, bo kiedyś wygłaszała wykład w bibliotece w Palm Springs. Powiedział, że możesz zatrzymać się w mieszkaniu

Nata i korzystać ze wszystkiego, co ci potrzebne.

Regan uniosła oczy.

— Zatrzymać się w jego mieszkaniu?

— Tak. Nasze pokoje gościnne zostały zalane wodą i śmierdzi tam stęchlizną. Możesz też skorzystać z mojego mieszkania, ale mam tylko jedną sypialnię. Będę spał na sofie.

— Nie — odparła szybko Regan. — Zostanę tutaj. Przypuszczam, że policja nie będzie robiła problemów.

— Przecież nie uznali mieszkania Nata za miejsce przestępstwa! Żałuję jednak, że tego nie zrobili.

— Są tam dwie sypialnie i dwie łazienki? — zapytała.

— Tak.

— Wolalabym nie korzystać z łazienki, w której go znaleziono.

Zadzwoił telefon i Thomas podniósł słuchawkę. Jack ujął Regan za rękę.

— Muszę się zbierać. Odprowadź mnie.

Poszła za nim przez korytarz, a później po schodach do drzwi wyjściowych. Dzień nagle wydał się chłodniejszy, a niebo przybrało barwę złowieszczej szarości. Jack przyciągnął Regan do siebie.

— Żałuję, że muszę jechać.

— Nie bardziej niż ja. — Oparła głowę na jego ramieniu. — W tym mieszkaniu będzie samotnie i ponuro.

Jack roześmiał się i objął ją mocno.

— Zamknij drzwi na klucz, kochanie. Zadzwonię na posterunek i pogadam z policjantami, którzy tu wczoraj byli. Zaraz potem dam ci znać, do jakich wniosków doszli. Bądź z nimi w kontakcie.

— No cóż, odnoszę wrażenie, że to moje śledztwo. Nic nie wskazuje na to, żeby policja się zaangażowała w tę sprawę.

— Brak śladów włamania, biżuteria nieruszona. Brak dokumentu poświadczającego zamiar sprzedaży brylantów i darowizny dla klubu. Staruszek poślizgnął się w wannie. Niewykluczone, że policja uznała, iż nie było przestępstwa.

— Ale ja wierzę Thomasowi. Te brylanty muszą gdzieś być!

— To i tak bez znaczenia, bo jeśli w testamencie Nata nie ma wzmianki o darowiźnie, odziedziczy je jego brat.

Regan wzruszyła ramionami.

— Zajmę się tą sprawą. Wygląda na to, że oboje będziemy mieli udany weekend.

Jack pochylił się i pocałował ją.

— A niedziela będzie jego najlepszą częścią.

Regan odwróciła się i spojrzała na siedzibę klubu. Budowla miała nieco złowrogi wygląd.

— O ile dotrwam do niedzieli — powiedziała.

Wzgórza Devonu w Anglii przemoczyła plucha. Deszcz stukał ponuro w okna wiejskiego domu Thorna Darlingtona, siedziby jego sławnej szkoły dla kamerdynerów. Thorn od kilku już tygodni był w podłym nastroju, co miało bezpośredni związek z otwarciem w Nowym Jorku szkoły Maldwina Fecklesa.

— Wiem, że jego szkoła będzie żalosna, założył ją tylko po to, żeby mnie zrujnować! — wykrzyknął Thorn, gdy po raz pierwszy usłyszał nowinę. — Doskonale się orientował, że zamierzałem otworzyć amerykańską filię Szkoły dla kamerdynerów Thorna

Darlingtona. Ukradł mi mój pomysł!

Przy wtórze protestujących skrzywnięć Thorn ulokował swoje zwaliste ciało w skórzanym fotelu i napił się herbaty, podanej przez kamerdynera. Bolał go każdy miesiąc. Ponura pogoda atakowała mu kości, nieprzyjemne wydarzenia dnia całkiem go rozstroiły. W jego istniejącej od trzydziestu pięciu lat Szkole dla Kamerdynerów Thorna Darlingtona miał właśnie rozpocząć się dwutygodniowy kurs dla początkujących, o wiele gorszy niż sześciotygodniowy program intensywny. Wśród początkujących zawsze znajdzie się grupa „tych-co-już-to-wiedzą” i Thorn zdawał sobie sprawę, że zależy im wyłącznie na

świadczenie z jego podpisem, bo dzięki temu znacząco wzrosną ich szansę na znalezienie dobrej pracy. Pogodził się z takim nastawieniem, ponieważ po kursie większość z nich będzie szukała posad za pośrednictwem Agencji Darlingtona.

Interesy szły znakomicie.

Thorn odgryzł kęs kruchego ciasteczka i przeżuwał je, coraz mocniej marszcząc czoło i krzaczaste brwi. Sama myśl o tupecie Maldwina Fecklesa doprowadzała go do szaleństwa. A teraz jeszcze się dowiedział, że tamten zdobywa reklamę dla swojej przeklętej szkoły, choć ów rozgłos powinien być zarezerwowany wyłącznie dla placówki Darlingtona. Feckles wraz ze swymi uczniami miał wystąpić w telewizji. To

wkurzające!

Wiele nowych placówek usiłowało naśladować szkołę Darlingtona i ukraść mu zyski, szybko jednak zamykały podwoje, gdy jedna po drugiej ponosiły sromotną klęskę. Obecnie Thorn gotów był do podbicia Nowego Jorku i nie miał zamiaru pozwolić, żeby taki nieudacznik jak Maldwin Feckles wchodził mu w drogę.

Zeszłej jesieni Maldwin skończył u Thorna kurs dla początkujących, wypadł jednak jak burza z jego gabinetu, kiedy zobaczył, że nie znalazł się pośród kandydatów wysłanych na rozmowę w sprawie pracy, której tak rozpaczliwie potrzebował. Oznajmił wówczas, że Thorn dostanie za swoje.

Ten w odpowiedzi prychnął i roześmiał się pogardliwie.

Maldwin wyjechał na wakacje do Nowego Jorku, gdzie przypadkiem udało mu się dostać pracę kamerdynera, a następnie sam zaczął prowadzić kursy. I jak dotąd Thorn w żaden sposób nie mógł go powstrzymać.

Stojący na pobliskim stoliku telefon rozdzwonił się głośno, fatalnie działając na stargane nerwy Darlingtona. Poirytowany podniósł słuchawkę.

W kilka chwil później pierwszy od tygodni szeroki uśmiech rozjaśnił jego jowialną twarz.

— Śmierć w podejrzanych okolicznościach oraz przypuszczalny rabunek dokładnie naprzeciwko szkoły

Maldwina Fecklesa? Cóż za wspaniała nowina. Jak sądzę, łatwo będzie jeszcze bardziej tam namieszać, prawda? — W ponurym biurze rozległ się śmiech Thorna. — Stary Maldwin Feckles pożałuje, że kiedykolwiek przyszło mu do głowy poprowadzić szkołę dla kamerdynerów. Gorzko tego pożałuje!

8

Daphne Doody przez niemal dwadzieścia lat zajmowała mieszkanie na parterze Klubu Osadników, aczkolwiek nigdy dotąd nie była świadkiem równie ekscytujących wydarzeń jak te z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Najpierw z szybkością pożaru rozeszła się wieść o szczodrej darowiźnie, którą zamierzali przekazać klubowi Nat Pemrod i Ben Carney. Zaledwie kilka godzin później z budynku na zawsze wyniesiono ciało Nata. I jeszcze ta nowina o śmierci Bena oraz zaginięcie brylantów. Czyste wariactwo.

Poprzedniego dnia Daphne zaglądając do jadalni, zobaczyła, że Nat i Ben jedzą lunch z Thomasem Pilsnerem. Znakomicie się bawili, miała więc nadzieję, że ją też zaproszą. Nie zrobili jednak tego. Cóż, raz na wozie, raz pod wozem, pomyślała wtedy. Nie ulegało wątpliwości, że to męskie spotkanie. A któż mógł przypuścić, iż Nat i Ben tak szybko odejdą z tego

świata?

Daphne kupiła swoje mieszkanie, kiedy miała czterdzieści lat i zarabiała sporo pieniędzy, podkładając głos w reklamach i kreskówkach dla dzieci. Jednocześnie występowała też w wielu przedstawieniach na off-Broadwayu, gdzie grała role komediowe. Mimo że pracowała więcej niż większość aktorów, wciąż miała mnóstwo wolnego czasu na wtykanie nosa w sprawy innych mieszkańców i członków Klubu Osadników. Jako kobieta dwudziestoparoletnia wyszła za mąż za kolegę z kursu aktorskiego. Niestety, zakochała się w postaci, którą odgrywał. Nie minęło wiele czasu, a odkryła, że żaden z niego Rhett Butler.

Obecnie Daphne skończyła sześćdziesiąt lat i aż tryskała energią. Zawsze pragnęła powtórnie wyjść za mąż, lecz jakoś nigdy do tego nie doszło. Nie miała krewnych, powtarzała więc, że jej rodziną są przyjaciele, dla których często wydawała przyjęcia. Urządzała też własne koncerty fortepianowe. Owe spotkania muzyczne okazały się dość ryzykowanym posunięciem, ponieważ Daphne popełniła błąd, wystawiając dzban na napiwki, czym obraziła kilkoro gości. Uczyniła to jednak w chwili ogromnego przygnębienia, gdy straciła rolę w reklamie i obawiała się, że zostanie bezrobotna.

Wciąż rudowłosa — dzięki comiesięcznym wyprawom do

miejscowego salonu fryzjerskiego — Daphne była atrakcyjną kobietą z upodobaniami do strojów w stylu Greenwich Village. Lubiła berety i szale, długie spódnice oraz sznurowane trzewiki. Wrażliwość artystyczna i skłonność do bohemy przyciągnęły ją do Klubu Osadników. W końcu założył go dżentelmen, w którym budziły wstręt inne sztywne instytucje tego typu w mieście. Zależało mu na ludziach żądnych przygód i doceniających sztukę. Poza tym od początku przyjmował kobiety w poczet członków. Gdzież spotkam równie ciekawych ludzi? — myślała Daphne dwadzieścia lat temu.

Teraz siedziała w swoim apartamencie, czytając w ulubionym

dzienniku „New York World” artykuł o starszym mężczyźnie, który po ponad pięćdziesięciu latach pracy w charakterze portiera w hotelu Plaza odszedł na emeryturę. Sporo widział, pomyślała. Tak samo jak ja, mieszkając w tym miejscu.

Odłożyła gazetę. Czas się ubierać. W końcu dzisiaj była kobietą pracującą.

Udało jej się zostać dublerką aktorki występującej w filmie, do którego sceny kręcono tego dnia w klubie. Prawda, że nie była to prawdziwa rola, ale przynajmniej mogła spotkać kogoś z branży. A Daphne musiała poznać nowych ludzi. Członkowie klubu padali jak muchy.

W holu usłyszała głos Thomasa.

Podbiegła do drzwi i przez wizjer zobaczyła go idącego z młodą kobietą, której twarz wydała jej się znajoma. Kto to może być?

— Zaraz, zaraz! — szepnęła Daphne. — Przecież widziałam jej zdjęcie w gazecie. To Regan Reilly, prywatny detektyw. Thomas musiał ją sprowadzić!

— Na pewno nie masz nic przeciwko skorzystaniu z mieszkania Nata?

Zatrzyma się w jego mieszkaniu! Daphne zamknęła wizjer. Teraz nie mam czasu, pomyślała, ale później wpadnę do niej z tacą ciasteczek i zaproponuję pomoc. Opowiem też o tych kupczących ciałami przyjęciach naprzeciwko

apartamentu Pemroda, na których kobiety w pewnym wieku nie są mile widziane!

— I znowu zaświeciło słońce —
nuciła, biegnąc do sypialni.

9

Regan wyszła z windy w ślad za Thomasem i podążyła wyłożonym czerwonym dywanem korytarzem w kierunku apartamentu Nata Pemroda. Na ścianach wisiały oprawne w ramki czarno-białe fotografie, dokumentujące przyjęcia wydawane w klubie w różnych czasach.

— Mnóstwo tu historii — zauważyła Regan.

— Sto lat historii, Regan — uściślił Thomas, otwierając ciężkie drzwi. Znaleźli się w wykładanym boazerią przedpokoju. Na prawo Regan widziała przestronny salon. — Przez ostatnie pół wieku Nat nazywał to mieszkanie swoim domem — dodał cicho.

— Jeden z tych wspaniałych starych apartamentów — skomentowała.

W salonie jej wzrok przykuło maleńkie witrażowe okno wysoko pod sufitem. Dzięki niemu w pomieszczeniu panowała pełna powagi atmosfera starego kościółka.

— Cóż za cudowne schronienie przed światem — powiedziała zachwycona. — I popatrz na te owieczki!

— Podobno Nat i Wendy kupili je dawno temu. Jak się rozejrzysz, zobaczysz, że Wendy miała słabość do owiec. Wyraziła życzenie, że kiedy oboje z Natem umrą, owieczki mają zająć honorowe miejsce w głównym salonie. Chyba powinienem od razu je tam przenieść.

— Kiedy umarła Wendy? — zapytała Regan.

— Trzy lata temu. Byli małżeństwem przez czterdzieści pięć lat.

— Musiało mu być ciężko i samotnie po jej śmierci — zauważyła.

— Wiesz, Nat nie zmienił niczego w mieszkaniu. Na toaletce w sypialni dalej stoją wszystkie jej perfumy i kosmetyki, tak jak je zostawiła. Mówił, że

spodziewa się zobaczyć, jak Wendy wychodzi z łazienki i siada przed lustrem, aby swoim zwyczajem wyszczotkować włosy przed snem.

— Miał jakichś bliskich przyjaciół, prawda?

— Jego najlepszymi przyjaciółmi byli ci trzej, z którymi grał w karty.

Regan podeszła do starego, kosztownego biurka.

— Tutaj leżała cała biżuteria, tak?

Thomas z wyrazem cierpienia na twarzy skinął tylko głową.

— A gdzie jest sejf?

— Za tymi książkami. — Odsunął kilka starych tomów i przełożył je na biurko, a następnie pchnął boazerię, odsłaniając sejf.

— Całkiem sprytnie ukryty — przyznała Regan. — Moja matka ma sejf w sypialni, ale w widocznym miejscu. Kilka lat temu złodzieje włamali się do domu i rozbili sejf. Ukradli całą biżuterię. Zawsze powtarzam, że bezpieczniej by było, kiedy trzymała ją w pudełku na strychu.

Thomas skinął głową.

— Moja babka chowała biżuterię w różnych takich miejscach, tylko nigdy nie pamiętała, gdzie. Po jej śmierci musieliśmy bardzo uważać, gdy chcieliśmy coś wyrzucić. Biżuterię znaleźliśmy w schowku w książkach.

— Wiesz, Thomasie, chciałabym przeszukać apartament, żeby się przekonać, czy naprawdę brylantów tu

nie ma.

— Zgoda, choć będę się upierał, że Nat trzymał je w czerwonym aksamitnym pudełeczku w sejfie. Rozległ się dzwonek do drzwi.

— A to co znowu? — zapytał retorycznie Thomas, śpiesząc do wyjścia. Regan czekała, ustalając w myślach kolejność spraw, którymi musi się zająć. I jeszcze te wszystkie książki. Czerwone pudełko może być ukryte w którejkolwiek z nich.

Od ścian odbił się echem dźwięk przypominający wycie dzikiego psa. Regan pobiegła do drzwi frontowych. Thomas opierał się o ścianę, ściskając w dłoni czerwone aksamitne pudełko. Kobieta w uniformie pokojówki, na oko

po pięćdziesiątce, stała w korytarzu, cmokając współczująco.

— Co się stało? — zapytała Regan.

— Rano słyszałam, jak wszyscy mówili, że zginęło czerwone puzderko. Znalazłam je! A ponieważ wiedziałam, że Thomas jest tutaj, przybiegłam na górę tak szybko, jak tylko mogłam.

— Jest puste! — zawołał Pilsner.

— Gdzie pani je znalazła? — zapytała Regan.

— W koszu na śmieci w gabinecie Thomasa.

Regan spojrzała na przyjaciela, który sprawiał wrażenie, jakby miał osunąć się na podłogę.

Główne biuro wytwórni Biggest Apple Productions mieściło się w mieszkaniu Stanleya Stocka, prezesa, założyciela i jedyne go pracownika tej firmy. Samo pomieszczenie było w rzeczywistości starą stacją benzynową na Lower West Side na Manhattanie; co prawda hulały po niej przeciągi, za to z okien rozciągał się piękny widok na rzekę Hudson. Stanley przekształcił lokal w dom i biuro, stawiając w kącie dwa kuchenne krzesła dla gości, z którymi przeprowadzał wywiady do swego cotygodniowego programu nadawanego w bezpłatnej kablówce. Tuż nad nimi wisiał na haku rząd starych opon — pozostałość po dawnych

dobrych czasach. W powietrzu unosił się nikły zapach benzyny, zdaniem niektórych fatalnie wpływający na zdolności umysłowe Stanleya.

Stacja benzynowa należała do jego ojca; bywało, że i Stanley na niej pracował. Ponieważ jednak po tacie nie odziedziczył żadnych technicznych umiejętności, większą część swych pięćdziesięciu ośmiu lat spędził jako sprzedawca. Sprzedawał wszystko, od szczotek Fullera począwszy, na subskrypcjach czasopism oferowanych przez telefon skończywszy. Jako człowiek pełen entuzjazmu nie tracił ducha, gdy sto razy na dzień rozmowa kończyła się niczym. Wystukiwał po prostu kolejny numer i klepał swoją

formułkę, póki nie usłyszał dźwięku odkładanej po drugiej stronie słuchawki. Współpracownicy lubili Stanleya i zwykle w którymś momencie znajomości zwierzali mu się ze swoich problemów. Zawsze brał ich stronę i zgadzał się ze wszystkim, co mówili.

— Racja! — wykrzykiwał z emfazą, gdy stali przy ekspresie do kawy albo zbiorniku z wodą mineralną. — Masz absolutną słuszość! — Zazwyczaj wtrącał też zwrot: „To straszne!”.

Rok temu, po pogrzebie ojca. Stanley uznał, że ma już dość. Rzucił ostatnią pracę, w której spędził miesiąc, i uroczyście zamknął wrota garażu, zawierającego schedę w postaci zepsutych samochodów, po czym sam

się tam wprowadził. Doszedł do wniosku, że to zgodne z modą posunięcie, pierwsze takie w jego życiu. Ludzie w tej części Nowego Jorku bili się o strychy, w których wcześniej znajdowały się magazyny. Czyż stacja benzynowa to nie to samo?

Pytanie wiszące w przesiąkniętym zapachem benzyny powietrzu brzmiało: I co dalej? Co zrobić z resztą życia? Stanley zadawał je sobie raz po raz. Odziedziczył dość pieniędzy na przeżycie, czuł jednak, że nie odcisnął własnego śladu na ziemi. W tej kwestii miał absolutną rację.

Odkrył uczucie, do tej pory całkowicie mu obce: ambicję. Obudziło się w jego duszy, gdy w końcu poznał

swoje prawdziwe powołanie.

Wieczorami kładł swe słuszne ciało na przykrytej narzutą sofie i brał do ręki pilota, by oglądać telewizję; odbiornik ustawił na podnośniku, który wcześniej służył do windowania zepsutych aut w powietrze. Nieodmiennie łapał się na tym, że nieważne, co prezentowały inne programy, on wybierał kanał Free Speech. Była to stacja kablowa, z mocy prawa dostępna dla każdego, kto chciał w niej wystąpić. W rezultacie często nadawano tam audycje zaskakująco złe, fatalnie zrealizowane, bezsensowne, prowadzone przez absolutnie nienadających się do tego ludzi. Były tak kiepskie, że człowiek wbrew sobie przystawał i rzucał na nie okiem, jak na

mijany po drodze wypadek.

Stanleya bawiły te programy.

— Przecież ja lepiej bym to zrobił!

— wykrzyknął wreszcie. — Muszę dostać się na antenę!

Uzbrojony w kamerę wideo, wyruszył na ulice Nowego Jorku. Ludzie go polubili, podobnie jak wcześniej współpracownicy. Każdy, z kim nawiązał rozmowę, opowiadał mu o swoim pechu. Stanley często myślał, że powinien być zostać psychoanalitykiem. Nie minęło wiele czasu, a program „Gripe du jour” stał się bardzo popularny. Kolejka chętnych do wylania swych żalów przed kamerą nie miała końca.

— Ten idiota w delikatesach podał

mi kawę w namokniętym kubku, a w dodatku źle zamknął przykrywkę. Kubek pękł i kawa ochlapała mi cały płaszcz! — krzyczał któryś z jego rozmówców. — Mam tego po uszy!

Wreszcie i Stanley miał tego po uszy. Do głowy przyszła mu audycja o zdrowiu, szybko jednak się zorientował, że rynek już jest nadmiernie nasycony tą tematyką. W zeszłym tygodniu, wracając do domu z kamerą pełną pretensji, włączając w to narzekania na metro turystów z Times Square, którzy poza tym nie mieli nic do powiedzenia, Stanley był naprawdę w podłym nastroju. Dotarł do swojej stacji, otworzył drzwi i z radością wszedł do środka.

Minął automaty ze słodyczami i położył kamerę na stole służącym do wszystkiego. Przejrzał pocztę, odrzucając od razu reklamówki i tym podobne śmieci. Zainteresowała go dopiero ostatnia koperta. Rozerwał ją i w środku znalazł list od Maldwina Fecklesa, informujący o otwarciu szkoły dla kamerdynerów. Hmm, mruknął Stanley, może uda mi się zrobić z tego interesujący kawałek.

I tak się stało. Poprzedniego wieczora sfilmował uczniów szkoły przy pracy na wieczorze dla samotnych z klasą u Księżniczki Miłości. Żałował, że przyjęcie tak szybko się skończyło, bo po drugiej stronie holu rozpętało się piekło. Będzie musiał jakoś włączyć to

w swój reportaż.

Teraz Stanley pijąc drugą filiżankę kawy tego ranka, uświadomił sobie, że jeśli jutro wieczorem ma sfilmować wielkie przyjęcie w Klubie Osadników, to powinien już się zbierać i pójść do Gramercy Park, by zrobić kilka ujęć do wykorzystania we wstępie. Może spotka tam kamerdynerów i namówi ich na spacer po parku!

Wymienił kasetę w kamerze, a w pół godziny później był już w drodze do śródmieścia.

— Tak mi przykro, chciałam tylko pomóc — mówiła pokojówka,

wpatrując się w Regan pytającym wzrokiem, jakby zamierzała dodać: „I co teraz zrobisz?”.

— Dobrze się czujesz? — zwróciła się Regan do Thomasa, który wciąż ściskał kurczowo pudełko z czerwonego welwetu z napisem: „Pemrod. Jubiler”.

— Regan, powiedz mi, że to jakiś koszmar.

— Z tym akurat muszę się zgodzić.

— Regan!

— Przepraszam, Thomasie, jesteś blady, jakbyś zobaczył ducha. Może usiądziesz?

Wrócili więc razem z pokojówką do salonu.

— Wiesz, nie mam ochoty wchodzić do łazienki Nata. Claro, pokażesz pannie

Regan resztę mieszkania?

— Oczywiście — odrzekła kobieta z szerokim uśmiechem. — Proszę tędy. Co tydzień sprzątałam apartament pana Pemroda. Cóż to był za miły człowiek! Wielka szkoda, że umarł.

Regan skinęła głową.

— Thomasie, poczekaj tu na nas i odpręż się trochę.

— Nie — odrzekł szybko — mam atak paniki. Lepiej mi będzie w gabinecie. Spotkamy się tam później, dobrze?

Thomasie, nie zepsuj wszystkiego, pomyślała Regan z nagłym przyływem czułości. Wyglądał jak jeleń oślepiiony reflektorami samochodu.

— Jasne, idź — powiedziała. —

Jestem pewna, że Clara mi pomoże.

Ta uśmiechnęła się z dumą.

— Wie pani, jak się jest czyjaś pokojówką, to sporo o tej osobie się wie. Fakt, zdarzały mi się flejtuchy, ale Nat taki nie był. Wie pani, czasem...

— Proszę poczekać — przerwała jej Regan, odprowadzając Thomasa do drzwi. — Zaraz wrócę. — Wyjęta czerwone pudełko z jego dłoni i odwróciła się do damy, która z wielką przyjemnością śledziła rozgrywający się na jej oczach dramat. — Mówiła pani...? — ponagliła ją Regan.

— A tak, kiedyś pracowałam u pewnej pary. Zawsze zostawiali okropny bałagan...

— Chodzi mi o Nata — przerwała

Regan z całą łagodnością, na jaką było ją stać.

— Jasne, Nat. — Clara uniosła obie dłonie i spojrzała na sufit, jak gdyby spodziewała się znaleźć tam jakąś odpowiedź. — Po śmierci żony był okropnie smutny. Miała bzika na punkcie owiec. — Ruszyła korytarzem w kierunku głównej sypialni. W progu odsunęła się, przepuszczając Regan. — Ładne, prawda?

— Tak. — Regan zauważyła toaletkę z kosmetykami Wendy, o której wspomniał Thomas. — Och, a to łazienka. — Zrobiła krok w kierunku drzwi, biorąc głęboki wdech. Wszystkie jej zmysły wyostrzyły się, by nie pominąć żadnego szczegółu sceny

śmierci.

— Utrzymanie tego marmuru w czystości sprawiało mi największe kłopoty — odezwała się Clara przepraszającym tonem. — Próbowałam różnych środków, ale żaden nie był dobry...

Zabawne, o czym ludzie mówią w takich chwilach, przeszło Regan przez głowę. Wiedziała jednak, że kobieta nie ma nic złego na myśli.

— Ogromna ta wanna, sporo się trzeba namęczyć, żeby ją wyszorować — zauważyła ze współczuciem.

— Tak — odrzekła pokojówka. — Tylko że prawie jej nie dotykałam, odkąd umarła Wendy.

— Jak to? — zapytała Regan.

— Bo Nat nie cierpiał kąpać się w wannie, zawsze brał prysznic.

12

— A teraz, Thomasie, postaraj się myśleć o czymś miłym.

Janey, dziewczyna Thomasa, jak zwykle miała na sobie kardigan, wąską spódnicę i wygodne buty; charakter całemu strojowi nadawał pojedynczy sznur pereł, najbardziej przez nią ceniony. Dokładała starań, by uspokoić zdenerwowanego narzeczonego. Siedział przy biurku w gabinecie, ona stała obok i masowała mu skronie.

— Jak to możliwe, żeby sprawy błyskawicznie przybrały tak fatalny

obrót? — zapytał drżącym głosem. —
Mieliśmy tyle planów związanych z
klubem. Podwieczorki z tańcami,
niedzielne śniadania, bale, wykłady,
impresy kulturalne...

— Nie wszystko jeszcze stracone. A
późne śniadanie zeszłej niedzieli było
bardzo udane — przerwała Janey,
zanurzając palce w gęstej czuprynie
Thomasa, by rozmasować mu głowę.

— To nie całkiem prawda —
lamentował Pilsner. — Kiedy
wychodziła ta grupka dzieciaków z
college'u, jeden z nich powiedział, że
młodsze twarze widział na banknotach.

Janey energicznie pokręciła głową.

— Nie trzeba było zapraszać
młodzieży, bo nastolatkom nie zależy na

eleganckim śniadaniu. Poza nimi jednak wszyscy dobrze się bawili.

— Jedynymi, którzy nie narzekali na jedzenie, byli Nat i Ben, a teraz obaj nie żyją.

— Byli najmiłszymi z ludzi — westchnęła Janey.

Thomas ujął jej obie dłonie.

— Jak myślisz, skąd to czerwone pudełko znalazło się w moim koszu?

Janey obeszła fotel i przysiadła na blacie biurka niczym prawdziwa dama.

— Ktoś je tam podrzucił — oznajmiła z żelazną stanowczością. — Ktoś, kto wczoraj był w klubie i ukradł brylanty.

— Ale kto?! — wykrzyknął Thomas. Stukanie do drzwi sprawiło, że

oboje podskoczyli.

— Proszę wejść! — zawołał gospodarz, prostując zgarbione plecy.

W progu stanęła Regan Reilly.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

— Ależ nie — odrzekł Pilsner. — Regan, to moja narzeczona Janey.

— Witaj, Janey. — Regan wyciągnęła do niej rękę.

— Miło mi — odpowiedziała Janey słabym głosem.

— Mamy sporo spraw do omówienia, Thomasie — oznajmiła Regan.

Janey spojrzała na zegarek przez swoje babcine okulary.

— Lepiej już pójdę.

— Możesz zostać — odezwał się Thomas niemal błagalnym tonem.

— Nie, kochanie, mam pracę. — Wzięła z krzesła swój beżowy płaszcz. Regan wydało się, że ta dziewczyna cała była beżowa. — Zobaczę się z wami później.

— Jest bardzo miła — zauważyła Regan, kiedy zostali sami.

— Jest cudowna. Najcudowniejsza kobieta, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi — oświadczył Thomas z żarem.

A skąd wiesz? — pomyślała Regan, głośno jednak zapytała:

— Gdzie pracuje?

— W domu. Zajmuje się gotowaniem dla ludzi, którzy nie mają na to czasu. Zamawiają posiłki na cały

tydzień i przechowują je w zamrażarce. Jest bardzo wspaniałomyślna, starszym klientom daje rabat. Nie spotkałem dotąd osoby, która spełniałaby tak wiele dobrych uczynków.

— To wspaniale — odrzekła Regan, myśląc o koleżance z college'u, która zawsze chodziła z puszką, zbierając datki na jakiś dobry cel. Wiele lat później zauważyła ją na lotnisku; miała ogoloną głowę, uśmiech przyklejony do twarzy, a w dłoni tę samą metalową puszkę. Regan musiała przyznać jej jedno: zawsze głęboko angażowała się w każde przedsięwzięcie. Janey najwyraźniej była podobnym typem do tamtej.

— Regan! — wykrzyknął nagle

Thomas. — Nie mam nic wspólnego z tym czerwonym pudełkiem w moich śmieciach!

— Wierzę ci — odparta krótko. — Ale to dowodzi, że ktoś ukradł brylanty. Moim zdaniem cała ta sprawa została zaplanowana. Włącznie ze śmiercią Nata. — I powtórzyła Thomasowi wszystko, czego dowiedziała się od pokojówki.

Pilsner przekrzywił głowę.

— Wiesz, jakoś nie umiem wyobrazić sobie, że ktoś może nie lubić kąpieli.

Regan jęknęła w duchu.

— Skoro jednak nie lubił, niezależnie od powodów, to jego śmierć staje się coraz bardziej podejrzana. I

wiesz, zaczynam zadawać sobie pytanie, czy Ben nie dlatego miał atak serca, że ktoś wepchnął go pod autobus.

— Morderstwo w klubie! To nigdy wcześniej się nie zdarzyło.

— A ja chcę dopilnować, żeby się nie powtórzyło. Muszę porozmawiać z kobietą mieszkającą po drugiej stronie holu, która wydawała wtedy przyjęcie.

— Księżniczka Miłości.

— Niech jej będzie.

— Załatwmy to od razu. — Sięgnął po telefon, a w kilka minut później pukali już do drzwi.

— Jesteście eleganckimi samotnymi? — zapytała Lydia z szerokim uśmiechem, kiedy Thomas

przedstawił jej Regan.

— Zależy, kogo pani pyta — odparła Regan.

Lydia wybuchnęła śmiechem, jakby w życiu nie słyszała zabawniejszej odpowiedzi. Regan uśmiechnęła się wbrew sobie. Ludzie, którzy śmieją się z twoich dowcipów, bez wątpienia zyskują dodatkowe punkty, pomyślała.

— Proszę, wejdźcie. — Lydia wyciągnęła rękę ozdobioną kosztownymi bransoletami. Bizuteria, seksowna suknia i makijaż nasuwały myśl, że za chwilę będzie pozować do zdjęcia na okładkę romansu.

Rozsądny wybór, pomyślała Regan, przecież ta kobieta ubiera się tak do pracy.

— Twoje walizki wciąż stoją w moim gabinecie — zwrócił się do niej Thomas. — Wniosę je na górę. Oto klucz do apartamentu.

Regan zerknęła na zegarek.

— Po rozmowie z panną Lydią skontaktuję się z bratem Nata.

— Będę w gabinecie — odrzekł Thomas i jak strzała wypadł z mieszkania.

Regan podążyła za gospodynią do salonu. Architektonicznie apartament stanowił lustrzane odbicie mieszkania Pemrodów, lecz na tym podobieństwo się kończyło. W salonie stało sześć pastelowych dwuosobowych kanap. Nie było żadnych sof ani krzeseł, tylko dwuosobowe kanapy. Podłogę

przykrywał jasnoróżowy dywan, ściany rozjaśniały ogromne malowidła przedstawiające bukiety wielobarwnych kwiatów.

— Lubię, gdy w domu panuje miła atmosfera — wyjaśniła Lydia, dostrzegając, że Regan wodzi wzrokiem po pokoju.

— Bardzo tu ładnie — pochwaliła Regan, choć wystrój salonu wydał się jej intrygujący. — Lubi pani dwuosobowe kanapy.

— Moje przyjęcia dla samotnych są bardziej udane, odkąd je kupiłam. Ludzie zmuszeni są siedzieć blisko siebie. Albo się polubią, albo nie. Tak czy owak, szybko widać, czy para jest sobą zainteresowana. Dzięki temu

oszczędzamy sporo czasu.

— A nikt nie ma go za dużo — skomentowała Regan, wyjmując notatnik.

— Wystarczy spojrzeć na Nata, jego czas już się skończył, teraz przebywa w zupełnie innym wymiarze. Ale jest szczęśliwszy — oświadczyła Lydia.

— Skąd pani wie?

— Mam takie wrażenie. Wie pani, posiadam trochę zdolności parapsychologicznych. Połączył się ze swoją wielką miłością, Wendy, a to najważniejsze. I nie cierpiał.

I znowu Regan zapytała:

— Skąd pani wie?

— Jeśli poślizgnął się w wannie i uderzył w głowę, to sprawa nie trwała

długo. Nie chorował przewlekłe.

— Mógł jeszcze pożyć kilka dobrych lat — zauważyła Regan. — Miał mnóstwo planów.

— Istotnie, chyba cieszył się życiem. — Lydia westchnęła. — Nie znałam go zbyt dobrze, wprowadziłam się tutaj ubiegłej jesieni. Pierwsze przyjęcie wydałam w walentynki i zaprosiłam go, chociaż wiekowo sporo odbiegał od naszej grupy. Z mojej strony był to dobrosąsiedzki gest. Uwielbiał opowiadać dowcipy, nie zawsze najlepsze, ale świetnie się bawił.

— Przychodził też na inne przyjęcia?

— Czasami wpadał na kilka minut. Zwykle dlatego, że miał do opowiedzenia nowy kawał.

Regan postanowiła przejść do sedna sprawy.

— Tak się zastanawiałam, Lydio, czy mogłaby mi pani dać listę gości z ostatniego przyjęcia?

Księżniczka Miłości sprawiała wrażenie wstrząśniętej.

— Wiem, że prawdopodobnie zniknęły brylanty, ale jeśli zacznie pani przesłuchiwać moich gości, zrujnuje mi pani interes.

— A co pani słyszała o brylantach?
— spytała Regan.

— Mój kamerdyner Maldwin Feckles słyszał, że w sobotę wieczorem na przyjęciu Nat i Ben zamierzali poinformować zebranych, że ofiarowują klubowi pieniądze ze sprzedaży

należących do nich brylantów. Oboje byliśmy tacy szczęśliwi. Chcemy, żeby klub dalej istniał, Regan, związaaliśmy z nim nasze firmy.

— Inni ludzie też to wiedzieli?

— No cóż, na moim przyjęciu była o tym mowa.

— Kto dokładnie mówił?

— Kamerzysta, który robi reportaż o nas i o klubie. Usłyszał wiadomość i pytał gości, czy teraz, kiedy klub ma dostać tyle pieniędzy, zdecydowaliby się na wstąpienie. Wszyscy byli w znakomitych humorach.

— W takim razie w interesie was obojga jest odzyskanie brylantów.

— Wiem, ale...

— Lydio, ja tylko chcę porozmawiać

z ludźmi, którzy tu byli. Nie potraktuję ich jak podejrzanych. Muszę się przekonać, czy coś widzieli lub słyszeli. Proszę mi wierzyć, najniewinniejsi z ludzi lubią brać udział w śledztwie. Uważają, że to podniecające.

Lydia przekrzywiła głowę.

— Sporo ludzi nie życzy sobie jednak, by ktoś się dowiedział, że biorą udział w spotkaniach dla samotnych. To dla nich kłopotliwe.

— A kto się dowie? Poza tym, czy chce pani sąsiadować z mieszkaniem, gdzie być może doszło do zbrodni, która nie została wykryta? Albo jeszcze gorzej, żeby na pani przyjęcie przychodził przestępca?

Lydia się wyprostowała.

— Jasne, że nie.

— Jestem tu, żeby pomóc Thomasowi wyjaśnić sprawę. Grozi mu utrata pracy. Powiedział mi, że wyraził zgodę, żeby urzędowała pani w tym mieszkaniu wieczorki, a kamerdyner prowadził zajęcia swojej szkoły. Wątpię, czy jego ewentualny następca okaże się równie liberalny. A jeśli klub zostanie zamknięty, to naprawdę będzie pani miała pecha.

Kobieta utkwiała wzrok w swoich długich różowych paznokciach. Wreszcie uniosła głowę.

— Wierzę, Regan, że każdy ma swoją bratnią duszę. Celem mojego życia jest pomóc ludziom w znalezieniu tej szczególnej osoby...

Ojejku, pomyślała Regan. No cóż, dopóki ci płacą...

— Zapraszam samotnych do swego domu, żeby otworzyli tu serca. Otworzyli dusze. By w ich mroczne, tak bardzo mroczne życie wpuścić trochę miłości...

— Lista, Lydio?

— Do tego zmierzam. — Odchrząknęła. — Jako że dyskrecja to niezwykle istotny element mojej działalności... wie pani, ludzie uwielbiają opowiadać, jak spotkali swoją drugą połówkę w zatłoczonym pociągu, tylko że rzadko tak bywa. Gotowa jestem zrobić rzecz następującą: zaproszę wszystkich na dzisiejszy wieczór, a jako pretekst podam całe to

wczorajsze zamieszanie. Oczywiście na koszt firmy. Pani będzie mogła wtedy z nimi porozmawiać. Nie wydaje mi się, żeby kogoś z nich uznała pani za winnego.

— Czy zgodzą się przyjść w tak krótkim czasie?

— Może mi pani wierzyć, że przyjdą, jeśli nic ich nie będzie to kosztować. Przynajmniej, aby się napić.

— A jeśli ktoś nie będzie mógł?

— To podam pani jego nazwisko.

Regan podniosła się z fotela.

— Zgoda, a zatem, do zobaczenia wieczorem. Rozumiem, że uczniowie pani kamerdynera obsługiwali to przyjęcie. Czy może pani tak to zorganizować, żeby oni też tu byli?

Lydia zerwała się na równe nogi i rozpostarła ramiona.

— Odtworzymy ubiegły wieczór.

— Miejmy nadzieję, że rekonstrukcja nie będzie jednak dokładna.

Lydia roześmiała się wesoło.

— Będę dzisiaj zajęta — powiedziała Regan. — Proszę dać mi znać, ilu wczorajszych gości uda się pani zebrać.

Lydia poruszyła palcami.

— Zaraz zacznę do nich dzwonić.

Georgette Hughes i Blaise Bowden siedzieli w ponurym milczeniu,

popijając poranną kawę przy maleńkim stoliku w wynajętym pokoju na Upper West Side na Manhattanie.

— Tak mi przykro! — rzuciła Georgette.

— Przecież nic nie mówiłem — jęknął Blaise.

Przed nimi leżały cztery kryształki, które Nat wyjął z oczodołów Dolly i Bah-Baha.

— Nie potrafię tego zrozumieć — lamentowała Georgette. Niewysoka, o obfitym biuście i długich, przetykanych platynowymi pasemkami brązowych włosach, odznaczała się upodobaniem do ogromnych kolczyków i intensywnych perfum. Jej piwne oczy potrafiły spoglądać ciepło, za to twarz w ułamku

sekundy przybierała nieprzyjemny wyraz. — Przecież wtedy widziałam te brylanty. Kiedy zadzwoniłam do drzwi, Nat był zaskoczony moim widokiem. Całą biżuterię miał na stole. Mówię ci, były tam te cztery brylanty.

Blaise podniósł kryształę i rzucił je na podłogę.

— Można je kupić na każdym straganie. — Był barczystym blondynem, przystojnym i miłym, aczkolwiek umysłem nie dorównywał Georgette. Jej siostra nazywała go „tekturowym pudłem”. Dla Georgette jednak stał się idealnym partnerem i współnikiem w przestępstwie. Dryfowali przez życie, dwoje oszustów, od sześciu lat łupiąc naiwnych w całym kraju. — Przez kilka

tygodni jestem uwięzany w tej idiotycznej szkole dla kamerdynerów. Nie znoszę tego.

— A myślisz, że te przyjęcia dla samotnych, na które chodzę z takim samozaparciem, to wielka przyjemność? Ile razy jeszcze wytrzymam tę okropną paplaninę o niczym? I co powiesz o czasie, który zmarnowałam na uwodzenie starego Nata? Był miły, ale zupełnie nie w moim typie. A teraz umarł, a ja nie mam nic.

Blaise wstał.

— Popatrz na tę wilgotną norę. Od tak dawna nic nam się nie udało, że to aż żałosne. Powinnaś była wziąć trochę biżuterii jego żony.

— Myślałam, że brylanty są warte

cztery miliony dolarów, a poza tym tak się złożyło, że miałam małą torebkę! Poszłam do jego mieszkania, kiedy usłyszałam plotkę, że sprzedaje brylanty. Byłam jak nieprzytomna! Skąd miałam wiedzieć, że następnej szansy już nie dostanę? Gdybym wiedziała, wzięłabym większą torebkę, możesz być pewny!

— I co teraz zrobimy?

— Na razie pójdziesz na zajęcia. Świadcetwo ukończenia szkoły dla kamerdynerów, jeśli uda ci się je uzyskać, bardzo nam się w przyszłości przyda. Będziesz miał dostęp do wszystkich tych wspaniałych rezydencji, na widok których świerzbią cię palce.

— To dla mnie za wielki stres. Nie umiem znieść tego wiecznego gładzenia

Maldwina Fecklesa o tajemnicach zawodu kamerdynera, napiwkach, zakazach i nakazach. „Kamerdyner powinien być usłużny”. „Kamerdyner powinien mieć doskonałe maniere” — mówił coraz głośniej Blaise. — „Kamerdyner powinien zawsze witać pracodawcę z właściwym szacunkiem”. „Kamerdyner nie powinien kwestionować żadnych poleceń”. Mam ochotę wrzasnąć: „Zamknij się!”.

— Przestań, Blaise, głowa mnie od tego boli.

— I nie cierpię, kiedy chodzisz na randki z innymi facetami.

— Nie zaczynaj — zaprotestowała Georgette. — Myślisz, że lubię spotykać się z tymi wszystkimi nieudacznikami

tylko po to, żeby się przekonać, że nie mają nic, co można by ukraść? A gdybym nie zgadzała się na wszystkie randki, Lydia przestałaby zapraszać mnie na przyjęcia. Tylko dzięki temu mogłam wymykać się i wpadać do Nata. Powinnam była walnąć go w głowę za pierwszym razem, kiedy zobaczyłam brylanty, zamiast planować, że podłożę fałszywe.

— Nie żartuj nawet o waleniu go w głowę. Wygląda na to, że ktoś jednak tak zrobił.

— Nie musisz mi mówić, ja tam byłam. Kiedy usłyszałam, że otwierają się tylne drzwi, o mało nie padłam trupem na miejscu. Wybiegłam stamtąd ile sił w nogach. A ty masz jeszcze tupet

pytać mnie, dlaczego nie wzięłam biżuterii jego zmarłej żony!

— Mogliby cię oskarżyć o morderstwo.

— Blaise, przestań natychmiast! Nawet palcem go nie tknęłam!

— Trzeba pójść do jego apartamentu i poszukać brylantów. Muszą tam gdzieś być.

— Cóż, wybieram się do klubu jutro wieczorem na przyjęcie rocznicowe. Następny wieczorek u Lydii będzie dopiero w przyszłym tygodniu. Weź klucz. Jeśli uda ci się tam wejść dzisiaj, zrób to! — Georgette wstała i objęła kochanka.

— Ładnie pachniesz — powiedział, tuląc twarz do jej szyi.

Georgette pogładziła go po głowie.

— Zdobędziemy te brylanty, ty dostaniesz świadectwo, a potem wybierzemy się na miłe wakacje.

— Na których nie będę polerował sreber! — zaśmiał się Blaise.

— O nie, kochanie, twoja praca polega na wykradaniu sreber.

Ucałowali się, a potem Georgette patrzyła, jak Blaise, włożywszy płaszcz i okulary, idzie do drzwi.

Zakładając szkołę dla kamerdynerów, Maldwin Feckles postanowił, że wyjazdy w teren będą ważną częścią edukacji. Tyle miejsc

trzeba odwiedzić — sklepy z cygarami i winem, porcelaną i biżuterią, a także salony kreatorów mody — żeby zobaczyć najpiękniejsze przedmioty dostępne za pieniądze oraz nauczyć się, do czego służą i oczywiście, w jaki sposób należy o nie dbać.

Teraz Maldwin z pierwszą klasą liczącą czworo słuchaczy stał w zagraconym, mrocznym i pełnym kurzu sklepie z antykami w wiejskiej części New Jersey. Miał nadzieję zapoznać swoich uczniów z przedmiotami, które można znaleźć w domach obrzydliwie bogatych ludzi, chciał także wybrać trochę naczyń potrzebnych na przyjęcia u Lydii. Poprzedniego wieczoru trzy talerze spadły ze stołu w kuchni i rozbiły

się na podłodze.

Naturalnie nikogo nie obwiniano, a Maldwin postanowił nie robić z tego sprawy. Do incydentu doszło tuż po tym, gdy jeden z gości wbiegł do kuchni z wieścią, że po drugiej stronie holu znaleziono trupa.

Maldwin kichnął, rozglądając się po sklepie, który jak się okazało, oferował głównie rupiecie. Chociaż przy okazji prezentowania uczniom przedmiotów w rodzaju srebrnych tac i widelców z dziwacznymi zębami oraz wyjaśniania zastosowania tychże udało mu się natrafić na kilka godnych zakupu rzeczy, które przydadzą się w apartamencie panny Lydii. Były to pokryta kilkudziesięcioletnią patyną srebrna

waza do zupy, komplet łyżeczek do kawy, przez jednego z uczestników wyprawy wziętych za łyżeczki dla dzieci, oraz trzy pokryte plamami czajniczki do herbaty, które wymagały czyszczenia środkiem do protez zębowych.

Zakupy pakował sprzedawca, najwyraźniej przekonany, że wszystko w sklepie jest swego rodzaju skarbem.

— Popatrzcie — zaczął Maldwin, wskazując stos porcelanowych naczyń. — W żadnym razie nie można przechowywać tych rzeczy bez ochronnej wkładki pomiędzy talerzami, na przykład z gąbki, bo w przeciwnym razie wzajemnie się porysują...

Nagle zadzwonił jego telefon

komórkowy.

Bogu dzięki, pomyślał Blaise.

— Mówił pan, jak mi się zdaje, że telefony komórkowe są oznaką braku manier — mruknął Vinnie Checkers. Ciągle sprawiał kłopoty. Maldwin nie rozumiał, po co w ogóle ten chłopak zapisał się do jego szkoły. Wyglądał jak statysta z „Grease”.

— Są oznaką braku manier, kiedy przerywają posiłki, spektakle i koncerty albo wówczas, gdy właściciel prowadzi rozmowy donośnym głosem w pociągu, autobusie i innych miejscach publicznych. — Maldwin kichnął, wyciągając aparat z kieszeni na piersi. — Poza tym bywają niezwykle przydatne... Halo?... Co?... O nie...

Kolejne przyjęcie dzisiaj wieczorem... Natychmiast wracamy do miasta... To zajmie kilka godzin. — Wyłączył telefon, czując, jak ze strachu ściska mu się żołądek.

— Co się stało, Maldwinie? — zapytał Albert Ketler.

Usta miał ciągle otwarte, co robiło nieprzyjemne wrażenie na patrzących. Już wcześniej Maldwin pomyślał, że Albert ma nieustannie zdziwiony wyraz twarzy. Kolejny przyjęty tylko dlatego, że szkoła dopiero zaczynała działalność.

— Wracamy do miasta. Panna Lydia wieczorem wydaje przyjęcie.

— Znowu? — zapytał Vinnie. — Myślałem, że dzisiaj będziemy mieć wolne.

— Zapisując się na kurs, wiedzieliście, że będzie intensywny. A elastyczność to niezwykle ważna cecha kamerdynera. Trzeba być zawsze gotowym, by popłynąć z nurtem, jak to mówią — odparł Maldwin.

Z zaplecza wrócił sprzedawca z pakunkami.

— W przyszłym tygodniu dostaniemy naprawdę niezłe rzeczy — oznajmił, rzucając sobie spojrzenie przez okulary, i oddał Maldwinowi kartę kredytową oraz rachunek. — Niech pan wpadnie.

— Potrzebuję talerzy. — Maldwin wręczył mu wizytówkę. — Jeśli będą w dobrym gatunku, proszę dać mi znać.

— Wszyscy je tłuką.

— Coś takiego. — Maldwin zwrócił

się do grupy, unosząc laskę, którą zawsze zabierał na wycieczki. — Za mną!

Poprowadził całą czwórkę do samochodu marki Vista Cruiser combi, w posiadanie którego Lydia weszła jako nastolatka.

— To jedyny element mojego dawnego życia, z którego nie chcę zrezygnować — zwierzyła się kiedyś Maldwinowi.

Vinnie otworzył tylne drzwi i usiadł w trzecim rzędzie, a Albert zajął miejsce obok. Ci dwaj zaprzyjaźnili się już w pierwszym tygodniu zajęć i zawsze starali się siadać jak najdalej od nauczyciela. Poprzedniego wieczora pracowali do późna, rano wcześnie

wstali, byli głodni i zmęczeni. A w dodatku czekał ich kolejny pracowity i długi wieczór. Obaj liczyli, że w samochodzie trochę się zdrzemną.

Szczyście jednak im nie sprzyjało.

Mała Harriet, jedyna dziewczyna w grupie, usiadła na przednim fotelu obok Fecklesa.

— Czy po drodze możemy słuchać taśmy o etykiecie? — zapytała z nadzieją.

Vinnie i Albert jęknęli, Blaise Bowden, który usiadł w drugim rzędzie, swoim zwyczajem milczał.

— Naturalnie że tak — odrzekł Maldwin, wyjeżdżając z pełnego kolein podjazdu i mijając ogromną tablicę z napisem WITAMY. — Najpierw jednak

omówimy wszystkie błędy, które popełniliście wczoraj wieczorem. Vinnie, nad czym powinieneś popracować?

— To znaczy po przyjęciu?

Feckles się skrzywił, bo Vinnie i Albert zarechotali.

— Nie, chodzi mi o obowiązki kamerdynera.

Vinnie zmarszczył brwi.

— Wydaje mi się, że wczoraj wieczorem poradziłem sobie całkiem dobrze.

— Nie powinieneś był dawać lodu do czerwonego wina. — Harriet odwróciła się ku niemu.

— Nie obrażaj mojej matki! — odparł Vinnie. — Lubiła czerwone wino

dobrze schłodzone.

— No, no — przerwał im Maldwin.
— Nie chcemy nikogo obrażać, tak nie postępują prawdziwi dżentelmeni i damy. A wiele spraw to kwestia gustu. Może twoja matka najbardziej lubiła sangrię? To wino podaje się schłodzone.

— Wiem tylko, że w wazie były owoce.

Feckles skinął głową.

— No właśnie, to na pewno była sangria. Czerwone wina w dobrym gatunku podajemy w temperaturze pokojowej.

Vinnie machnął ręką.

— Głowa mnie boli.

— Dobrze nam zrobi chwila spokoju
— zgodził się Maldwin. I tabletką,

dodał w duchu. — Zaraz włączę taśmę o etykiecie, ale najpierw może ktoś powie, czego się dzisiaj nauczył?

— Ludzie dobrze wychowani nigdy nie brzęczą drobnymi w kieszeni — wyrwała się dziewczyna.

— Doskonale! — zawołał Maldwin. — Harriet, tobie wszystko przychodzi tak naturalnie.

Jego uczennica z zapałem kiwnęła głową.

— Ludzi okropnie to irytuje.

Maldwin mrugnął i pośpiesznie wsunął kasetę do magnetofonu, usiłując odegnać od siebie przeczucie klęski.

Przed wejściem do apartamentu Nata Regan rozejrzała się wokół. Naprzeciwko windy po drugiej stronie holu znajdowały się stalowe drzwi. Najwyższy czas sprawdzić, dokąd prowadzą, pomyślała, ruszając w ich kierunku.

Kiedy je otworzyła, jej oczom ukazało się ciasne pomieszczenie z szarego metalu i betonu. Kilka kroków przed nią niczym forteca górowało awaryjne wejście do windy. Po prawej i lewej stronie miała kolejne stalowe drzwi, tuż koło tych ostatnich była klatka schodowa. W powietrzu unosił się odór stęchlizny. Przy windzie stały dwa pojemniki na papier i plastik.

Regan niemal od razu pojęła, że

stalowe drzwi to wejścia służbowe do apartamentów Lydii i Nata. Widziała je, gdy Clara oprowadzała ją po mieszkaniu.

Jeśli ktoś chciał wślizgnąć się niepostrzeżenie do apartamentu Nata, lepszego sposobu nie mógł znaleźć, pomyślała. Czy ktoś ma klucz?

Wsunęła w zamek klucz, który trzymała w ręku. Ku jej zdziwieniu pasował. Ten sam klucz do drzwi głównych i tylnych? To niezwykle. Pchnęła je i weszła do niewielkiego korytarza tuż koło kuchni, po czym przekręciła klucz w zamku. W apartamencie panowała cisza, przerywana jedynie szumem lodówki.

Regan westchnęła. Kuchnia była

wąska i długa, z kremowymi meblami i błyszczącymi urządzeniami. Niektóre szafki miały szklane drzwiczki, przez które widać było staroświeckie filizanki, spodki i talerze ustawione w staranne stosy. Samo pomieszczenie, też staroświeckie i przytulne, wydawało się jednak oddalone od reszty mieszkania. Rozwiązanie to pochodziło zapewne z czasów, gdy lokatorzy tych mieszkań nie bywali w kuchni — w przeciwieństwie do służby.

Nie było tu stołu. O ustępstwie na rzecz współczesnego zwyczaju jedzenia w kuchni świadczyły dwa taborety przy blacie naprzeciwko zlewozmywaka. W jednym końcu drzwi wahadłowe prowadziły do korytarzyka przy jadalni,

w drugim do holu, skąd wchodziło się do sypialni i salonu.

Czy Nat spędzał tu wiele czasu? — zastanawiała się Regan. Czy wczoraj o tej porze kręcił się po kuchni? Wydawała się schludna i czysta. Clara powiedziała, że sprząta apartament zawsze we wtorki. A wczoraj był piątek.

A gdzie Nat jadł kolację wczoraj? Regan otworzyła szafkę pod zlewozmywakiem i wyciągnęła pojemnik na śmieci. Na wierzchu były resztki kawy, skórki pomarańczy, opakowanie po ciasteczkach oraz papierowy talerz. Uniosła go i ujrzała kilka wątróbek w bekonie.

Hors d'oeuvres.

Przekąski podawane na przyjęciu.

Nikt nie przygotowuje ich tylko dla siebie.

O Boże, pomyślała Regan, muszę pamiętać, żeby sprawdzić, jakie było menu u Lydii.

Poza tym w pojemniku znalazły się skorupki od jajek, pusta fiolka po witaminach, pusta butelka po wodzie kolońskiej. Większość ludzi używa wody kolońskiej w sypialni, przeszło jej przez myśl.

Regan wsunęła kosz z powrotem pod zlewozmywak, dochodząc do wniosku, że rozpaczliwie potrzebuje filiżanki herbaty. Nalała wody do czajnika, później ostrożnie wyjęła z szafki filiżankę i spodek. W jednym z

ceramicznych pojemników, które zdobiły malowane owieczki, znalazła herbatę ekspresową. W lodówce był karton odtłuszczonego mleka; takie samo piła rano w mieszkaniu rodziców. Rano? Miała wrażenie, że od tamtej chwili upłynęło więcej czasu. Ciekawe, jak tam konferencja, pomyślała. Bardzo bym chciała usłyszeć chociaż jeden wykład.

Z gorącą herbatą w dłoni usiadła przy blacie i wykręciła numer Carla Pemroda, który mieszkał w Palm Springs w Kalifornii. Odpowiedział jej drżący głos.

Regan się przedstawiła.

— Witam panią. Mówi Carl Pemrod. — Teraz głos wydał się mocniejszy.

— Przykro mi z powodu pańskiego brata.

— Mnie też. Nie byliśmy ze sobą blisko, gdyż nie wychowywaliśmy się razem, ale zawsze to krewny. Był moim przyrodnim bratem.

— Ach tak.

— Właśnie. Moja matka przestała lubić ojca, kiedy odszedł, więc rzadko kontaktowaliśmy się z jego drugą rodziną.

— Rozumiem, że poza panem Nat nie miał rodzeństwa.

— Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

— Jak pan się orientuje, prowadzę śledztwo...

— W sprawie jego wypadku w

wannie? Przecież to często się zdarza. Ja w zeszłym roku złamałem biodro. Starość to okropna rzecz.

— To prawda — zgodziła się Regan. — Wie pan coś o jego brylantach?

— Nie. Jak już mówiłem, nie kontaktowaliśmy się często.

— Zna pan prawnika Nata?

— Nie. Jak już mówiłem...

— Racja — przerwała mu Regan. — No cóż, panie Pemrod, przede wszystkim chciałam podziękować, że zgodził się pan, żebym zamieszkała w apartamencie Nata.

— Ależ to oczywiste. Wiem, że Nat chciał wszystko zostawić temu swojemu klubowi, zawsze był z niego bardzo

dumny. Ile razy z nim rozmawiałem, mówił tylko o tym: klub to, klub tamto. Po prawdzie, czasami włączałem słuch na automatycznego pilota, kiedy tak się rozgadywał. Inni członkowie byli jego rodziną.

— Cieszę się, że był tutaj szczęśliwy.

— Sądzę, że tak.

— Cóż, zostanę tu tylko przez kilka dni. Ja też mieszkam w Kalifornii i muszę tam wracać.

— Jak będzie pani w Palm Springs, proszę mnie odwiedzić.

— Dziękuję za zaproszenie.

— Poznałem pani matkę w bibliotece. Bardzo miła pani.

— Dziękuję — powtórzyła Regan.

— Będę pana informowała o tym, co się tutaj dzieje. Rozumiem, że zamierza pan skremować ciało Nata.

— Za wielki tłok na cmentarzach. Wszyscy powinniśmy poddawać się kremacji.

— Tak, Nat najwyraźniej także sobie tego życzył.

— Wendy została skremowana. Nat zawiózł jej prochy z powrotem do Anglii, do miejsca, gdzie się wychowała. Prochy niektórych moich przyjaciół wrzucono ze statków do morza.

— Aha — wymamrotała Regan. — No cóż, mam tu sporo roboty, ale jak powiedziałam, będę pana informować.

— To miło z pani strony.

— Jest pan przecież bratem Nata. Raz jeszcze dziękuję za udostępnienie mi apartamentu. Mam nadzieję, że w ciągu kilku dni spotkam się z prawnikiem Nata i uporządkujemy jego sprawy. Wszystko wyprostujemy — obiecała Regan z optymizmem, który wcale nie odzwierciedlał jej prawdziwych odczuć.

— Dobrze. Jeśli zostawił coś starszemu bratu Carlowi, tym lepiej. Teraz idę na basen. Dzisiaj jest u nas dwadzieścia siedem stopni. A u was? — zapytał Carl prowokacyjnie.

— O jakieś dwadzieścia zimniej.

Carl zachichotał.

— Zawsze powtarzałem Natowi, że trzeba być wariatem, aby mieszkać w

Georgette miała fatalny poranek. Był już piątek, 12 marca, a ona zmarnowała czas od walentynek na Nata Pemroda. Była przekonana, że się w niej zakochał i jeszcze trochę, a zacznie jej dawać prezenty i pieniądze. Kiedy tamtego wieczoru go upiła, wygadał się o brylantach. Powiedział nawet, że lubi się nimi bawić — cokolwiek mogło to znaczyć. Zanim jednak Georgette zdążyła kupić cyrkonie jako substytut dla brylantów, ktoś ją uprzedził i zabił Nata.

Kto to był? Ktoś inny zabrał brylanty, a Georgette postanowiła

odkryć sprawcę. W końcu nie na darmo przez dziesięć lat parała się oszustwami. Ona i Blaise zwykle doskonale sobie radzili w tej grze, tylko ostatnio jakoś opuściło ich szczęście.

Istnieje też możliwość, że Nat ukrył klejnoty w swoim apartamencie. Czy to miał na myśli, mówiąc o zabawie? Bóg wie, że nasłuchiwała się sporo anegdot o kawałach, jakie przez całe życie robił znajomym.

Weszła do baru szybkiej obsługi na Broadwayu, kupiła sobie kawę i rozejrzała się wokół. W kącie siedział nad gazetą zgarbiony starszy człowiek. Georgette ruszyła w jego stronę, kołysząc biodrami. Odchrząknęła.

— Przepraszam, czy to miejsce jest

zajęte? — zapytała, wskazując przymocowaną do podłogi ławę z pomarańczowego plastiku.

Facet podniósł głowę, uśmiechnął się lekko i gestem poprosił, by usiadła. Był łysy, miał wielką okrągłą twarz, gładką cerę i wodnistoniebieskie oczy. Nosił garnitur, który sprawiał wrażenie, że widywał lepsze czasy, koszulę i krawat. Kącikiem oczu Georgette dostrzegła na nogach mężczyzny białe sportowe obuwie na grubej podeszwie.

Idealny cel, pomyślała. Na pewno ma kilka groszy, bez których może się obejść.

— Usiądź, moja piękna.

Lepiej, niż myślałam, przeszło przez głowę Georgette.

— Dziękuję panu.

— Co taka urocza dziewczyna robi tu zupełnie sama?

Georgette zatrzepotała rzęsami, siadając na nieprawdopodobnie niewygodnej ławce.

— Niedawno tu się przeprowadziłam i nie mam zbyt wielu znajomych. — Nachyliła się, by dotarł do niego zapach jej perfum.

Mężczyzna zakaszłał, machnął rękami i wyjął z kieszeni chusteczkę.

— Usiądź prosto, moja piękna. Twoje perfumy nie działają dobrze na moje gardło.

— Gardło?

— Byłem śpiewakiem, występowałem na całym świecie. Tak

sobie myślę, że za kilka setek tygodniowo mogę uczyć cię śpiewać i za pięć lat wprowadzić na Broadway. Wciąż wyciągam górne C. — Otworzył usta i wydał z siebie kilka dźwięków, Georgette tymczasem zerwała się na równe nogi i wybiegła z baru. Po drodze słyszała, jak jeden z obsługujących chłopców zawołał:

— Spokój, panie C. Mówiliśmy już panu, że tu się nie śpiewa.

Znalazłszy się z powrotem na ulicy, Georgette próbowała odzyskać panowanie nad sobą. Mój układ planet musi być niekorzystny, pomyślała. W tej samej chwili zadzwonił jej telefon komórkowy. Niech to będzie Blaise, pomodliła się w duchu.

— Halo... och, to ty, Lydio, cóż za niespodzianka... Przyjście dzisiaj wieczorem? — Puls Georgette przyśpieszył. — Jak to miło z twojej strony... Czy mogę jakoś pomóc? Dzisiaj mam wolne... Nie?... Cóż, może przyjdę wcześniej... Chciałabym porozmawiać z Maldwinem Fecklesem o zapisaniu się na następny kurs... Tak, rzeczywiście... No to do zobaczenia.

Wzdychając z ulgą, schowała telefon do torebki. Może dziś wieczorem uda mi się wejść do apartamentu Nata, powiedziała do siebie. Ruszyła szybkim krokiem naprzód. Minęła następną kawiarnię, przystanąła i zawróciła. Nigdy nie wiadomo, pomyślała, otwierając drzwi i kierując się ku

starszemu mężczyźnie przy kontuarze.
Moja praca nigdy się nie kończy.

17

Po rozmowie z Carlem Regan zrobiła obchód mieszkania. Weszła do łazienki. Luksusowa, bez dwóch zdań: marmurowe ściany i podłoga, lśniąca szklana kabina prysznicowa oraz piękne porcelanowe umywalki — wszystko emanowało bogactwem. Obok wanny przy ścianie znajdował się elektrycznie ogrzewany wieszak, na którym wisiał ręcznik kąpielowy. Założę się, że Nat używał go tego ostatniego wieczoru, pomyślała.

Odwróciła się i podeszła ku dwóm

małym ręcznikom wiszącym pomiędzy umywalkami. Przedtem nie przyglądała się im dokładnie, teraz jednak zauważyła, że wykończone były pasem aplikacji z miniaturowymi owieczkami. Dobry Boże, wszędzie mieli owce. Ręczniki są śliczne, ale chyba nie służyły do wycierania, raczej dla ozdoby.

Wieszak koło prysznicą był pusty. Z jakiegoś powodu Regan uznała to za dziwne. Zaraz też pewien drobiazg na podłodze przyciągnął jej wzrok. Schyliła się. Była ta maleńka aplikacja w kształcie owcy. Musiała chyba odpaść od ręcznika — tylko gdzie on jest?

W łazience nie było kosza na brudną bieliznę, Regan poszła więc do sypialni

Nata i otworzyła szafę. Wyłącznie ubrania kobiece, należące zapewne do Wendy.

W pokoju gościnnym przekonała się, że jej walizka stoi na podłodze, a torba leży na łóżku. Zajrzała do pierwszej z dwóch szaf. Więc to tutaj Nat trzymał ubrania. Podniosła pokrywę wiklinowego kosza, lecz nie było w nim żadnych ręczników, tylko kilka męskich koszul, skarpety, bielizna.

Regan się uśmiechnęła. Choć Wendy nie żyła od trzech lat, Nat nie usunął jej ubrań i wciąż musiał chodzić do pokoju gościnnego po swoje rzeczy. Jedną z przyjaciółek Regan po ślubie wprowadziła się do mieszkania męża. Był tak przyzwyczajony do dawnego

trybu życia, że zmusił żonę, by korzystała z łazienki dla gości i szafy w drugiej sypialni. Nie trzeba dodawać, że małżeństwo nie przetrwało zbyt długo. Nat był jednakże najwyraźniej bardzo Wendy oddany. Innego mężczyznę te owce mogłyby doprowadzić do szaleństwa.

Regan zaczynała rozumieć Nata. Ciekawe, czy w ogóle tu spał. Kiedy rozważała tę kwestię, zadzwonił telefon komórkowy. Na ekraniku wyświetlił się numer Jacka.

— Cześć! — zawołała.

— Regan, jak sobie radzisz?

— Powiedzmy, że to całkiem interesujące.

— Jestem w biurze. Mamy urwanie

głowy, ale rozmawiałem z facetem nazwiskiem Ronald Brier z posterunku w pobliżu klubu. Był tam wczoraj wieczorem. Zaproponował, żebyś do niego wpadła.

Regan zerknęła na zegarek. Dochodziło południe.

— Chyba od razu tam pójde.

— I jeszcze jedno — dodał Jack.

— Tak?

— Zastanów się, gdzie chcesz pójść na kolację w niedzielę wieczorem.

— Od razu mogę ci powiedzieć, czego na pewno nie będę chciała jeść.

— Mianowicie?

— Baraniny.

— Co takiego?

— Nieważne.

— Zadzwoń do ciebie później.

— Będę czekała.

Regan usiadła na łóżku i wzięła jedną ze starych, oprawnych w ramki fotografii, które stały na nocnym stoliku. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało czterech mężczyzn grających w karty. To pewnie Kolory. Odstawiła fotografię i przyjrzała się pozostałym. W większości prezentowały Nata i Wendy w różnych okresach życia. Na jednym stali na łące, otoczeni przez stado owiec.

Regan wysunęła szufladę; były w niej notatnik i pióro. Wyjęła i otworzyła notatnik. Na stronicy widniała data 11 marca, czwartek. Wczoraj!

Zaczęła czytać, wielce zaskoczona.

Mój drogi Jaskierku,

Ostatnie cztery tygodnie były bez wątpienia radosne. Po tym, gdy moja droga żona Wendy odeszła do Pana, swego Pasterza, nie sądziłem, by kiedykolwiek inna kobieta wzbudziła we mnie głębokie uczucie. I chyba miałem rację. Co prawda Twoje towarzystwo sprawia mi wiele przyjemności, nie sądzę wszakże, by nasze dalsze spotkania były celowe.

Postanowiłem resztę życia poświęcić na czynienie dobra innym. Kto wie, ile mi go jeszcze zostało?

Powiadają, że jeśli znalazłeś prawdziwą miłość swego życia, spłynęło na ciebie błogostawieństwo. Tak więc dam już sobie spokój.

Wszystkiego najlepszego!

Ancymonek

Regan nie wierzyła własnym oczom. Ancymonek! A kimże, na Boga, jest Jaskierek? List umocnił ją w przekonaniu, że śmierć Nata nie była przypadkowa.

18

— Uważajcie! Bardzo was proszę!
— powtarzał z naciskiem Thomas, podczas gdy ludzie z ekipy filmowej wnosili sprzęt do frontowego salonu klubu. — Błagam, w nic nie uderzcie.

Jego słowa przechodziły bez echa. Jak doskonale wie każdy, komu zdarzyło

się spędzić pewien czas na planie filmowym, na ekipie żadnego wrażenia nie robią gwiazdy, otoczenie czy gapie. Technicy po prostu zajmują się swoją robotą.

W przeciwieństwie do nich Thomas biegał wokoło, próbując zaprowadzić porządek tam, gdzie jego władza nie sięgała. Przyjechało Hollywood i czas był bezcenny. Mieli jedno popołudnie na nakręcenie ważnej sceny.

Nagle Thomasowi przemknęło przez głowę pytanie, czy przypadkiem nie postradał zmysłów. Wąską uliczkę przed klubem tarasowały ciężarówki filmowców. Ludzie z produkcji starali się kierować ruch na drugą stronę parku. Na chodniku kłębiły się zwoje kabli

elektrycznych.

Thomas wyjrzał przez okno wykuszowe i zobaczył ludzi usiłujących zerknąć do salonu. Pomyślał, że czasami pewne sprawy w fazie planowania wydają się wspaniałym pomysłem, kiedy jednak człowiek jest świadkiem ich realizacji, ręce ma mokre od potu. Zwłaszcza teraz. Tak mu zależało, żeby Klub Osadników zwrócił na siebie powszechną uwagę, ale tylko we właściwy sposób.

— Mógłby pan się przesunąć? — zwrócił się do niego przysadzisty mężczyzna tonem, który nieudolnie maskował zniecierpliwienie. W rękę trzymał wielką lampę.

Thomas pośpiesznie usunął mu się z

drogi.

Co mam zrobić? Co zrobić? Już wiem! Zniosę na dół owce. Wendy chciała, żeby tu były, a filmowi mogą dodać uroku.

W dziesięć minut później razem z Regan, która dokądś się wybierała, znieśli owieczki do salonu i ustawili po obu stronach kominka.

— Przepraszam! — Podbiegł do nich mężczyzna na oko trzydziestoletni, który na głowie miał czapkę, w dłoni plik papierów i sprawiał wrażenie profesjonalisty. — Co robicie na planie?

— Te owce są ważne dla klubu — wyjaśnił Thomas. — Sądziliśmy, że mogą się przydać.

— Zakończyliśmy już dobieranie rekwizytów. Możecie je stąd zabrać?

Regan spojrzała na Thomasa.

— Przenieśmy je do twojego gabinetu, dobrze? Postawimy je tutaj, jak skończą kręcić.

— Chciałem tylko spełnić życzenie Wendy i Nata.

— Rozumiem, ale weźmy je stąd.

Regan podniosła Dolly, Thomas Bah-Baha, kiedy donośny głos zawołał:

— Stop!

Odwrócili się i ujrzeli zbliżającego się ku nim żyłastego mężczyznę w czarnym ubraniu i berecie, z pustą cygarniczką w dłoni.

— Podobają mi się te owce! Zostawcie je!

Regan i Thomas, wzruszając ramionami, ustawili owce koło kominka.

— Jestem Jacques Harlow, reżyser „To chyba sen”.

— Nazywam się Thomas Pilsner i jestem prezesem klubu, a to moja znajoma Regan Reilly.

— Miło mi.

— Cieszę się, że zdecydował się pan wykorzystać wnętrze klubu do swojego filmu.

Jacques przygryzł cygarniczkę.

— Podobają mi się wibracje, jakie tu wyczuwam — oświadczył przez zaciśnięte zęby. — Nie pracuję ze scenariuszem, moi aktorzy improwizują kwestie. Sądzę, że miejsce takie jak to wyzwala nasze najgłębsze nadzieje i

najmroczniejsze obawy.

Jasne, pomyślała Regan.

— Chciałaby pani wystąpić w filmie jako statystka? — zapytał Jacques z lubieżną nutką w głosie.

— Nie — odparła spieszenie — jestem bardzo zajęta. Wychodzę — zwróciła się do Thomasa.

— Wpadnij na minutę do mojego gabinetu, Regan.

Przeprosili reżysera, wyminęli leżące na podłodze sprzęty i weszli do biura, zamykając za sobą drzwi.

— Ten facet jest pomyłony — odezwał się Thomas.

— Jaki to właściwie film?

— Człowiek od scenografii powiedział mi, że kostiumowy.

— A okres?

Usta Thomasa zadrżały.

— Nie pytałem. Założyłem, że wiktoriański.

Rozdzwonił się telefon na biurku. Pilsner podniósł słuchawkę.

— „New York World”?... Tak, mamy tu ekipę filmową... Co zrobił?... Zdemolował plan w New Jersey?... Nie mogę dłużej rozmawiać... Do widzenia.

— Po tych słowach Thomas odłożył słuchawkę na widełki.

— Aż boję się zapytać — odezwała się Regan.

— Jacques Harlow to wariat. Zdemolował kręgielnię w New Jersey, gdzie w zeszłym tygodniu kręcili. Wydaje mu się, że jest członkiem

rodziny Soprano. Niedawno wyszedł z więzienia.

Regan się skrzywiła.

— No cóż, ktoś wyłożył pieniądze na ten film. Ciekawe kto?

— Myślę, że to film niskobudżetowy — odrzekł Thomas zduszonym głosem.

— Bardzo zależało nam na nowych źródłach dochodu, ale to nie wyjdzie klubowi na dobre.

Regan wstała.

— Idę na posterunek policji. Pozdrowię ich od ciebie.

Wychodząc, zastanawiała się, kiedy wylatuje najbliższy samolot do Londynu.

Konferencja kryminologiczna przebiegała zgodnie z planem, jedynym przykrym punktem była dla Nory Regan Reilly nieobecność córki. Tak wiele osób o nią pytało.

— Wezwano ją do sprawy —
odpowiadała niezmiennie Nora.

— Wczoraj wieczorem?

— Tak, ale jest w mieście. Ma zamiar przyjść na któreś z seminariów. A może wpadnie na koktajl dzisiaj po południu.

Teraz Nora przeprowadzała szybką inspekcję dań, które w hotelu przyrządzono na lunch. Wyglądały smakowicie. Parujący makaron, kurczaki i sałatki czekały już na gości. Nora wymknęła się tuż przed końcem

seminarium, by się upewnić, że wszystko zostało przygotowane.

To było niezwykle interesujące seminarium. Agent FBI wygłosił uzupełniony przezrociami wykład o oszustach, o tym jak przestępcom udaje się pozyskać zaufanie ludzi, wślizgnąć do ich domów, a potem okraść.

— Można ich spotkać wszędzie — mówił. — Są jak sępy, wybierają na swoje ofiary biedaków, którym trafiła się wygrana na loterii, ale także bogatych, samotnych, ambitnych i bezbronnych. Często oszukani wstydzą się i nie zgłaszają przestępstwa na policję. Myślą, że powinni być mądrzejsi. Wielkie gwiazdy Hollywoodu padają ofiarą doradców

finansowych. Ludzie z mniejszymi zasobami dają się namówić na udział w różnego rodzaju piramidach, które na ich oczach walą się w gruzy. Co więcej, przyciśnięci do muru oszuści bywają bardzo niebezpieczni...

Na ekranie pojawiły się ziarniste zdjęcia kilkorga z przestępców w akcji.

Tak, Regan bardzo by się to podobało. Jaka szkoda, że nie mogła przyjść.

— Pani Reilly?

Nora odwróciła się z uśmiechem. Przed sobą zobaczyła mocno zbudowaną kobietę z włosami uczesanymi w kok, trzymającą notatnik w ręku.

— Tak, to ja.

— Jestem Mary Ruffiner,

dziennikarka z „New York World” — przedstawiła się kobieta, z trudem łapiąc oddech. Torbę po prostu upuściła na ziemię. — Czy mogłabym zadać pani kilka pytań dotyczących konferencji?

— Naturalnie. — Nora poprowadziła ją do stolika.

— Wszystko dzieje się jednocześnie. Szef chce, żebym pojechała do Klubu Osadników w Gramercy Park. Jakiś facet, którego dopiero co wypuścili z więzienia, kręci tam film, a plotka głosi, że wczoraj w nocy w klubie kogoś zamordowano — zaśmiała się niewesoło Mary. — Mogę jechać, pod warunkiem że nie każe mi tam spędzić nocy. Zwykle pisuję o sztuce i rozrywce.

Nora poczuła, że żołądek jej się

ściska, a uśmiech znika z twarzy.

— Coś się stało, pani Reilly?

— Nie, wszystko w porządku.

— Pani córka też tam jest, prawda?

— Jest w mieście.

— Wiem, widziałam jej zdjęcie w dzisiejszej gazecie.

Teraz przyszła kolej na Norę, by uśmiechnąć się niewesoło.

— Bierze udział w konferencji? — pytała dalej Mary Ruffiner.

— Prawdę mówiąc, pracuje.

— Prowadzi sprawę?

— Tak, pracuje w Nowym Jorku, ale nie zostałam upoważniona, by zdradzać szczegóły.

— Mam nadzieję, że w weekend uda mi się przeprowadzić z nią wywiad —

powiedziała reporterka, ściągając zębami nakrętkę z pióra.

Coś mi mówi, że ci się uda, pomyślała Nora. Lepiej lub gorzej, ale się uda.

20

Lydia, z telefonem bezprzewodowym w ręku, siedziała na jednej z dwuosobowych kanap, dzwoniąc do tych spragnionych miłości podopiecznych, którzy wzięli udział w przyjęciu poprzedniego wieczora. Było ich dziewiętnaścioro. Nie tak źle, uznała. Od walentynek wydawała trzy przyjęcia tygodniowo, a jej „klienci” płacili tylko dwadzieścia pięć dolarów

za jedno, jeśli wykupili cztery — oferta promocyjna na dobry początek.

Musiąca przyznać, że czuła się, jakby część z nich okradała. Na przykład tego mężczyznę, który włożył sandały do garnituru i każde zdanie kończył zwrotem „i coś w tym rodzaju”. Albo czterdziestolatkę, przez cały wieczór mocno ściskającą torebkę ze Snoopym, jakby to było koło ratunkowe. Lydia żałowała, że tych dwoje nie przypadło sobie do gustu. Każdy powinien kogoś mieć.

Kiedy skończyła telefonować, przy czym z niektórymi osobami rozmawiała, innym zaś zostawiła wiadomość, podliczyła rezultaty: dziesięcioro gości z ochotą wyraziło zgodę na udział w

przyjęciu, dwoje zażądało zwrotu pieniędzy, a troje wolałoby spotkać się z inną grupą ludzi.

— A po co miałbym się fatygować?

— zapytał jeden z mężczyzn. — Nie było kobiety w moim typie. Na wielkim przyjęciu z okazji rocznicy klubu będą inni goście, prawda?

— Tak — odrzekła Lydia optymistycznie.

— Więc wtedy się zobaczymy.

Kiedy mężczyzna się rozłączył, Lydia dopisała jego nazwisko do listy tych, którzy wieczorem się nie pojawią. Później pokaże ten spis Regan.

Nagle ogarnął ją niepokój. A jeśli ktoś z tej grupy ukradł brylanty? Jej profesja polegała na zapraszaniu obcych

ludzi do domu. Zainwestowała pieniądze w interes, który może okazać się niebezpieczny. Nigdy nie sprawdzała informacji o gościach. Jak mogłaby to zrobić?

Na świecie jest mnóstwo wariatów, spotkała ich dostatecznie dużo w swoim trzydziestośmioletnim samotnym życiu. A przecież pragnęła tylko, by agencja Znaczące Związki wniosła miłość w życie mieszkańców Nowego Jorku. Lydia marzyła o skojarzeniu jak największej liczby małżeństw na każdym przyjęciu.

Spojrzała na zegarek. Chciała, żeby Maldwin już wrócił, lecz mogła się go spodziewać dopiero za jakąś godzinę.

Zadzwoił telefon. Nacisnęła

klawisz i powiedziała radosnym tonem:

— *Znaczące Związki*, słucham.

— Lydio, chcę przychodzić na twoje przyjęcia.

Lydia poczuła, jak jej policzki zalewa rumieniec.

— Nie, Burkhardzie. Mówiłam ci, że nie chcę ci więcej widzieć.

— Nie możesz mi zakazać zbliżać się do ciebie..

— Ależ mogę.

— Kocham cię, Lydio.

— Nieprawda.

Oczyma wyobraźni zobaczyła ostatniego narzeczonego, który na pierwszym spotkaniu wywołał tak piorunujący efekt. Nie potrzeba było jednak wiele czasu, by pojąć, że pod

kosztownym garniturem nic się nie kryje. Był tak pewny siebie i uczucia Lydii, że kiedy z nim zerwała, zaczął ją nachodzić. Nigdy nie splamił się żadną pracą i sprawiał wrażenie, jakby pochodził znikąd.

— Zamierzam wstąpić do klubu.

— Proszę cię, Burkhardzie, daj mi spokój.

— Zawsze dostaję to, czego chcę — odparł tonem, który byłby żaloszny, gdyby nie budził takiego przerażenia — tonem rozpieszczzonego dziecka.

— Nie możesz przychodzić na moje przyjęcia.

— Więc spotkamy się na imprezie rocznicowej. Chcę zrobić sobie z tobą zdjęcie, Lydio. Wiem, że prasa tam

będzie. Jestem przekonany, że dziennikarzy zainteresuje, jak wyśmiewasz się ze swoich klientów.

— Nie robię tego! — zaprotestowała Lydia, lecz za późno. Usłyszała trzask przerwane połączenia.

— Dlaczego w ogóle musiałam go spotkać? — krzyknęła, rzucając telefonem w drugi kąt pokoju. Zrobiło jej się niedobrze. Nikt nie zechce skorzystać z usług agencji matrymonialnej, jeśli uzna właścicielkę za niesympatyczną. Albo dojdzie do wniosku, że sama swatka fatalnie dobiera sobie partnerów. To jak chodzenie do dentysty, który ma zepsute zęby.

Co mam zrobić?
gorączkowo. Co zrobić?

— myślała

Regan polubiła detektywa Ronalda Briera od pierwszego spotkania. Dobiegał czterdziestki, miał kasztanowe włosy, masywną sylwetkę i błysk w oku.

Siedziała naprzeciw niego przy biurku na posterunku w Gramercy Park. Przyszła tu pieszo, ciesząc się z okazji odetchnięcia świeżym powietrzem i poukładania myśli.

— Więc jest pani przyjaciółką Jacka Reilly'ego?

— Tak — odrzekła z uśmiechem.

— Pamiętam porwanie pani ojca. —

Potrząsnął głową ze współczuciem. —
Jak teraz się miewa?

— Nigdy nie czułem się lepiej —
zapewniła go Regan. — Mieliśmy
wielkie szczęście.

Przed Ronaldem leżały raporty
policyjne.

— Zatrzymała się w pani w Klubie
Osadników?

— Na weekend. Mój przyjaciel
Thomas Pilsner jest tam prezesem.

Ronald wzniósł oczy do nieba.

— Facet wygląda na takiego, co
łatwo się denerwuje.

— Zależy mu na klubie — wyjaśniła
Regan.

— To widać.

Pochyliła się nad blatem.

— Proszę opowiedzieć mi o wczorajszym wieczorze.

— Zawiadomiono nas, że tego staruszka znaleziono w wannie. Nie było śladów włamania. Na ciele zmarłego nie znaleziono siniaków i nic nie wskazywało na przestępstwo. Pani przyjaciel Pilsner powiada, że wczoraj widział brylanty. Mógł je mieć jednak ten drugi, Ben Carney, który zmarł na atak serca. Jak pani wie, skradziono mu portfel.

— Muszę panu o czymś powiedzieć. Czerwone puzderko, w którym przechowywano brylanty, znalazło się dzisiaj rano w koszu na śmieci w gabinecie Thomasa.

— Bez brylantów?

— Bez brylantów.

— A pani zdaniem Pilsner nie brał w tym udziału?

— W żadnym razie.

— Kto wie? Chcieli je sprzedać, może więc Ben Carney wyjął kamienie z pudełka po lunchu i schował do portfela, a pudełko wyrzucił do kosza, gdy wychodził z klubu. Gabinet położony jest blisko drzwi frontowych.

— A w ręce tego, kto ukradł portfel Bena, mogły wpaść kamienie warte cztery miliony dolarów.

— I wcale nie musiał się namęczyć. Powinienem jednak pani powiedzieć, że mamy oko na Pilsnera. Chcemy się przekonać, czy za kilka miesięcy nie spróbuje prysnąć na Islandię.

— Nie sędzę. W czasie weekendu zamierzam porozmawiać z ludźmi w klubie. Zobaczymy, czego się dowiem. Czuję, że śmierć Nata ma związek z tymi brylantami.

Brier patrzył na nią, w milczeniu czekając na dalszy ciąg.

Regan wzruszyła ramionami.

— Według mnie to za wielki zbieg okoliczności, że tego samego wieczoru znikają brylanty i umiera Nat. Nie wspominając już o tym, że jednocześnie współwłaściciel kamieni pada martwy na ulicy.

— Ben Carney umarł na atak serca, co do tego nie ma wątpliwości — oświadczył Brier obojętnie.

— A przy okazji, gdzie jest ciało

Carneya?

— W kostnicy. Jego siostrzenica mieszka w Chicago. Próbują się z nią skontaktować.

— Mógłby mi pan dać znać, gdy ją znajdą? Chciałabym z nią porozmawiać.

— Naturalnie.

— Dzisiaj wieczorem idę na przyjęcie do apartamentu naprzeciwko mieszkania Nata. Właścicielka agencji próbuje zebrać ludzi, którzy byli wczoraj na wieczorku dla samotnych. Może później poproszę, żeby ich pan sprawdził. — Wyjęła z torby czerwone pudełko w plastikowej torebce. — Mógłby pan zbadać odciski?

— Z największą przyjemnością. Pomożemy pani w każdej sprawie. —

Chwilę milczał, a później dodał: — Nie ma żadnych dokumentów dotyczących brylantów, panno Regan. Jedynym człowiekiem, który je widział, jest Thomas Pilsner. Brak też świadectwa wyceny. To może być wiele hałasu o nic. Jeśli brylanty rzeczywiście istnieją, mogą równie dobrze być warte o wiele mniej niż cztery miliony.

— Rozumiem. Przez kilka dni będę prywatnym detektywem w Klubie Osadników i zobaczymy, do czego uda mi się dogrzebać. — Regan wstała i wyciągnęła dłoń do Briera.

— Jack Reilly to wspaniały facet.

— Wiem — odpowiedziała z uśmiechem.

Janey wyjęła z piekarnika pachnącą szarlotkę. W jej maleńkim mieszkanku, oddalonym od Klubu Osadników o kilka przecznic, zawsze unosiły się smakowite aromaty. Jeśli nie piekła ciast, to przygotowywała lasagne, pieczeń albo inne danie stanowiące jej specjalność.

Uwielbiała chodzić do swoich klientów i zapełniać lodówki oraz zamrażarki plastikowymi pojemnikami z jedzeniem. Z podnieceniem myślała, że ludzie wracają do domu po ciężkim dniu i wkładają rezultaty jej wysiłków do kuchenki mikrofalowej. Teraz zajęta była szykowaniem deserów na przyjęcie rocznicowe w klubie, w tym ogromnego

tortu, który miał zająć honorowe miejsce na wielkim białym stole udekorowanym czerwonymi wstążkami.

Byle tylko Thomasowi poprawił się humor.

Och, wczoraj straciłam dwóch klientów, przeszło jej nagle przez myśl. Gotowała przecież dla Nata i Bena. Wczoraj zaniosiła jedzenie Benowi, ale nie było go w domu. Teraz to wszystko się zmarnuje.

To był ciężki tydzień. Planowała, że gdy skończy ciasta i tort, wróci do klubu. Telefon zadzwonił w chwili, gdy stawiała szarlotkę do wystygnięcia na parapecie okna. Dzwoniła pani Buckland, dobra, ale wymagająca klientka.

— Janey, mam na kolacji troje niespodziewanych gości i potrzebuję jedzenia.

— Ale, pani Buckland... — zaczęła Janey.

— Wiem, że dasz radę. Czy nie poleciłam cię wszystkim moim znajomym?

Janey ścisnęła telefon, próbując się zdecydować, co zrobić. Po chwili odrzekła:

— Dobrze, pani Buckland. Na którą są potrzebne pani potrawy?

— Za kilka godzin. Dziękuję.

Janey odłożyła słuchawkę na widełki.

— Nie chcę teraz iść na zakupy. I jeszcze to gotowanie. Nie mam już

czasu! — lamentowała z typową dla siebie dystynkcją.

Nagle pomyślała, że przecież nie musi nic robić. I jak to się zwykle dzieje z każdym zwariowanym pomysłem, jeśli od razu nie zostanie odrzucony, po chwili wydaje się zaskakująco rozsądny.

Dania, które wczoraj zaniosała do mieszkania Bena, na pewno nie zostały zjedzone. Cholera, przypuszczalnie nawet nie otrzyma za nie pieniędzy, a nadal ma klucze od mieszkania Carneya.

Przygotowała pysznego pieczonego kurczaka, ziemniaki i specjalny sos, a także groszek z marchewką, kukurydzą i ciasto cytrynowe. Wystarczyłoby na dwa posiłki dla Bena, a można zrobić z tego cztery porcje dla ludzi z mniejszym

apetytem.

Właściwie, czemu nie? Mieszkał w domu bez windy, więc nie było tam portiera. Zadzwoń do drzwi. Jeśli ktoś jej otworzy, powie, że wstąpiła, by wyrazić swoje współczucie.

Pośpiesznie odwiązała fartuch, złapała płaszcz, torebkę, klucze Bena i czerwoną przenośną lodówkę z logo firmy na klapie, po czym wybiegła z mieszkania.

23

— Akcja! — krzyknął Jacques Harlow do grupy aktorów zebranych w salonie Klubu Osadników.

Daphne siedziała w kącie, poza

planem, i tęsknie popatrywała na kolegów po fachu, którzy dostali role. Bycie dublerką pomagało płacić rachunki, ale praca polegała wyłącznie na staniu z boku, kiedy przygotowywano światła i kamerę, później zaś kazali ci się wynosić i miejsce zajmowała „pierwsza obsada”.

To takie zniechęcające.

Daphne wpatrywała się w owce, które przez tyle lat zdobiły mieszkanie Nata i Wendy. Choć Wendy była o dwadzieścia lat starsza, bardzo się obie przyjaźniły. Razem robiły na drutach, chodziły na spacer po parku, a czasami Wendy wpadała do Daphne na lampkę wina, kiedy kumple Nata od kart stawali się niesforni.

— Nie mów tak do mnie! — wrzeszczała aktorka grająca główną rolę, cofając się w stronę kominka. — To mnie doprowadza do szaleństwa!

Zawadziła nogą o owieczkę Dolly, straciła równowagę i upadła.

Pilsner, który z progu przyglądał się ekipie, krzyknął.

— Wyprowadźcie go stąd! — polecił reżyser.

Prezes klubu pobiegł ku schodom prowadzącym do wyjścia. Liczył, że na zewnątrz będzie miał chwilę spokoju, ale producent z telewizji kablowej, Stanley Stock, stał tam z kamerą wycelowaną w ciężarówkę ekipy filmowej. Thomas okręcił się na pięcie i już miał wrócić do środka, gdy

zatrzymał go głos Regan.

Pięć minut później tak się złożyło — czasami człowiek nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego znalazł się w takiej a nie innej sytuacji — Thomas, Stanley, Regan i Daphne, która miała przerwę, siedzieli przy ostatnim stole w jadalni, z dala od kamer.

— Nie przejmuj się, Thomasie, jestem po twojej stronie — mówił Stanley, smarując masłem chleb. — Mam zamiar zrobić śliczny kawałek o waszej setnej rocznicy. Chcę pokazać, że w klubie pracują kamerdynerzy, że jest tu agencja matrymonialna i nawet Hollywood się do was dobija.

— Dzięki, Stanley.

— Choć macie też sąsiadów, którzy

są odmiennego zdania.

— Kto taki?

— Archibald Enders i jego żona są zdania, że nurzacie w błocie dobre imię Gramercy Park. — Stanley odgryzł potężny kawałek ciepłego i chrupiącego włoskiego chleba. — Organizują przeciwko wam całą kampanię.

— Straszni ludzie! — jęknął Thomas.

— Thomas odwalił tu kawał dobrej roboty — wtrąciła Daphne z zapalem. — Nikt, kto mieszka w okolicy, nie chce, żeby klub zamknięto. Thomas bardzo ciężko pracował, żeby wprowadzić ulepszenia.

— Dziękuję, Daphne — odrzekł Pilsner ze słabym uśmiechem. — Wiem,

jak ci musi być trudno. Mieszkaś tu od tak dawna i przyjaźniłaś się z Natem.

— Lepiej znałam jego żonę, ale Nat też był porządnym człowiekiem.

Regan ogarnął nagły niepokój.

— Stanley, byłeś tu wczoraj na przyjęciu, prawda?

— Tak. I będę dzisiaj. Lydia urządza spotkanie dla całej grupy.

— Więc wczoraj wieczorem sporo nakręciłeś?

— O tak.

— A mogłabym obejrzeć te taśmy?

— Kiedy?

— Po południu. Masz je przy sobie?

— Nie, są w moim studiu.

— Mogę wpaść do ciebie po lunchu?

Do Stanleya niespodziewanie dotarto, że może to być niezła reklama, kiedy się okaże, że na jego taśmach kryje się klucz do przestępstwa.

— Jasne.

Gdybym tylko odkryła, kim jest Jaskierek, to może cała sprawa od razu by się wyjaśniła, pomyślała Regan.

24

Droga do starej kamienicy z brązowego kamienia, w której Ben Carney spędził trzydzieści lat, nie zajęła Janey wiele czasu lat. Po rozwodzie zależało mu na mieszkaniu blisko klubu, tak więc ucieszył się ogromnie, kiedy znalazł ten lokal, położony o kilka

przecznic na południe; mógł spacerkiem chadzać do swojego drugiego domu.

Janey zaczerpnęła głęboko powietrza, po czym nacisnęła guzik domofonu przy nazwisku „Carney”. Powietrze było ostre i trzęsła się z zimna w swoim płaszczu z niebieskiej wełny. Odczekała chwilę, ale nikt nie odpowiadał. Rozejrzała się — wokół nikogo nie zauważyła, wyjęła więc klucze i weszła do holu, w którym na ścianie wisiał rząd skrzynek pocztowych. W skrzynce Bena bielały koperty.

Jak na razie idzie mi nieźle, pomyślała z otuchą Janey. Otworzyła drugie drzwi, weszła i pośpiesznie ruszyła po schodach. Mieszkanie Bena

znajdowało się na pierwszym piętrze.

Janey pośpiesznie przekręciła klucz w zamku, pchnęła drzwi, które lekko zaskrzypiały, i wpadła do środka. Spuściła zasuwę i odetchnęła z ulgą. Nie mogę uwierzyć, że to robię, pomyślała.

W środku panowała niesamowita cisza. A choć mieszkanie było wysprzątane, Janey wydawało się, że w powietrzu wyczuwa smutek i zaniedbanie, jakby ściany i sprzęty wiedziały, że właściciel już nie wróci. Jeszcze wczoraj przyniosła tu jedzenie...

A teraz przyszłam je zabrać! Odsunęła od siebie tę myśl i przez hol ruszyła do kuchni. Była ogromna i staroświecka, z małą spizarnią. Janey postawiła torbę obok lodówki i zaczęła

wyjmować przygotowane przez siebie dania. Przełożywszy kurczaka, ziemniaki, warzywa, sos i ciasto do torby, zajrzała jeszcze do zamrażarki, by sprawdzić, czy czegoś tam nie ma. Na widok pojemnika z lasagne roześmiała się głośno. Złapała go i pochyliła się, by schować do torby.

W tej samej chwili wyczuła czyjaś obecność. W tym samym momencie zza jej pleców wysunęła się ręka i prysnęła w oczy gazem łzawiącym.

— Ojej! — krzyknęła Janey, walcząc z napastnikiem. Oczy jednak ją piekły i była zupełnie wytrącona z równowagi. W kilka sekund wepchnięto ją do małej, ciasnej szafy. Potem usłyszała szcęk przekręcanego klucza.

— Wypuść mnie! — krzyknęła, waląc w nieprawdopodobnie solidne drzwi, ale nadaremnie. Wiedziała, że ten, kto ją zamknął, na pewno nie ma zamiaru jej uwolnić. I tak miała szczęście, że nie zrobił jej krzywdy.

W szafie panował półmrok rozpraszany słabą poświatą wpadającą z kuchni przez szczelinę pod drzwiami. Janey osunęła się na podłogę i skuliła. Dopiero teraz zaczęło do niej docierać znaczenie ostatnich wydarzeń. Mój Boże, cóż za upokorzenie! Jak ja będę z tym żyła? Nawet jeśli uda mi się wyjść z tego cało, Thomas na pewno mnie porzuci. Z twarzą zalaną rześnistymi łzami postanowiła, że jeżeli stąd wyjdzie, pani Buckland sama będzie

sobie gotowała.

25

Archibald Enders i jego żona Vernella od dawna mieszkali w Gramercy Park, czerpiąc z tego faktu niezwykłą przyjemność. Oboje po siedemdziesiątce, podróżowali po całym świecie, zawsze jednak z radością wracali do domu rodzinnego Archibalda, gdzie solidnie dawali się we znaki w służbie. Czuli się źle, jeśli nie mieli powodów do narzekań.

Klub Osadników, usytuowany na wprost po drugiej stronie ulicy, dosłownie walił się gruzy na ich oczach, dzięki czemu byli w doskonałych

humorach.

Archibald pamiętał czasy, gdy ta instytucja idealnie pasowała do sąsiedztwa; tak było, kiedy jako dziecko spacerował grzecznie z nianią po parku, a potem jako nastolatek przyjeżdżał ze szkoły do domu na ferie. Kiedy będąc młodym brokerem, po studiach w Harvardzie, podjął pracę w rodzinnej firmie, zapraszano go do klubu na herbatki i oficjalne kolacje. Za to przez ostatnie ćwierćwiecze można było mówić już tylko o upadku. Pęd do komercjalizacji stał się powszechny. Teraz nowy prezes zamienia to miejsce w dom wariatów.

Dość powiedzieć, że działa tam agencja matrymonialna! Kręcą też

trzeciorzędny film, którego reżyser jest więziennym ptaszkiem!

I cały ten zamęt poprzedniej nocy, wyjące syreny policyjne i ostry sygnał karetki. Gromadzący się na ulicy gapie. Szeptane pogłoski o kradzieży brylantów i morderstwie!

To nie jest dobra reklama dla starego stowarzyszenia, usiłującego przyciągnąć nowych członków. Klub Osadników wkrótce zamknie swoje podwoje, to nie ulega wątpliwości. A wówczas wprowadzi się tam godny tego miejsca lokator.

A skoro już o tym mowa, to Archibald miał odpowiedniego kandydata.

Po raz drugi tego dnia połączył się z

Anglią.

— Thorn — powiedział do słuchawki. — Radzę, żebyś jeszcze dzisiaj wsiadł do samolotu. W czasie weekendu będziemy mieć sporo do zrobienia.

26

Regan i Stanley pojechali taksówką do jego stacji benzynowej. Teraz widziałam już wszystko, pomyślała Regan, gdy gospodarz wprowadził ją do środka.

— I co myślisz? — zapytał z szerokim uśmiechem. — Inni ludzie zamieniają magazyny w pałace. Ja zamieniłem stację benzynową w

przytulny dom.

— Jesteś geniuszem — przyznała.

— Dziękuję. Usiądź, proszę.

Opadła na sofę, wciąż zdziwiona tym, co wokół siebie widzi. Bywała w różnych szalonych mieszkaniach, ale temu bez dwóch zdań należała się palma pierwszeństwa.

— Masz ochotę na herbatę? — zapytał Stanley.

Do pełna, proszę, cisnęło jej się na usta, lecz się powstrzymała i grzecznie przyjęła filiżankę specjalnej herbaty ziołowej, która — jak ją zapewnił — skutecznie oczyszcza zatoki. Nie jestem pewna, czy chcę w takim miejscu cokolwiek sobie oczyszczać, pomyślała Regan. Herbata jednak miała przyjemny

smak.

Stock usiadł i wsunął kasetę do odtwarzacza połączonego z telewizorem. Uwiecznił na niej przyjęcie: ludzie przechadzali się i gawędzili, kamerdynerzy roznosili przystawki.

— Wątróbki w bekonie — skomentowała Regan.

— Niektórzy uważają, że nie są w najlepszym guście, ale zawsze mają powodzenie — odrzekł Stanley, z podziwem wpatrując się w ekran.

Jak to się stało, że kilka wylądowało w koszu Nata? — zastanawiała się Regan.

— Stanley, co sądzisz o tych ludziach?

— Generalnie rzecz biorąc, bardzo mili, choć nie wszystkim podobał się pomysł filmowania przyjęcia.

— Ilu nie chciało pokazać twarzy?

— Mniej więcej połowa. Jak się przekonasz, mimo to udało mi się oddać atmosferę wieczoru. Tu Lydia naradza się z Maldwinem, a to pozostali kamerdynerzy w kuchni...

— Jest wśród nich dziewczyna — zauważyła Regan.

— Ciężko pracuje — oznajmił Stanley z zapalem. — Naprawdę ciężko.

Teraz patrzyli na mężczyznę, który rozmawiał z kobietą ściskającą torebkę ze Snoopym.

— Niezła torebka — odezwała się Regan.

Stanley westchnął.

— Nie wypuściła jej z rąk przez cały wieczór. Prawdę mówiąc, bardzo się zdenerwowała, kiedy zaczęło się to zamieszanie i dowiedzieliśmy się o śmierci Nata Pemroda.

— Znała go?

— Powiedziała mi, że spotkali się na jednym z wieczorków. Podobała mu się jej torebka.

Czy to Jaskierek? Czy którakolwiek z tych kobiet może być Jaskierkiem?

Regan brakowało czasu, by obejrzeć całe cztery taśmy od początku do końca, ale przynajmniej zobaczyła ludzi, których miała spotkać wieczorem.

— Co się stało, gdy przyjechała policja?

Stanley przewinał kasetę niemal do końca. Na ekranie pojawił się policjant, który stał przed drzwiami Nata, a zaraz potem obraz zniknął.

— I to wszystko? — zapytała.

— Skończyła mi się kasetka.

To jasne, pomyślała Regan.

— I tak nie wpuściliby mnie do środka. — Stock wyłączył odtwarzacz.

— Coś ci to pomogło?

— Tak — oświadczyła Regan z przekonaniem.

— Wiesz, zawsze sporo kręcę, a potem wybieram z tego najbardziej interesujące kawałki.

— Rozumiem. — Zniżyła głos w sposób, który wskazywał, że chce ze Stanleya uczynić powiernika. —

Wieczorem weź ze sobą dużo kaset, dobrze? Zapłacę za nie. Twoja kamera będzie dla nas kolejną parą oczu. Nigdy nie wiadomo, co uda nam się uchwycić.

Stanley cały się rozpromienił. Może zrobię z tego program dla jakiejś sieci, pomyślał.

Po wyjściu Regan złapała taksówkę. Dochodziła czwarta, a choć w powietrzu wciąż czuło się zimą, dni stawały się coraz dłuższe. Wiosna była tuż za rogiem.

Naturalnie najokrutniejszy miesiąc to kwiecień, pomyślała Regan, aczkolwiek dla niektórych marzec jest pewnie jego poważnym konkurentem. Zwłaszcza dla Nata i Bena.

Bardzo chciała pomóc Thomasowi,

wszystko jednak wskazywało na to, że sam sobie zaszkodził. Jeśli to ktoś z gości Księżniczki Miłości ukradł brylanty albo zamordował Nata, stało się tak, ponieważ Pilsner pozwolił Lydii zaprosić do klubu obcych ludzi.

Nie było jednak śladów włamania. Nat musiał znać osobę, która do niego weszła.

Regan wyjęła notatnik i zapisała kilka uwag. Trzeba ponownie porozmawiać z Clarą. Sprawdzić, czy widziała w apartamencie coś, co wskazywałoby na obecność innej kobiety. Poprosić Thomasa o listę osób mieszkających w klubie. Wypytać kelnera, który obsługiwał Nata, Bena i Thomasa w czasie lunchu. Dowiedzieć

się, kto był prawnikiem Nata. Gdzie znajduje się jego testament? Na końcu zanotowała: porozmawiać z właścicielką torebki ze Snoopym.

Wyglądając przez okno taksówki, pomyślała, że ta kobieta może okazać się interesująca.

27

Maldwin, wróciwszy ze swoją grupką do apartamentu Lydii, zastał gospodynię w sypialni, przykrytą po czubek głowy.

— Panno Lydio, przynieść pani herbaty? — zapytał; wiedział, że coś musiało się stać.

— Nie sędzę, by herbata rozwiązała

mój problem — oznajmiła Lydia, odsuwając kołdrę z twarzy.

Usiadł na brzegu łóżka. Kamerdyner starej daty nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił, Maldwin jednakże wierzył, że kamerdynerzy dwudziestego pierwszego wieku powinni ćwiczyć się w okazywaniu współczucia swoim pracodawcom. Czuł się obrońcą Lydie, jej zaufanym — w pewnym sensie bratnią duszą, mimo że czasami doprowadzała go do białej gorączki.

— O co chodzi, Księżniczko? — zapytał.

— Dzwonił Burkhard.

— To nic dobrego...

— Czym on w ogóle mnie pociągał?

— przerwała mu Lydia.

Dobre pytanie, pomyślał Maldwin, ale zachował to dla siebie.

— Na początku pan Whittlesey sprawiał wrażenie człowieka z klasą — odparł rozważnie.

— Człowiek z klasą nie wyciąga stale czeków od kobiety...

— Rozumiem.

— Człowiek z klasą nie grozi, że przekreśli i rozgłosi to, co powiedziałam mu w zaufaniu.

— Chodzi o żarty z pani klientów?

— Maldwinie!

— Przepraszam.

— Interesowały go wyłącznie moje pieniądze. Myślał, że może mną manipulować, bo chodził do college'u, a ja nie. Tylko że ja uczyłam się życia na

ulicy.

— To pewne, panno Lydio.

— Boję się, Maldwinie.

— Nie ma powodów do obaw —
zapewnił ją, choć sam w to nie wierzył.

— Sporo pieniędzy zainwestowałam
w ten interes. Chcę, żebyśmy oboje
odnieśli wielki sukces w Nowym Jorku.
Trzymamy rękę na pulsie, jeśli chodzi o
swatanie i służbę w trzecim tysiącleciu.
Burkhard może to zepsuć.

— Nie pozwolimy mu —
oświadczył Maldwin zdecydowanie.

Lydia usiadła.

— Jak ci minął dzień?

— Był trudny. Obawiam się, że
Vinniemu i Albertowi brakuje cech
niezbędnych u dobrego kamerdynera.

— Sama mogłam ci to powiedzieć.

Maldwin zignorował jej słowa.

— Sądziłem, że będą do przyjęcia, bo moja szkoła bierze pod uwagę zmieniające się czasy. Nie można obecnie sądzić, że znajdzie się kandydatów pasujących do ideału angielskiego kamerdynera, doskonałego Jeevesa, który sam wyglądał jak arystokrata.

— Z pewnością daleko im do tego wzoru — zgodziła się Lydia. — Jednak, jak to mówią, trudno znaleźć dobrego pomocnika. Mam szczęście, że trafiłam na ciebie.

Maldwin się skrzywił. Nie znosił, gdy uważano go za pomocnika. Prowadził tę przeklętą firmę, jakby

należała do niego. Odchrząknął.

— Jak powiedział mistrz Eckhart: „Każdy rodzi się arystokratą”. Niestety, większość ludzi traci swój urok w dzieciństwie.

— Kto to mistrz Eckhart?

— Mędrzec. — Maldwin wstał. —

Przetrwamy to. W niedzielę wieczorem zostanie nadany program Stanleya Stocka. Jestem pewny, że w poniedziałek rano telefon będzie się urywał. Musimy jakoś przeżyć ten weekend i związane z nim nieprzyjemności.

— A jeśli Burkhard pojawi się na jubileuszu jutro wieczorem?

— Poradzimy sobie. Sądzę, że teraz musimy skupić się na naszym

dzisiejszym przyjęciu.

Lydia znowu naciągnęła kołdrę na głowę.

— Wiedziałam, że powinnam była wybrać tamto mieszkanie. Nie miałabym teraz takich kłopotów!

— Próżne żale to strata czasu — odparł Maldwin. — Proszę się ubierać. Dołożymy starań, by dzisiejsze przyjęcie okazało się najlepsze z dotychczasowych.

Wróciwszy do wynajętego pokoju, Georgette usiadła przy służącym do wszystkiego stole, przyglądając się łupowi, który znalazła w apartamencie

Bena.

Nie było tego wiele.

Wciąż nie potrafiła uwierzyć, że ta kobieta, kimkolwiek była, przyszła po jedzenie Bena. To dopiero tupet! Cóż, przynajmniej mnie nie widziała, pomyślała Georgette i zachichotała. Ciekawe, jak długo przesiedzi tam zamknięta?

Słyszając klucz w zamku, uniosła głowę. Blaise miał tak samo ponurą minę jak wówczas, gdy wychodził.

— Co to jest? — zapytał, wskazując spinki do mankietów, zagraniczne monety oraz srebrną szczotkę i grzebień.

— Będiesz ze mnie dumny.

— Dlaczego?

— Pamiętasz pęk kluczy, który

ukradłam Natowi?

— Tak.

Georgette usiadła prosto, podniecona tym, co miała do powiedzenia.

— Zdjęłam z niego klucz do mieszkania. Dzisiaj jednak zaczęłam się zastanawiać. Wróciłam do domu i przyjrzałam się pozostałym kluczom. Dwa oznaczone zostały maleńkimi inicjałami B.C.

Twarz Blaise'a nie zmieniła wyrazu.

— Nie łapiesz? Ben Carney, najlepszy przyjaciel Pemroda! Ten, który umarł wczoraj wieczorem. To z jego powodu Thomas Pilsner pobiegł wczoraj do Nata.

— Wiem, o kim mówisz.

— Doszłam do wniosku, że to klucze do mieszkania Bena, odszukałam więc jego adres. Klucze pasowały!

— Czemu to zrobiłaś?

— Bo on nie żyje. Pomyślałam, że brylanty mogą być w jego mieszkaniu. Nigdy nie wiadomo, prawda?

— Postąpiłaś bardzo głupio.

— Dlaczego?

— Bo gdyby cię złapano, stracilibyśmy okazję poszukania brylantów w apartamencie Pemroda. A to najbardziej prawdopodobne miejsce.

— Nic nie szkodzi próbować — odpowiedziała Georgette, wyraźnie zirytowana, że Blaise nie pochwalił jej sprytu. A jeszcze nie skończyła. — Ktoś wszedł, kiedy byłam w sypialni,

przeszukując rzeczy Bena.

— Co takiego?! — zapytał Blaise przestraszony.

— Nie martw się. Nie widziała mnie. Prysnęłam jej w oczy gazem łzawiącym i zamknęłam ją w szafie.

— Georgette! Straciłaś rozum? Masz z tego kilka fantów i kogoś, kto może cię zidentyfikować.

— Powtarzam ci, że mnie nie widziała! A gdyby brylanty tam były? Inaczej byś śpiewał.

Blaise usiadł naprzeciw niej i potarł oczy.

— Wróciłem do domu po frak. Lydia urządza wieczorem następne przyjęcie.

— Ja też idę.

— Tak?

— Zadzwoiła i powiedziała, że chce przeprosić za to zamieszanie wczoraj wieczorem. Dzisiaj będą ci sami ludzie, bez dodatkowej opłaty.

— Nie podoba mi się to — oświadczył Blaise. — W klubie robi się gorąco. Myślę, że niedługo powinniśmy wyjechać z miasta.

— A co z brylantami?

Przez chwilę się zastanawiał.

— Po przyjęciu oboje zakradniemy się do mieszkania Pemroda i przeszukamy je. Jeśli nic nie znajdziemy, spływamy stąd.

— Co z twoim kursem?

— Nie znoszę go! Nic mnie obchodzi właściwy sposób składania gazety, przygotowywanie kąpieli czy

polerowanie sreber!

Georgette podniosła zaśniedziałą srebrną szczotkę do włosów, którą znalazła w komodzie Bena.

— Możesz poćwiczyć na tym — powiedziała z uśmiechem.

— Bardzo zabawne. — Ujął jej dłonie i uścisnął. — Georgette, z Lydią jest coś nie tak. Jestem tego pewny. Przypuszczalnie ściągnęła nas, bo policja chce wszystkich przesłuchać.

— Więc może nie powinniśmy tam iść?

— To by wyglądało podejrzanie. Poza tym trzeba przeszukać mieszkanie Nata. Później się stąd wynosimy.

— Z radością wyniosę się z tej nory — powiedziała Georgette, rozglądając

się wokół.

— Ja też.

— A jeśli nas złapią?

— Nie pozwolimy, by ktokolwiek wszedł nam w drogę.

Roześmiali się głośno.

29

Janey leżała na dnie szafy skulona jak embrion. Oczy ją piekły i było jej zimno. Wyobraziła sobie swój śliczny niebieski płaszcz, przewieszony przez oparcie krzesła o kilka kroków stąd. Wciąż nie potrafiła uwierzyć w to, co się stało.

Miała wrażenie, jakby widziała całe swoje życie. Tak ciężko pracowałam i

co? — pomyślała. Głupia pomyłka. Głupia, idiotyczna, kretyńska.

To bez wątpienia kwalifikuje się jako „najbardziej żenujący moment w twoim życiu”. Czy ktoś mnie uwolni? Czy w ogóle chcę, żeby mnie znaleziono? Mogłabym skakać, ale wątpię, czy ktoś by cokolwiek usłyszał. To mieszkanie przypomina fortecę.

Telefon komórkowy zadzwonił po raz trzeci. Był w torebce, która leżała obok płaszcza na krześle. Ha, przy moim szczęściu to pewnie pani Buckland domaga się swojego pieczonego kurczaka, przeszło przez głowę Janey. W głębi serca była jednak przekonana, że to Thomas. Telefonował do niej dziesięć razy na dzień. Czasami, gdy rozwoziła

posiłki albo odwiedzała któregoś ze swych starszych wiekiem klientów, nie mogła z nim rozmawiać. Tak jak wczoraj wieczorem. Nie miałam dla niego czasu, gdy mnie potrzebował, wyrzucała sobie gorzko.

Czy teraz on będzie miał czas dla niej? Przecież zawsze miał. Czy wpadnie mu do głowy, żeby tutaj jej poszukać? Tylko dlaczego miałyby pomyśleć akurat o mieszkaniu Bena? Kto wie, kiedy odnajdą siostrzenicę, o której ciągle opowiadał staruszek? Mogą minąć dni, nim odszukają jej adres, a tygodnie, nim przyjedzie tutaj, żeby posprzątać mieszkanie.

A jutro jest przyjęcie rocznicowe! Janey bardzo chciała wziąć w nim

udział. Myślała o wszystkich tych skomplikowanych deserach, które przygotowała, i o ogromnym torcie, atrakcji wieczoru. O tym, jak zamierzała pomóc Thomasowi przy ściąganiu nowych członków do klubu. To było dla niej za wiele. Ogarnęła ją czarna rozpacz, z oczy popłynęły łzy, których powodem wcale nie był gaz.

Rozpaczała tak może pięć minut, a później wzięła się w garść. Trzeba myśleć pozytywnie, przede wszystkim zaś wydostać się stąd. Jak wiele sławnych osób popełniało poważne błędy, i to publicznie? A potem po prostu przepraszaali — no, przynajmniej niektórzy — i życie toczyło się dalej.

Wiem! — pomyślała. Ten, kto

zaatakował mnie gazem, to prawdziwy przestępca. Szperał w mieszkaniu i na pewno coś ukradł. Jeśli się stąd wydostanę, zrobię wszystko, żeby go odnaleźć.

Co pamiętam? — zadała sobie pytanie i zaraz na nie odpowiedziała: to bez wątpienia była kobieta. Wydawało mi się, że poczułam na twarzy długie włosy, gdy mnie zaatakowała. I jej perfumy! Ten zapach rozpoznałabym wszędzie.

Te rozmyślania poprawiły nieco nastrój Janey. Obok swoich kolan dostrzegła pudełko, które spadło z półki; były w nim ryżowe chrupki. Poczęstowała się nimi. Chrup, chrup, chrup. To właśnie miała zamiar zrobić,

jak się stąd wydostanie i odnajdzie sprawcę swego nieszczęścia.

Nagle przypomniał jej się ulubiony film „Dźwięki muzyki” i zaczęła cicho nucić: „Kiedy pies cię ugryzie, kiedy pszczoła użądli...”.

30

Światelko automatycznej sekretarki migotało, kiedy Regan wróciła do apartamentu Nata. Nacisnęła klawisz odtwarzania.

— Nat, tu Edward Gold. Co się dzieje z tobą i z Benem? Nie pokazaliście się dzisiaj. Zrobiliśmy powiększenie czeku na jutrzejsze przyjęcie. Zadzwoń do mnie.

Regan otworzyła szeroko oczy i ponownie przesłuchała wiadomość. Kim jest Edward Gold? I dlaczego nie zostawił numeru? Czy to był czek za brylanty?

Zaraz też zadzwoniła do informacji. Na Manhattanie było trzech Edwardów Goldów, z których tylko jeden odebrał jej telefon, lecz na pewno nie był tym właściwym, ponieważ nie miał pojęcia, o czym mówi Regan. W pozostałych wypadkach odezwała się automatyczna sekretarka; jeden przedstawił się jako Eddie, drugi jako Teddy. Słuchając ich głosów, Regan nie miała wątpliwości, że żaden nie jest tym, którego szuka.

Usiadła przy blacie w kuchni. Gdzieś tu musi być książka telefoniczna,

pomyślała. I rzeczywiście była, w drugiej z kolei szufladzie. Regan wyjęła ciężki tom i otworzyła. W dziale dotyczącym jubilerów na kilkunastu stronicach znajdowały się ogłoszenia o kupnie, sprzedaży, naprawie, projektowaniu i wycenie biżuterii. Przekłuwanie uszu. Kupno i sprzedaż srebra. W końcu natrafiła na reklamę zakładu jubilerskiego „Edward Gold”, mieszczącego się przy Zachodniej Czterdziestej Siódmej.

Wykręciła podany w książce numer i już po chwili rozmawiała z właścicielem. Przedstawiła się i przekazała wiadomość o Nacie i Benie.

— Nie mogę w to uwierzyć — odrzekł jubiler. — Obaj byli u mnie

poprzedniego dnia. Wyceniliśmy brylanty, a dzisiaj chciałem wystawić czek. Zamierzaliśmy jutro na przyjęciu w Klubie Osadników pokazać wszystkim brylanty i powiększoną kopię czeku, w rodzaju tych, których używa się przy losowaniach na loterii. To miało być wielkie wydarzenie.

— Więc pan widział brylanty?

— Przecież mówiłem, że dokonałem wyceny! Są piękne, mam już nawet potencjalnego kupca. Zbliża się czterdziesta rocznica jego ślubu i chce z nich zrobić kolczyki dla żony.

— Ho, ho, niezłe kolczyki!

— Czuję się okropnie.

— Dobrze znał pan Nata?

— Znałem całą czwórkę, która grała

w karty. Niesamowite typy. Może pani sobie wyobrazić, że wrzucili kosztowne kamienie do miski i zostawili je tam na wiele lat? Wszystkie cztery brylanty miał dostać ten, który przeżyje pozostałych. To byli zabawni faceci. Co za szkoda.

— Od jak dawna pan ich znał?

— Od dziesięciu lat. Spotkałem ich na wystawie jubilerskiej. Wszyscy byli już na emeryturze. Czasami wpadali do mnie do zakładu na pogawędkę.

Regan pomyślała o Jaskierku. Ciekawe, czy przypadkiem Nat nie zwierzył się Edwardowi.

— Co się teraz stanie z brylantami?

— zapytał jubiler. — Nat i Ben bardzo pragnęli przekazać pieniądze Klubowi

Osadników.

Regan się zawahała; Gold robił na niej wrażenie człowieka uczciwego. Spojrzała na zegarek: wpół do piątej.

— Nie wiem — odrzekła. — Czy mogę wpaść do pańskiego sklepu?

— Teraz?

— Wiem, że to piątkowe późne popołudnie, ale ponieważ jutro jest przyjęcie, a ja zajmuję się teraz sprawami Nata, chciałabym zamienić z panem kilka słów.

— Zapraszam. Mam butelkę sznapsa, którą zamierzałem otworzyć na spotkaniu z Benem i Natem. Może powinniśmy wypić po kieliszku, by uczcić ich pamięć.

Ta ostatnia scena to najgorsze aktorstwo, jakie w życiu widziałam, pomyślała Daphne. Jeśli film trafi na ekrany, a ludzie dowiedzą się, że kręcono go w Klubie Osadników, nikt nigdy nie będzie chciał tu przyjść.

Ekipa techniczna zmieniała światła i przestawiała kamery w drugi kąt pokoju. Daphne siedziała w części barowej obok aktorki, której była dublerką. Jej pseudonim artystyczny brzmiał Pumpkin Waters, Dynia Wodna! Słodki, jeśli masz dwadzieścia lat, uznała Daphne, ale żałosny dla sześćdziesięciolatki. Pumpkin wyraźnie dawała do zrozumienia, że uważa się za lepszą od

Daphne.

— Dużo ostatnio pracujesz?

Aktorka spojrzała na nią pogardliwie.

— Ja zawsze pracuję.

— Wiem, jak w tym biznesie jest trudno ludziom starszym, a zwłaszcza kobietom.

Nie ulegało wątpliwości, że irytacja Pumpkin rośnie z każdym słowem Daphne.

— Bardzo interesująco włączyłaś owcę w swoją kwestię. Gdy się o nią potknęłaś.

— Mogłabyś zostawić mnie w spokoju? — zapytała Pumpkin. — Ja się koncentruję.

Ciekawe tylko, na czym? Daphne

wstała.

— Idę do gabinetu prezesa. Gdyby mnie potrzebowali, powiedz, że wystarczy krzyknąć.

Pumpkin tylko skinęła głową.

Daphne zastała Thomasa za biurkiem; przeglądał program przyjęcia rocznicowego. Jak zwykle wydawał się rozgorączkowany.

— Jak tam film? — zapytał.

— Oscara raczej nie dostanie.

Na twarzy Thomasa pojawił się wyraz bólu.

— No cóż, przynajmniej dzięki niemu zapłacę kilka rachunków. — Potrzebna ci moja pomoc przy jutrzejszym przyjęciu?

Thomas przecząco pokręcił głową.

— Kuchnia przygotowała menu. *Hors d'oeuvres*. Obfity bufet i desery. Janey piecze specjalny tort. — Podniósł słuchawkę. — Zaczynam się trochę martwić. Nie mogę się z nią skontaktować przez całe popołudnie.

— Może jest u klientów?

— Dzisiaj nie miała żadnych dostaw, cały dzień przygotowuje dania na przyjęcie.

— Na pewno wszystko u niej w porządku. Jeszcze nawet nie ma piątej. Gdzie jest Regan Reilly?

Thomas odłożył słuchawkę.

— Wciąż nie odpowiada — mruknął z roztargnieniem, a później spojrzał na Daphne i dodał: — Regan wyszła na spotkanie z jubilerem, który miał kupić

brylanty od Nata.

— Więc Nat i Ben skontaktowali się z jubilerem. To wspaniale!

— Wcale nie, jeśli nie odzyskamy tych kamieni! Ale teraz przynajmniej mamy dowód, że istnieją, a ja nie zwariowałem.

— Wiesz co, Thomasie — zaczęła Daphne — nigdy tak naprawdę nie pochwalałam pomysłu prowadzenia agencji matrymonialnej w klubie. Wszystkie te nieznajome osoby jeżdżące windami.

Thomas opuścił ramiona.

— Daphne, zgodziłem się z wielu powodów. Po pierwsze, liczyłem, że niektórzy porządni ludzie przychodzący na przyjęcia do Lydii mogą zdecydować

się na wstąpienie do klubu.
Potrzebujemy nowych członków!

— Wiem, wiem — odrzekła Daphne. — Ta Lydia to jednak straszna nowobogacka. A ten jej kamerdyner Maldwin myśli, że tylko on tutaj ma klasę. Nie mogę tego znieść! Podejrzewam, że to któryś z ich gości zwinął brylanty Nata.

— Przestań, Daphne! — zawołał Thomas. — Regan robi wszystko, żeby wyjaśnić tę sprawę. Poprosiła mnie o listę osób mieszkających w klubie, by mogła z wami porozmawiać.

— Wczoraj wieczorem nic nie widziałam. Powinieneś był zainstalować kamery w windach i holach, przecież rozmawialiśmy o tym, kiedy zacząłeś tu

pracować.

— Próbowałem zaoszczędzić trochę pieniędzy!

W tej samej chwili w progu pojawił się asystent producenta.

— Panno Doody, jest nam pani potrzebna.

Daphne wstała i zwróciła się do Thomasa:

— Daj mi znać, jeśli będę mogła się przydać.

Twojej pomocy akurat nie potrzebuję, pomyślał, lecz uśmiechnął się grzecznie. Po wyjściu Daphne po raz kolejny podniósł słuchawkę. Rozpaczliwie pragnął porozmawiać z Janey, ale znowu odezwała się tylko jej poczta głosowa. Wiem, że stało się coś

złego, powiedział do siebie, po prostu wiem. Jeśli nie złapię jej do powrotu Regan, poproszę, żeby poszła ze mną do mieszkania Janey. Ostatnio wszystko tak fatalnie się układa, że najstraszniejsza nawet rzecz nie będzie niespodzianką.

32

W głównej sali hotelu Paisley trwało w najlepsze przyjęcie koktajlowe. Przedstawiciele policji oraz autorzy powieści kryminalnych spotykali się i radośnie pozdrawiali. Wykłady i seminaria były bardzo udane. Ludzie już mówili o następnej konferencji i tematach, które mogłyby być interesujące.

Luke przyszedł na przyjęcie i teraz razem z Norą wybierali się na kolację w towarzystwie przyjaciół.

— Rozmawiałaś z Regan? — zapytał.

— Od rana nie.

— Za to ja rozmawiałem z Austinem. — Luke wziął od barmana lampkę wina. Austin był jego prawą ręką w zakładach pogrzebowych. — Wspomniałem mu o nowym zleceniu Regan w Klubie Osadników. On zna pewną osobę, która była tam na przyjęciu dla samotnych w walentynki. Okazuje się, że właścicielka agencji matrymonialnej mieszkała przedtem w Hoboken i w zeszłym roku było o niej głośno. Pamiętasz, jak bracia Connelly

opowiadali o staruszce, która była milionerką, ale nikt nie miał o tym pojęcia, i zostawiła wszystko sąsiadce? Ta staruszka jeszcze za życia zamówiła sobie w ich zakładzie bardzo skromny pogrzeb. Bracia Connelly dali jej nawet rabat, a potem się dowiedzieli, że uskładała w banku kilka milionów!

— Pamiętam — potwierdziła Nora.

— Przysięgam, że przedsiębiorcy pogrzebowi to najwięksi plotkarze na świecie!

— No więc ta dziewczyna odziedziczyła wszystkie pieniądze, za to bracia Connelly ledwo wyszli na swoje. Teraz ona mieszka w apartamencie w Klubie Osadników i prowadzi agencję matrymonialną. A kiedy bracia Connelly

urządzili kwestę i zwrócili się z prośbą o datek, to ich odprawiła.

Nora uniosła brew.

— A czy ten, który poszedł na przyjęcie do niej, dobrze się bawił?

— Zaraz po przyjęciu wrócił do żony.

— Nie ma to jak szczęśliwe zakończenie — skomentowała Nora ironicznie. — Może trzeba powiedzieć o tym Regan?

— Zrobię to — obiecał Luke.

Obok nich siedział ktoś wprawiony w podsłuchiwanie: dziennikarka, z którą Nora rozmawiała przed południem i którą zaprosiła na wieczorny koktajl. Dlaczego pani Reilly nie powiedziała mi, że jej córka jest w Klubie

Osadników, skoro o nim wspomniałam?
— zastanawiała się Mary Ruffiner,
czekając na drinka. Muszę się postarać,
żeby tam jeszcze dzisiaj wpaść.

Poklepała Norę po ramieniu.

— Jak się pani miewa? — zapytała,
po czym zwróciła się do Luke'a: — A
pan na pewno jest ojcem Regan Reilly.

33

— Uznałem, że z nazwiskiem Gold
najlepiej zrobię, zostając jubilerem —
roześmiał się Edward Gold, nalewając
sznapsa do dwóch kieliszków. Siedzieli
w dobrze oświetlonym gabinecie nad
zakładem przy Zachodniej Czterdziestej
Siódmej.

— Mam przyjaciela nazwiskiem Taylor, który nie potrafi nawet przyszyć guzika — sprzeciwiła się wesoło Regan.

— Dobrze! Skoro o tym mowa, znam Bakera, który bez kompasu nie trafi do kuchni.

Stuknęli się kieliszkami. Regan właściwie nie miała ochoty pić, ale doszła do wniosku, że nie powinna odmawiać; alkohol może rozwiązać jubilerowi język. Był dość wysoki i szczupły, po sześćdziesiątce, miał burzę śnieżnobiałych włosów, wąsik i wielkie piwne oczy, w których czaiło się rozbawienie. Regan odniosła wrażenie, że Gold jest w ciągłym ruchu. Co kilka sekund szarpał lewy rękaw swetra.

— Za Nata i Bena — powiedział

Edward z powagą. — Niech odpoczywają w spokoju.

Nie sędzę, żeby odpoczywali w spokoju, póki nie znajdą się brylanty, pomyślała Regan, upiła jednak mały łyk mocnego alkoholu, skrzywiła się lekko, po czym odchrząknęła.

— Nie chciałam mówić tego przez telefon, panie Gold, ale brylanty zniknęły.

Mina mu zrzęda; otworzył szeroko oczy.

— Zniknęły?!

Przepadnie mu prowizja, pomyślała Regan, głośno zaś powtórzyła:

— Zniknęły. — I opowiedziała całą historię. — Może ukradziono je z portfelem Bena. Jeśli tak, to

kieszonkowiec miał niesamowite szczęście. Albo też zabrano je z mieszkania Nata. Pomyślałam, że pan mógłby mieć jakieś użyteczne dla mnie informacje. Przygotowałam kilka pytań...

Jubiler dolał sobie wódki, potrząsnął głową i szarpnął ręką za sweter.

— Niech pani pyta.

— Często ich pan widywał?

— Co kilka miesięcy wpadali do mnie całą paczką. Wypijaliśmy tutaj drinka, a potem szliśmy na lunch. Było bardzo zabawnie. Nazywali siebie „Kolory”.

— Słyszałam o tym. Edward skinął głową.

— Nat, Ben, Abe i Henry. Kier, pik,

treść i karo. Przyjaciele na całe życie. Mówię pani, chciałbym mieć grupę takich bliskich kumpli. Mam ich mnóstwo, ale wie pani, oni spędzili razem pięćdziesiąt lat. Wiele ich łączyło. Byli przy sobie, gdy rodziły im się dzieci i wnuki, kiedy się rozwodzili, gdy umierały im żony. Czasami się sprzeczcali, ale co tydzień grali razem w karty. Po śmierci Abe'a i Henry'ego w zeszłym roku Nat i Ben wiele rozmyślali. Ciężko przeżyli utratę przyjaciół. Żaden nie potrzebował pieniędzy ze sprzedaży brylantów, żaden też nie chciał wydawać ich sam. Setna rocznica istnienia klubu wydawała się idealnym rozwiązaniem. Doszli do wniosku, że zrobią najlepiej, jeśli

pieniądze podarują Klubowi Osadników i będą mogli mówić prezesowi, jak powinien je wykorzystać. — Jubiler wydawał się szczerze przejęty. — Tak się cieszyli na jutrzejsze przyjęcie.

— Jak pan myśli, czy rozmawiali o brylantach z innymi ludźmi?

Gold pokręcił głową.

— Powtarzali, że to tajemnica. Ale sama pani wie, jako to bywa z tajemnicami.

— Wiem.

— Nazywali Bena „Wielka Gęba”.

— Tak?

— Siedział w barze w klubie i paplał. Żaden temat nie był dla niego zbyt banalny. Nat sprawiał wrażenie milczka, choć lubił opowiadać kawały.

W każdym razie on i Wendy, jego żona, zawsze byli bardzo spokojni. Może te wszystkie owce tak na nich wpływały. Widziała je pani?

— O tak — potwierdziła Regan.

— Zwariowane, nie? Chociaż niektórzy ludzie przywiązują się do zwierzaków, nawet do wypchanych.

— Ludzie przywiązują się do wszystkiego — odpowiedziała. — Rozumiem, że cała czwórka należała do klubu.

— Tak. Nat jako jedyny tam mieszkał, ale klub przypominał bardziej bractwo. Wiele razy łamali się chlebem w sali jadalnej. — Niech pani pije sznapsa.

— Dobry — pochwaliła Regan,

upijając mały łyk. — Czy Nat wspominał może o jakiejś przyjaciółce?

— Przyjaciółce? — powtórzył Edward, otwierając szeroko oczy.

Postanowiła nie mówić wprost.

— Jeśli spotykał się z jakąś kobietą, to mógł jej opowiedzieć o brylantach.

— Przyjaciółka? — Gold machnął rękami. — Nie! Co prawda lubił flirtować i kelnerki go uwielbiały, lecz nie sądzę, żeby się z kimś spotykał. Jeśli tak, to w każdym razie mnie nic nie mówił.

— To mogła być całkiem świeża sprawa.

— Och, rozumiem! — odrzekł Edward. — Przyjaciółki na pewno nie ucieszyłyby wieść, że Nat pozbywa się

brylantów. W końcu brylanty są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny. — Roześmiał się, zaraz jednak spoważniał. — To nie jest właściwe. Nat przecież nie żyje.

Regan pomyślała, że alkohol zaczyna już działać na jej rozmówcę.

— Czy wie pan jeszcze coś o Benie, co mogłoby dla mnie być użyteczne? Jakieś nawyki? Coś, co na pozór nie wydaje się ważne, ale jest?

— Hmm — zastanowił się jubiler. — Kiedyś wszyscy poszliśmy do niego do domu. Zrobiliśmy mu niespodziankę, były jego urodziny. Zastaliśmy go w łazience, wpuściła nas sprzątaczką. Na stole w jadalni leżał jego pamiętnik. Do diaska, Nat był naprawdę zakłopotany.

Pozostali nieźle sobie na nim z tego powodu použíwali.

— Prowadził pamiętnik? — zapytała Regan.

— Przynajmniej wtedy. Tamtego dnia pisał wiersz. Fatalny.

— I wpuściła was sprzątaczką?

— Przychodziła w poniedziałki. Ben mówił, że dzięki temu może cały tydzień spokojnie bałaganić.

Muszę iść do jego mieszkania, pomyślała Regan. Jeśli prowadził pamiętnik do dnia śmierci...

— Zawiadomię jubilerów o brylantach — dodał Edward. — Są doskonałej jakości, łatwo je rozpoznać. Chociaż idę o zakład, że jeśli ktoś zechce sprzedać te kamienie, to

wywiezie je za granicę.

— Dziękuję. — Co tam, pomyślała Regan, i wypła kieliszek do dna. Kiedy wstała, czuła na wargach mrowienie od miętowego sznapsa.

— Proszę dać mi znać, jeśli coś się wyjaśni. — Edward dopisał na wizytówce numer domowego telefonu. — Mieszkam na Coney Island. Przez cały weekend będę w domu. Muszę powiedzieć żonie, że nie idziemy na przyjęcie.

— Jakoś nie sędzę, żeby zapowiadało się na udane — odparła Regan.

Edward obszedł biurko i stanął przy niej.

— Wie pani, jaka jest jedyna dobra

strona całej tej sprawy? Nat i Ben nie daliby sobie rady w pojedynkę, a tak żaden nie musiał się dowiadywać o śmierci drugiego. Może sobie pani wyobrazić ich spotkanie w niebie?

— To pocieszająca myśl — Regan się uśmiechnęła.

— Założę się, że grają tam w karty. Może jak umrę, mnie też w końcu pozwolą zagrać.

— Jestem tego pewna.

— Jeśli odnajdzie pani brylanty, proszę pamiętać, że oferuję najlepszą cenę. Czek jest już gotowy. I poświęczony.

— Nie zapomnę.

Musiałabym mieć niezwykle szczęście, żeby je odnaleźć, pomyślała,

kierując się do drzwi.

34

O szóstej po południu Archibald i Vernella Endersowie, jeżeli nie podróżowali albo nie przygotowywali się do wyjścia na wieczór, zawsze z przyjemnością pili koktajl w salonie, siedząc w fotelach przy wykuszowym oknie, z którego rozciągał się widok na Gramercy Park. Latem z zapalem krytykowali każdego przechodnia, kiedy jednak dni stawały się krótsze, w słabym świetle nie dostrzegali zbyt wielu szczegółów i musieli szukać sobie innych powodów do sarkastycznych uwag. Teraz byli zadowoleni, ponieważ

przyszedeł marzec i ludzie znowu stawali się wyraźni.

— Dzwoniłem dzisiaj w parę miejsc — zwierzył się Archibald swej towarzyszcze życia od pięćdziesięciu siedmiu lat.

Vernella popijała drinka. Już dawno temu nabrała wyglądu osoby cierpiącej na śmiertelną w skutkach nadkwasotę. Godne góry Rushmore zmarszczki dezaprobaty wyrzeźbione były na trwale na jej twarzy.

— I co?

— Wygląda na to, że Klub Osadników jest w gorszym stanie, niż moglibyśmy żywić nadzieję.

— Wspaniale — odrzekła Vernella swym niemal gardłowym głosem. —

Klub działa mi na nerwy od lat sześćdziesiątych, kiedy wpuścili hippisów, którzy wałęsali się po parku w tych swoich kwiecistych koszulach. Co się stało z dobrym wychowaniem? Dobrym smakiem? „Osadnicy”, rzeczywiście! Klub przez ostatnie trzydzieści lat prowadzi krucjatę mającą na celu odebranie dobrego imienia Gramercy Park.

— Niech to nie zaprzęta twojej ślicznej główki — odezwał się Archibald.

— W banku powiedzieli mi, że to przyjęcie rocznicowe jest żalosną próbą przyciągnięcia nowych członków. Sytuacja „Osadników” jest jednak beznadziejna i nie minie wiele czasu, a

będę mógł kupić ten budynek.

— Budynek?

— Tak. Kuzyn Thorn potrzebuje w Nowym Jorku siedziby dla swojej szkoły, a to idealne miejsce. Razem z drogim kuzynem postaramy się, żeby do Nowego Jorku powróciły klasa i dobre manieri. Dzięki jego szkole znowu pojawią się wykwalifikowani kamerdynerzy. Niestety, profesja ta przeżyła smutny upadek. To musi się zmienić.

— Sami też potrzebujemy kamerdynera.

— Tak trudno utrzymać służbę. Zawsze odchodzą. My jednak będziemy mieli doskonały przegląd absolwentów szkoły Thorna i naturalnie zatrudnimy

najlepszego. Jak wiesz, mój kuzyn przyjeżdża późnym wieczorem.

— Pokój gościnny jest przygotowany.

— Jutro wieczorem zjemy razem kolację, wznosząc toast za klęskę Klubu Osadników, która nastąpi po nieudanym przyjęciu, a także za upadek szkoły Maldwina Fecklesa, która jest obrazą dla każdego szanującego się kamerdynera.

Vernella zachichotała, a robiła to niezwykle rzadko.

— Szkoda, że to nie potrwa trochę dłużej. Moglibyśmy wystawić naszą lunetę.

— Diablica z ciebie — Archibald ujął ją za kościstą dłoń. — Ta sama

diablica, w której się zakochałem.

— Och, Archie — odparła Vernella kokieteryjnie. — Nie jestem diablicą. Modlę się.

— A o co się modlisz?

— Żeby jutrzejsze przyjęcie — z niesmakiem wskazała Klub Osadników — zakończyło się ich całkowitą i ostateczną klęską.

Archibald klasnął w dłonie.

— To będzie świetna zabawa!

35

Clara ucieszyła się, kiedy po dniu spędzonym na sprzątaniu Klubu Osadników wróciła wreszcie do domu. Zaraz zdejmę ten uniform i włożę

szlafrok, pomyślała otwierając drzwi swojego mieszkania w Queens. Cóż to był za dzień! Staram się pomóc, a Thomas szaleje, kiedy pokazuję mu czerwone pudełko. Wzruszyła ramionami, zdejmując płaszcz.

Może wziąć kąpiel, przeszło jej przez myśl, zaraz jednak przypomniała sobie los Nata. Chyba to nie jest dobry pomysł, zdecydowała. Weszła do sypialni, rozebrała się i włożyła podbity miśm szlafrok, który siostra podarowała jej na Boże Narodzenie.

— Tak jest lepiej — powiedziała głośno. Otworzyła szufladę i wyjęła parę wełnianych skarpet. — Teraz będzie mi ciepło i wygodnie.

W kuchni podgrzała chińską potrawę

i nalala wino do kieliszka. Zniosla tace do salonu, usiadla w ulubionym fotelu, polozyła stopy na podnózku i włączyla telewizor.

— Dzięki Bogu jest weekend — oznajmila prezenterowi pogody, który informował o możliwych śnieżycach w ciągu najbliższych dni. — Nie obchodzi mnie, jak będzie pogoda, bo mam zamiar się wybyczyć.

Zjadła trochę *chow mein* i wypila kieliszek wina.

Zadzwonil telefon. To byla jej siostra Hilda, która mieszкала w Bronksie. Rozmawialy co wieczór.

— I co u ciebie? — zapytala Clara.

— Nic nowego. A u ciebie?

— W klubie bylo dzisiaj

zamieszanie. Wczoraj wieczorem
znaleziono jednego z członków
martwego w wannie.

— O mój Boże!

— I zniknęły brylanty, a ja znalazłam
puste pudełko.

— Ojej! Lepiej uważaj.

— Zaraz zaczyna się mój ulubiony
program.

— Ten o przestępstwach, których
nikt nie potrafi wyjaśnić?

Clara się uśmiechnęła.

— Tak. Porozmawiamy jutro.

— Jasne.

Odłożyła słuchawkę i wzmocniła
dźwięk pilotem. Jak zwykle oglądała
program z wielkim zainteresowaniem, a
w czasie przerwy na reklamę przyniosła

sobie drugi kieliszek wina. Kiedy pod koniec audycji prowadzący zachęcali jak zwykle widzów, by zgłaszali o każdym dziwnym przestępstwie, Clara natychmiast złapała za telefon.

— Jeden-osiem-zero-zero... — mówiła na głos, wystukując kolejne cyfry. Kiedy uzyskała połączenie, oznajmiła: — Na imię mam Clara i pracuję jako pokojówka w Klubie Osadników w Gramercy Park w Nowym Jorku. Dzisiaj znalazłam czerwone pudełko, z którego zniknęły brylanty warte cztery miliony dolarów. A wczoraj wieczorem właściciela tych brylantów znaleziono martwego w wannie.

— Poczekaj, Claro, umieścimy to w

programie. Możesz powtórzyć od początku?

— Jasne! — I po chwili wolno i zdecydowanie mówiła: — Na imię mam Clara i pracuję jako pokojówka w Klubie Osadników...

Jej głosu słuchano z uwagą w tysiącach nowojorskich domów.

36

Kiedy Regan wróciła do klubu, dochodziło wpół do siódmej. Przyjęcie u Lydii zaczynało się o ósmej, a pozostało kilka spraw, którymi chciała zająć się od razu. Thomasa znalazła w gabinecie; był bardzo blady.

— Co się stało?

— Odkąd Janey rano stąd wyszła, nie mogę się z nią skontaktować. To zupełnie do niej niepodobne.

— Dzwoniłeś do niej?

— Naturalnie!

Regan zrobiło się go żal. Już wcześniej się martwił, ale teraz na jego twarzy malowała się rozpacz.

— Po południu byliśmy umówieni na herbatę. Coś na pewno jej się przydarzyło, Regan. Zadzwońłaby, gdyby nie mogła przyjść.

— Masz klucz do jej mieszkania? — spytała cicho.

— Tak.

— Chcesz, żebyśmy od razu tam poszli?

— Chcę — odparł krótko Thomas,

po czym z wielką godnością wstał i wziął płaszcz. — Jeśli tylko nic złego jej się nie stało, poradzę sobie ze wszystkim, Regan. Kiedy człowiek się martwi, że może stracić ukochaną osobę, inne sprawy wydają mu się trywialne.

Wychodząc z klubu, nie zauważyli wysiadającej z taksówki dziennikarki Mary Ruffmer.

— Co ci powiedział jubiler? — zapytał Thomas z roztargnieniem.

— Że wyceniał brylanty i że jest gotowy czek, który ma być pokazany na przyjęciu...

— Myślisz, że zniknięcie Janey jakoś się z tym łączy?

— Thomasie, nawet tak nie myśl — odparła Regan. — Za kilka minut

będziemy u niej w mieszkaniu.

Muszę działać, zdecydowała Mary Ruffiner.

— Regan Reilly! — krzyknęła za oddalającymi się ulicą przyjaciółmi.

Regan się odwróciła.

— Tak?

Mary wyciągnęła do niej rękę.

— Jestem Mary Ruffiner. Przed chwilą byłam na drinku z pani rodzicami na tej rewelacyjnej konferencji kryminologicznej, zorganizowanej przez pani matkę. Poznałam panią ze zdjęcia w dzisiejszej gazecie.

— Ach, tak — odrzekła Regan, krótko ściskając dłoń dziennikarki. — To mój przyjaciel Thomas Pilsner.

— Witam — powiedział Thomas.

Regan widziała wyraźnie, jak bardzo chciał już iść. Ona zresztą też.

— Śpieszymy się...

— Nie będę was zatrzymywać. Jestem dziennikarką, pracuję w „New York World” i chcę napisać artykuł o setnej rocznicy istnienia Klubu Osadników. — Spojrzała na Pilsnera. — A czy pan przypadkiem nie jest prezesem?

— Tak — odpowiedział ostrożnie.

— Mogę do pani zadzwonić później? Albo jutro?

— Lepiej dzisiaj później — oświadczyła Mary energicznie i podała mu wizytówkę. — Najłatwiej złapać mnie przez komórkę. Bardzo mi zależy na rozmowie z panem — oznajmiła i

zwróciła się do Regan: — Zamierza pani wziąć udział w którymś z wykładów na konferencji?

— Spróbuję — odrzekła Regan szczerze.

Oboje z Thomasem pośpiesznie się pożegnali i pośpieszyli na południe, do oddalonego o kilka przecznic mieszkania Janey. Znajdowało się na trzecim piętrze kamienicy bez windy. Nacisnęli dzwonek domofonu, lecz nie doczekali się odpowiedzi. Thomas odetchnął głęboko, otworzył drzwi i wbiegł do środka, skacząc po dwa stopnie na raz. Regan podążała tuż za nim.

Przed wejściem do mieszkania narzeczonej zmówił w duchu modlitwę, otworzył drzwi i pchnął je. Na wprost

znajdował się salon, na lewo sypialnia i kuchnia. Nigdzie nie było śladu Janey.

— Chyba mogę powiedzieć, że mi ulżyło, Regan — wyznał. — Ale gdzie ona może być?

Regan rozejrzała się po niewielkim salonie. W mieszkaniu panował porządek, meble byty proste, lecz w dobrym guście. Niektóre z oprawnych w ramki zdjęć przedstawiały Janey i Thomasa. Stół zavalony był teczkami. Regan podeszła, by je obejrzyć.

— Prowadziła skrupulatną dokumentację dań przygotowywanych dla klientów — wyjaśnił Thomas.

Regan podniosła kartkę, która leżała na stole. Była to lista z nagłówkiem głoszącym: „Dostawy z piątku, 11

marca”.

— Gotowała dla Bena Carneya? —
zdziwiła się.

— Uwielbiał jej kurczaki —
powiedział Thomas ze smutkiem. —
Miał wilczy apetyt. Jeszcze dzisiaj rano
Janey żałowała, że Ben nie zje kurczaka,
którego upiekła mu wczoraj.

W ślad za Regan poszedł do kuchni.
Na parapecie stała szarlotka,
czekoladowe ciasteczka ułożone były na
papierowych ręcznikach. Na kontuarze
kilka ciast czekało na polukrowanie.

— Nigdy by ich nie zostawiła na
długo bez lukru — odezwał się Thomas.
— Jeśli czegoś nie znosiła, to
wyschniętych ciast.

W rogu na kontuarze stała

automatyczna sekretarka, na której migało światełko.

— Chcesz sprawdzić wiadomości?
— zapytała Regan.

Thomas skinął głową.

— Nie mamy przed sobą nic do ukrycia.

Wszystkie były od Thomasa — poza jedną: „Janey, tu pani Buckland. Jest już szósta. Co z moją kolacją? Goście przychodzą za godzinę! Co to za proszona kolacja bez jedzenia? Zadzwoń do mnie! Bardzo się denerwuję!”.

— Daj mi jej numer — poleciła Regan.

Thomas poszedł do salonu i odnalazł właściwą teczkę. Regan wystukała numer i przedstawiła się zagniewanej

pani Buckland.

— Nie wiemy, gdzie jest Janey. I bardzo się martwimy.

— Wy się martwicie? Wie pani, jak to jest, kiedy zaprasza się gości, a w domu została tylko torebka chipsów?

Regan dołożyła starań, by ukryć irytację.

— Pani Buckland, o której rozmawiała pani z Janey?

— O pierwszej. Zadzwoiłam do niej i powiedziałam, że to bardzo pilne. Na początku wahała się, czy przyjąć zamówienie na dzisiaj, ale przypomniałam jej o wszystkich moich znajomych, którym ją poleciłam, więc się zgodziła.

— Co zamierzała przygotować?

— Pieczonego kurczaka. Muszę przyznać, że doskonale to robi. Jej indyk bywa czasem suchy, ale pieczony kurczak jest wyśmienity. Na drugi dzień smakuje nawet lepiej.

— Pani Buckland, jestem pewna, iż tak jak my ma pani nadzieję, że Janey nic się nie stało. Czemu nie zaprosi pani swoich gości do restauracji?

— Ma pani pojęcie, ile to kosztuje?

— Jestem przekonana, że uda się pani znaleźć lokal z rozsądnymi cenami.

— Rzeczywiście, to miła odmiana nie musieć sprzątać po kolacji — odrzekła pani Buckland łagodniejszym tonem. — Mam nadzieję, że Janey nic się nie stało.

— Dziękuję. Damy pani znać. —

Regan odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Thomasa: — Janey po południu miała dostarczyć jej pieczonego kurczaka.

Spojrzeli na siebie. Oboje wiedzieli, że myślą o tym samym.

— Nie moja Janey — odezwał się Pilsner. — Nie wzięłaby kurczaka Bena.

— Według pani Buckland na drugi dzień smakuje lepiej.

— Mój Boże, dlaczego? — zapytał Thomas.

— Zadzwońmy tam.

Wyjął teczkę z nalepką „Carney”, a Regan wystukała numer. Nikt nie odpowiedział.

— A jeśli ona tam poszła i... i sam nie wiem co? — lamentował Thomas.

— Policja ma klucze do mieszkania Bena — zauważyła Regan.

— W takim razie nie pozostało nam nic innego, tylko zwrócić się do nich — zdecydował. — To jedyne wyjście.

Pięć minut później byli już na ulicy. Z policjantem z posterunku umówili się przed domem Bena. Mary Ruffmer podążała ich śladem.

37

Maldwin i jego uczniowie wyszykowali się już na wieczorne przyjęcie. W oficjalnych strojach czekali na przybycie gości. Przekąski trzeba było tylko wrzucić na chwilę do

piekarnika, ser, krakersy i sałatki rozłożono już na stole, a szampan chłodził się w lodówce.

— Księżniczka Miłości poszła na całego z tym przyjęciem, co, Maldwin?

— zapytał Vinnie, przesuwając grzebieniem po włosach.

— Nie wolno czesać się w kuchni!

— zganił go nauczyciel. — Skoro czekamy na gości, chciałbym omówić z wami parę spraw. Nie ma sensu tracić czasu. Przejdźmy do salonu.

Vinnie, Albert, Blaise i Harriet zajęli miejsca na kanapach. Feckles stanął przy oknie i przyjrzał się swoim uczniom. Nie był to szczególnie inspirujący widok. Odchrząknął i zapytał:

— A teraz, kto mi powie, co to jest „cichy kamerdyner”?

— Kamerdyner z zapaleniem krtani — odrzekł Vinnie.

— Vinnie! — upomniał go Maldwin.

— Cichy kamerdyner — zaczęła Harriet — to mały pojemnik używany do zbierania okruchów ze stołu i popiołów z popielniczek. Jest w każdym porządnym domu.

— Dziękuję, Harriet — pochwalił ją Maldwin. Dziewczyna rozpromieniła się, zadowolona. — Zaraz rozdám materiały do przestudiowania. Zamierzam zrobić wam krótki test. Teraz jednak zajmiemy się czymś innym. Jak wiecie, Stanley Stock, producent telewizyjny, znowu tu dzisiaj będzie.

Chcę mu zaproponować, żeby zapytał was o marzenia związane z profesją kamerdynera. Kto wie? Może będą was oglądać przyszli pracodawcy?

— Jakie to podniecające! — wykrzyknęła Harriet. — Mogę mówić pierwsza?

Zaraz chyba się porzygam, pomyślał Blaise. I nie zamierzam udzielać wywiadu przed kamerą. Wczoraj zrobiłem wszystko, żeby usunąć się z widoku.

Z interkomu rozległ się głos Lydii:

— Maldwinie, jesteś mi na moment potrzebny.

Feckles spojrział na zegarek.

— Macie chwilę na odpoczynek. Pamiętajcie, to przyjęcie jest bardzo

ważne!

I zdecydowanym krokiem opuścił salon.

— Co zamierzasz powiedzieć? — zwrócił się Albert do Vinniego.

— To mnie przerasta.

38

Przed kamienicą Bena stał wóz policyjny z włączonym kogutem. Ujrawszy go, Thomas zrozumiał powagę sytuacji i było to dla niego niczym cios. Z jego ust wymknął się jęk.

Regan podbiegła do samochodu i przedstawiła się. Z radia dochodziły piski i trzaski. Nie ulegało wątpliwości, że obecność policji przyciągnęła

powszechne zainteresowanie.

Funkcjonariusz Dowling, młody i sympatyczny policjant, przywitał się, otworzył drzwi wejściowe do kamienicy, po czym ruszyli po schodach do mieszkania Bena.

Gdy policjant otworzył drzwi i zapalił światło, całej trójce zabrakło tchu w piersiach. Mieszkanie zostało splądrowane. Szuflady w salonie były otwarte, zawartość walała się po podłodze.

— O mój Boże! — wykrzyknął Thomas.

— Wygląda mi to na włamanie — stwierdził fachowo Dowling. Wyjął radio i połączył się z posterunkiem.

Regan i Thomas obeszlą mieszkanie,

z niedowierzaniem rozglądając się wokoło. Dwie sypialnie także zostały wywrócone do góry nogami.

— Kuchnia musi być na drugim końcu — powiedziała Regan, kierując się ku wahadłowym drzwiom w jadalni. Zapaliła światło.

— Płaszcz Janey! — wykrzyknął Thomas. — Jej torba lodówka na jedzenie! — Podbiegł i z miłością pogładził płaszcz. — Janey, o moja Janey!

— Tutaj!

Pilsner wyglądał, jakby zobaczył ducha, a przynajmniej usłyszał. Regan też się wystraszyła.

— Janey, gdzie jesteś?

— W szafie!

Szarpnął drzwi, ale były zamknięte na klucz.

— Potrzebny nam sprzęt, aby je wyłamać. Są bardzo solidne — zauważył Dowling, który zdążył już do nich podejść.

— Janey, wydostaniemy cię. Ale jak się tam właściwie znalazłaś?

Uwięziona wybuchnęła płaczem.

— To długa historia.

— Czy ma coś wspólnego z pieczonym kurczakiem?

— Tak — odrzekła Janey słabym głosem.

Thomas odwrócił się do Regan i bezgłośnie wyszeptał:

— Kto nie marnuje, temu nie brakuje.

— Zwijamy się! — krzyknął Jacques Harlow, gdy ostatnia scena zakończyła się wyniesieniem z pokoju owiec przez Pumpkin i jej partnera Lothara. — Lecimy na następny plan.

— Następny plan? — powtórzyła Daphne ze zdziwieniem. — Myślałam, że ten był ostatni.

— Nie. Jedziemy na mój strych w centrum. Będziemy tam kręcić kulminacyjną scenę, w której Pumpkin i Lothar decydują się na wyjazd do Australii i kupno owczej farmy.

— Cudowny pomysł! — zawołała Pumpkin z progu.

— Nie, Pumpkin, to ty byłaś cudowna. Twoja wielowarstwowa, mocna gra sprawi, że krytykom z wrażenia pospadają buty — oznajmił Jacques, machając cygarniczką. — Kiedy podniosłaś tę owcę i przytuliłaś, przeżyłem wstrząs.

— To dzięki twojej reżyserii! — zawołała Pumpkin żarliwie, biegnąc ku Jacques'owi, by uścisnąć go, jak to miała w zwyczaju po skończeniu sceny. — Doskonale wczułam się w rolę, bo wiedziałam, że mi ufasz.

— No, ale dzięki temu wymyśliłem idealne zakończenie całej historii. A teraz ładujemy rzeczy na ciężarówkę. I nie zapomnijcie o owcach!

Daphne przysłuchiwała się

rozmowie dwojga największych pozerów, jakich kiedykolwiek spotkała w show-biznesie, i z każdym ich słowem ogarniała ją większa irytacja. Kiedy jednak dowiedziała się, że mieli zamiar odjechać z owcami Nata i Wendy, zerwała się na równe nogi.

— Nie możecie zabrać tych owiec. Należały do małżeństwa, które już nie żyje. Oboje byli członkami klubu i chcieli, żeby zostały tutaj, we frontowym salonie.

— Przywieziemy je z powrotem — obiecał Jacques.

— Tak nie można. Prezes klubu wyszedł, więc nawet nie można go zapytać.

Jacques podszedł do Daphne, ujął

jej dłoń i ucałował.

— Jestem pewny, że możemy dać pani prawdziwą rolę w scenie finałowej. Jeśli pani chce, oczywiście...

— A kogo mam grać? — zapytała Daphne ostrożnie.

— Piękną i bogatą właścicielkę owczej farmy, która dopiero co przeprowadziła się do Nowego Jorku.

— Jedziemy — zgodziła się natychmiast.

Jacques wziął laskę od nieodstępującego go na krok asystenta, uniósł ją w górę i zakomenderował:

— Jedziemy!

— Proszę się cofnąć! — polecił policjant. — Będziemy wyłamywać drzwi.

— Jakim narzędziem!? — krzyknęła Janey.

— Siekierą.

— Siekierą? — powtórzyła.

— Siekierą — potwierdził funkcjonariusz Dowling. — To prawdziwe cudo.

— Niech pan będzie ostrożny — odrzekła ostro Janey, a później dodała: — Bardzo proszę.

— Postaram się. Ile ma pani tam miejsca?

— Niewiele.

Thomas jęknął. Razem z Regan stali na drugim końcu kuchni. Całe

mieszkanie pełne było policjantów.

— No, zaczynam. — Policjant zamachnął się i uderzył siekierą w drzwi. Metalowe ostrze uderzyło w solidne drewno z odgłosem przypominającym trzaskanie gałązek w kominku.

Po kilku minutach jednak kawałki desek zaczęły odpadać. A po następnych Janey wyszła przez wyrąbaną dziurę i rzuciła się w wyciągnięte ramiona Thomasa.

Pomruki ulgi i ciche pochwały „Dobra robota” rozległy się w kuchni. Jeden z policjantów poszedł do salonu, by przekazać dobrą nowinę zebranim tam funkcjonariuszom oraz sąsiadom i dozorczy.

Regan się usunęła, gdy Janey i Thomas trwali w namiętym uścisku. Ta dziewczyna bez wątpienia nie wygląda teraz na taką potulną jak dzisiaj rano, przeszło jej przez myśl. Cóż, to właśnie takim cichym myszkom udają się największe podboje.

— Proszę pani — zwrócił się jeden z detektywów do Janey, gdy wreszcie Thomas wypuścił ją z objęć. — Będę musiał z panią porozmawiać.

— Mogę najpierw skorzystać z toalety?

— Naturalnie.

Kiedy Janey zniknęła w głębi holu z torebką w dłoni, Regan postanowiła rozejrzeć się po sypialni. Nie miała okazji poszukać pamiętnika Bena, odkąd

odkryli, że Janey siedzi zamknięta w szafie.

W pokoju panował straszny bałagan. Zawartość nocnego stolika wyrzucona została na podłogę, podobnie zresztą jak szafy. Zdjęcia, papiery i ubrania walały się dosłownie wszędzie. Regan podniosła kilka kartek, kilka par spodni, a potem dostrzegła kołonośnik wystający spod łóżka.

Otworzyła go — to był pamiętnik Bena! Na pierwszej stronie widniała data 1 stycznia tego roku. Szybko przerzuciła kartki. Ostatni zapis pochodził ze środy 10 marca. Dwa dni temu. Niewiarygodne.

Zawierał kilka zdań:

Więc jutro jest nasz wielki dzień: w klubie przekazemy Thomasowi nowinę. To ekscytujące. Wielkie przyjęcie jest w sobotę. Uprzedziłem Nata, że chcę zaprosić znajomą. Odparł, że zrywa z przyjaciółką; gdyby z nią przyszedł, byłby zażenowany różnicą wieku. Powiedziałem mu, żeby się tym nie przejmował!

Regan odwróciła kilka stron. Znalazła na nich krótkie notatki, które nic nie wnosiły. Tylko zapis z 28 lutego był dłuższy.

Dzisiaj poszedłem z Natem na kręgle. Rozmawialiśmy o dniu Sadie Hawkins. Powiedziałem, że moim

zdaniem to fatalnie się składa, że luty w tym roku kończy się 28. Może jakaś miła pani by mnie zaprosiła na randkę. On się roześmiał, a ja od razu wiedziałem, że coś się święci. W końcu przyznał się, że widuje się z jakąś dziewczyną. Stary chytrus! Powiedział, że ją lubi, ale jest jeden problem. Kiedy się do niej zbliża, nie może znieść intensywnego zapachu jej perfum. Poradziłem mu, żeby kupił jej inne, i dodałem, że może ja też znajdę sobie kogoś, tak byśmy mogli pójść we czwórkę na przyjęcie rocznicowe. Wyznał, że czuje się winny. „Dlaczego — zapytałem. Z powodu Wendy? Przecież chciałyby, żebyś był szczęśliwy”. Potrząsnął tylko głową i

powiedział, że nie chce o tym rozmawiać, dałem więc spokój. Nadal uważam, że podwójna randka byłaby niezłą zabawą.

Regan przerzuciła pozostałe strony, nie znalazła jednak imienia kobiety ani innych o niej wzmianek. Och, Ben, dlaczego nie zapytałeś Nata o jej imię?

Zawiedziona, rzuciła notatnik na łóżko i poszła do salonu. Thomas siedział koło Janey, obejmując ją opiekuńczo ramieniem, podczas gdy detektyw zadawał pytania.

— Jej perfumy były dość mocne — mówiła.

Regan przystanąła. Perfumy? Później jednak z progu dobiegł czyjś głos i

szybko odwróciła głowę. Mary Ruffiner notowała, rozmawiając z jednym z policjantów.

— ...więc przyszła tutaj po jedzenie, które dostarczyła wczoraj...

Mogę sobie wyobrazić jutrzejsze nagłówki, pomyślała Regan.

Kiedy Thorn wszystko przemyślał, doszedł do wniosku, że nie zdąży na wieczorny piątkowy lot do Nowego Jorku. Zamiast tego zdecydował się na kolację w jednej z ulubionych londyńskich restauracji, a potem noc w hotelu i ranny samolot.

To o wiele bardziej cywilizowany wyjazd.

Mieszkanie na wsi wiązało się z koniecznością planowania z wyprzedzeniem, Thorn jednak nie zrezygnowałaby ze swojego domu,

nawet gdyby proponowano mu w zamian skarb. Jego szkoła kamerdynerów mieściła się we wspaniałej rezydencji, była to idealna siedziba dla takiego przedsięwzięcia.

Do świtu brakowało jeszcze kilka godzin, on jednak leżał na łóżku w hotelu Andrews, nie mogąc spać. Był niespokojny, rzucał się i kręcił tak, że pościel splątała się w węzeł. Samolot odlatywał wczesnym rankiem, a wiadomość, że kuzyn Archibald chce kupić Klub Osadników, wydawała się zbyt piękna, aby mogła być prawdziwa. Thorn marzył, że zrujnuje karierę konkurenta i otworzy własną szkołę w tym samym budynku, w którym Maldwin Feckles poniósł niewyobrażalną klęskę.

Nagle poderwał się, olśniony błyskotliwym pomysłem. Rano skontaktuje się z przyjacielem w Nowym Jorku. Zapalił nocną lampkę, złapał hotelowy notatnik i długopis, które leżały przy telefonie, i zaczął pisać. Później wrzucił notatnik do szuflady.

Gasząc światło, westchnął uszczęśliwiony. Po kilku minutach już smacznie spał.

42

W klubie telefon wprost się urywał. Członkowie, którzy słyszeli wypowiedź Clary w telewizji lub ktoś im powtórzył jej słowa, dzwonili z pretensjami. Na prawo od drzwi wejściowych

usytuowane były gabinety dla gości, recepcja i główne biuro klubu. Ten, kto tam pracował, odpowiadał na telefony, witał gości i mógł oglądać program w niewielkim telewizorze. Kiedy Regan, Thomas i Janey wrócili z mieszkania Bena, przypadała akurat zmiana Willa Callana, długoletniego pracownika, któremu ani w głowie była emerytura.

— Dziś wieczorem jest niezły kocioł, szefie — zauważył Will, wręczając Pilsnerowi stos kartek z wiadomościami.

— Opowiedz dokładnie — polecił Thomas.

— Clara zrobiła niezły numer.

— To znaczy?

— Nie wierzyłem własnym uszom.

Siedziałem tu i pracowałem, gdy nagle usłyszałem z telewizora jej głos. To był jeden z tych programów o niewyjaśnionych przestępstwach, a Clara opowiadała o wczorajszych wypadkach w klubie. Powiedziałem sobie: „A niech to!”. I oczywiście od razu rozdzwonił się telefon.

Thomas głęboko odetchnął i zwrócił się do Regan i Janey:

— Cóż za bezmyślna kobieta! Więcej już chyba nie jestem w stanie znieść. Bardzo bym chciał wiedzieć, co przewiduje na dzisiaj mój horoskop.

Janey poklepała go delikatnie po dłoni.

— Po części to moja wina.

I tu masz rację, pomyślała Regan.

— Posłuchajcie — odezwała się — teraz idę na przyjęcie do Lydii, żeby jak to mówią, zbadać grunt. — Spojrzała na zegarek. — Jest dziewiąta, a to znaczy, że impreza zaczęła się przed godziną.

Thomas uniósł kartki z wiadomościami.

— Zadzwoń do Clary i do kogo tam jeszcze powinienem, a potem przegryziemy coś z Janey w jadalni. Może wpadniesz do nas na drinka, jak skończysz rozmawiać z gośćmi na przyjęciu?

— Po dniu spędzonym w szafie mam ochotę potańczyć — odezwała się Janey.

Na twarzy Thomasa malował się wyraz bólu.

— Jutro wieczorem będziemy

tańczyć na przyjęciu — powiedział. —
Podczas gdy Rzym płonie.

Will siedział na swoim stanowisku i przysłuchiwał się rozmowie.

— Przynajmniej filmowcy spakowali się i wynieśli. Cholera, ale byli wnerwiający. Wzięli owce Nata. Chciałem ich powstrzymać, ale Daphne mówiła, że nie ma sprawy i na pewno je oddadzą.

— Nie ma owiec! — wykrzyknął Thomas. — Chcę je mieć na jutrzejszą uroczystość. Będę musiał zamienić słowo z Daphne.

Will skinął głową.

— Możesz mnie z nią połączyć? — zapytał Thomas.

— Pojechała z nimi.

— Jak tylko wróci, powiedz jej, że ma się do mnie zgłosić.

Will uniósł kciuk na zgodę.

— Przepraszam, Thomasie — odezwała się Regan. — Muszę już lecieć. Zobaczymy się później.

Wróciwszy do apartamentu Nata, Regan pośpiesznie zdjęła spodnie i sweter, w których chodziła cały dzień; z jakiegoś powodu uznała, że nie jest to odpowiedni strój na przyjęcie u Lydii. Odświeżyła się, poprawiła makijaż, później wyjęła z torby czarną spódnicę i skórzany żakiet w tym samym kolorze. Po dwóch minutach była gotowa.

— To nic nie kosztuje — powiedziała do siebie, zamykając drzwi na podwójny zamek, po czym ruszyła na

przeciwny kraniec holu.

Otworzył jej jeden z uczniów Maldwina Fecklesa. Skinął lekko głową, gdy Regan weszła do środka. Na jej powitanie wybiegła Lydia. Ubrana była w powiewną, wydekoltowaną suknię z różowego jedwabiu, która pasowała do wystroju salonu. Kiedy cmoknęła powietrze w okolicach policzka Regan, ta poczuła jej perfumy.

Wspaniale, pomyślała, teraz każda kobieta używająca perfum będzie musiała znaleźć się na mojej liście.

— Jak się pani miewa? — zapytała.

— W głowie się nie mieści, jak bardzo byłam zajęta — odrzekła Lydia, po czym wybuchnęła śmiechem, jakby powiedziała coś niezwykle zabawnego.

Regan się uśmiechnęła.

— Ja też miałam sporo zajęć.

— Proszę do środka. Chcę panią przedstawić gościom. Z około piętnastu osób, które znajdowały się w salonie, Regan widziała większość na filmie Stanleya. Ku jej zaskoczeniu Lydia uderzyła łyżeczką w kieliszek, by zwrócić na siebie uwagę zebranych. Kiedy gwar rozmów ucichł, oznajmiła:

— Witajcie, tak się cieszę, że dzisiaj znowu mogę was gościć. Wczoraj zabawę przerwała nam śmierć mojego drogiego sąsiada. Dowiedzieliśmy się też, że z jego apartamentu zniknęły brylanty. Tak więc, moi drodzy, zebraliśmy się tutaj nie tylko po to, by lepiej wzajemnie się poznać, lecz także

aby pomóc mojej znajomej, która jest detektywem. Oto — Lydia zawiesiła głos, jakby zaraz miała ogłosić nazwisko królowej piękności — Regan Reilly!

Wszystkie oczy zwróciły się na Regan, Lydia zaczęła klaskać.

To tyle w kwestii subtelności, pomyślała Regan, głośno zaś powiedziała:

— Dziękuję, Lydio. Dziękuję też wszystkim za uwagę. Pomoc państwa naprawdę może mi się przydać. Czasami możemy mimowolnie coś zauważyć, choć przypominamy to sobie dopiero wtedy, gdy zaczniemy się nad tym zastanawiać. Dlatego chciałabym zapytać państwa o wczorajszy wieczór. Może przychodząc na przyjęcie,

zauważyliście coś w głównym holu lub w korytarzu na parterze. To mógł być drobiazg pozornie bez znaczenia. Wiem, że prawie cały wieczór spędzaliście tutaj, ale proszę, przypomnijcie sobie okoliczności przyścia i wyjścia. Dziękuję.

Kiedy Regan umilkła, rozległ się gwar przyciszonych rozmów.

— Bawmy się! — zawołała Lydia i włączyła odtwarzacz CD.

Mężczyzna ze źle dopasowanym tupecikiem podbiegł do Regan; w rękę trzymał szklaneczkę z chlupoczącym głośno drinkiem.

— Rozumiem, że coś pan widział. Usiądźmy tutaj — powiedziała Regan, wskazując dwuosobową kanapę.

Zajął miejsce i popatrzył jej głęboko w oczy.

— Wie pani, zwykle wybieram blondynki, ale pani też mi się podoba — oznajmił i łyknął alkoholu.

To gorsze niż koszmar senny, pomyślała Regan.

— No cóż, tylko że ja już spotykam się z kimś.

— To poważna sprawa? — zapytał, wytrzeszczając oczy.

— Dość poważna — zapewniła go Regan, po czym wbrew sobie dodała: — A poza tym mieszkam w Kalifornii.

Mężczyzna dotknął jej dłoni.

— Jeżdżę tam czasem w interesach.

Nieznacznie pokręciła głową.

— Przykro im, ale naprawdę kogoś

mam. Proszę mi teraz powiedzieć, co pan wczoraj zauważył.

— Nic — odrzekł, wstał i ruszył prosto do stołu z jedzeniem.

Jack powinien zobaczyć swojego konkurenta, pomyślała Regan. W tej samej chwili dostrzegła kobietę z torebką ze Snoopym. Spojrzała nieznajomej w oczy, a kobieta wolnym krokiem do niej podeszła.

— Proszę usiąść — odezwała się Regan. — Cóż za niezwykła torebka. — Kobieta była gdzieś pomiędzy czterdziestką a śmiercią. Regan ogarnęło dziwne wrażenie, że twarz tamtej przypomina Snoopy'ego. — Na pewno prowokuje wiele komentarzy. — Pochyliła się i dotknęła nosa

Snoopy'ego. Nim kobieta cofnęła torebkę, Regan udało się spostrzec ukryty pod nim zamek błyskawiczny.

— Proszę nie dotykać Snoopy'ego — powiedziała tamta. — Nie chcę, żeby złapał pani zarazki.

A niech to, pomyślała Regan.

— Wczoraj wieczorem nic nie widziałam, ale bardzo mi smutno z powodu śmierci Nata. Był miłym człowiekiem.

— Znała go pani? — zapytała Regan łagodnie.

— Był na przyjęciu walentynkowym u Lydii. Trochę ze mną rozmawiał i powiedział, że podoba mu się moja torebka. A potem wspomniał, że ma dwie naturalnej wielkości wypchane

owce, które chciałyby mi pokazać. Trochę o nich rozmawialiśmy. Później poszłam do toalety, a jak wróciłam, już go nie było. — Przy ostatnich słowach głos jej zadrżał. — Chyba mnie nie polubił.

— Może był zmęczony — zasugerowała Regan.

— Przyjęcie dobiegało już końca. Przypuszczam, że za długo byłam w łazience.

— Spotkała go pani na innych przyjęciach u Lydii?

— Złapałam grypę. Ty też, prawda? — powiedziała, spoglądając na Snoopy'ego, po czym zwróciła się do Regan: — Wczoraj byłam po raz pierwszy po chorobie.

Świetny byłby z niej świadek, nie ma co, pomyślała młoda kobieta. Mogę sobie wyobrazić, jak przed sądem naradza się ze Snoopym.

— Czy wszyscy ci ludzie byli na przyjęciu walentynkowym?

Mamusia Snoopy'ego rozejrzała się, po czym odrzekła:

— W większości.

— Miłe towarzystwo, prawda? — dociekała Regan.

— Są w porządku, choć niektóre kobiety wprost zlewają się perfumami. Jak chcą złapać faceta, jeśli człowiek koło nich nie może oddychać?

— A które tak mocno się perfumują? — zapytała Regan. Kobieta wskazała drzwi.

— Jedna z nich właśnie wychodzi.

43

Jack Reilly obudził się i spojrzał na zegarek. Za kilka godzin będą w Londynie. W pasażerskiej części samolotu zgaszono większość świateł, ludzie wokół drzemali, a ich głowy kiwały się we wszystkich kierunkach.

Ciekawe, gdzie teraz jest Regan? Jeśli wylądujemy o takiej porze, że w Nowym Jorku nie będzie jeszcze środek nocy, to do niej zadzwonię, postanowił. Z jakiegoś powodu niepokoiło go, że zatrzymała się w tym apartamencie w Klubie Osadników. A on sam jej to ułatwił.

Westchnął i sięgnął pod siedzenie po aktówkę, zawierającą materiały dotyczące sprawy, nad którą pracował wspólnie ze Scotland Yardem. Morderca poszukiwany w Nowym Jorku został zatrzymany w Londynie. Podczas rewizji w jego mieszkaniu znaleziono mapy nowojorskiego metra, fotografie miasta oraz numery telefonów. Przyjaciel Reilly'ego był wysokim funkcjonariuszem Scotland Yardu.

— Musisz do nas przyjechać i przekonać się, czy to coś znaczy — powiedział Jackowi przez telefon Ian Welch.

Jack cieszył się, że może mu pomóc, żałował tylko, że wypadło to akurat teraz. Trudno, pomyślał, w niedzielę

będę z powrotem.

Choć bardzo się starał, nie potrafił odegnać upartej myśli, że Regan nie powinna zostać sama w apartamencie Nata Pemroda.

44

— Przepraszam! — płakała Clara w słuchawkę. — Postaram się to naprawić.

— Ciekawe jak? — warknął Thomas. — Nie wiesz, że jeśli raz dobre imię osoby lub instytucji zostało zszargane, trudno potem je odzyskać?

— A mojej ciotce się udało! — odparła Clara triumfalnie.

— O czym ty mówisz?

Clara usiadła wygodnie w fotelu.

— Dawno temu pracowała jako pokojówka w domu, gdzie też zniknęła biżuteria. Właścicielka, starsza pani, upierała się, że musiała ją wziąć moja ciotka Gladys, więc ją wyrzuciła. A po kilku miesiącach okazało się, że biżuteria jest w domu! Staruszka miała lekkiego bzika i zapominała, gdzie co kładzie!

— To nie to samo — odparł Thomas.

— Ale też było okropne. Ciotka Gladys bardzo wtedy schudła. Dopiero jak odzyskała dobre imię, zaczęła znowu jeść, jakby jutro miało nie nadejść.

— Claro, nie zadzwoniłem do ciebie, aby wysłuchiwać historii o twojej ciotce. Żądam, żebyś z nikim nie

rozmawiała o tym, co się dzieje w klubie. Niewykluczone, że zgłoszą się do ciebie dziennikarze. Bardzo proszę, nic im nie mów. Rozumiesz?

— Tak, Thomasie. Bardzo przepraszam, naprawdę postaram się to wynagrodzić.

— Jak?

— Wiem, że jutro jest przyjęcie. Przyjdę i będę pracowała za darmo!

To dla klubu wielka ulga, pomyślał Thomas ironicznie, wiedział jednak, że pokojówka ma dobre intencje.

— Dobrze, Claro, jestem pewny, że rano twoja pomoc nam się przyda.

— Przyjdę o świcie. — Odłożyła słuchawkę.

— Chodźmy coś zjeść — zwrócił

się Thomas do Janey.

— Lepiej najpierw zadzwoń do innych członków.

Pilsner się skrzywił, ponownie sięgając po telefon.

— To nic nie kosztuje.

45

Georgette uciekła do łazienki, kiedy Regan zaczęła przepytować gości. Wiedziała, że nadeszła nasza zła passa, pomyślała. Sprawy przybierają fatalny obrót.

Westchnęła, spoglądając na swoje odbicie, i wyjęła szczotkę z torebki. Poprawiając fryzurę, zastanawiała się, co zrobić. Kiedy przyszedł czas na

szminkę, wiedziała już, że nie powinna opuszczać mieszkania Lydii, gdyż mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Jutro natomiast to zupełnie inna kwestia. Przeszukają z Blaise'em apartament Nata, a jeśli nie znajdą brylantów, pogodzą się z porażką i opuszczą miasto. Komu potrzebne kłopoty?

Kiedy wyszła z łazienki, Blaise stał koło drzwi, trzymając tacę z drinkami.

— Zachowaj spokój — szepnął. — Niedługo się stąd zmywamy.

Georgette z uśmiechem wzięta kieliszek szampana i wróciła do salonu. Nie będę tęskniła za tymi przyjęciami, pomyślała. Ta konieczność wykręcania się od randek z różnymi nieudacznikami, szukanie pretekstów, żeby nie iść z nimi

do kina. Dajcie mi spokój! Oho, nadchodzi Regan Reilly, udając serdeczność.

— I jak, odkryłaś coś? — zapytała Georgette.

Tamta wzruszyła ramionami.

— Kobieta, z którą rozmawiałam przed chwilą, nawet tu wczoraj nie była.

— Wiem, też z nią rozmawiałam. To przyjaciółka Lydii z New Jersey. Zadzwoniła dzisiaj i powiedziała, że przyjeżdża do miasta, więc została zaproszona. A przy okazji, mam na imię Georgette.

— Miło mi. Czy wczoraj coś zauważyłaś?

Georgette odrzuciła włosy z farbowanymi pasemkami, przestąpiła z

nogi na nogę i zniżając głos, powiedziała:

— Wiesz, Regan, sama nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego w ogóle przychodzę na te przyjęcia. Tamten facet z tupecikiem, który cię zaczepiał, zapytał mnie wczoraj, czy chciałabym pójść z nim na spacer po plaży przy świetle księżyca. — Georgette zachichotała do szklanki. — Albo leżeć przed kominkiem na baranich skórach.

— Baranich skórach? — powtórzyła Regan.

— Możesz w to uwierzyć? Na samą myśl o tym przechodzą mnie dreszcze.

— Na myśl o nim czy o skórach?

— O nim! Nic nie mam przeciwko owcom.

Regan się roześmiała.

— Więc dlaczego przychodzisz na te wieczorki?

Ojej, pomyślała Georgette.

— Wykupiłam pakiet promocyjny i uznałam, że równie dobrze mogę go wykorzystać. Poza tym nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Czasami jednak myślę, że szukanie właściwego faceta to jak próba znalezienia igły w stogu siana.

— A jakiego faceta szukasz?

— Miłego i troskliwego, z poczuciem humoru. To dla mnie naprawdę ważne. W życiu jest tyle problemów, że trzeba czasem się pośmiać, no nie?

— To prawda — zgodziła się

Regan. — Podobają mi się twoje perfumy. Jak się nazywają?

Georgette roześmiała się chytrze.

— „Śmiertelny zastrzyk”. Dał mi je były chłopak.

— A co się z nim stało?

Georgette machnęła ręką.

— Kolejny nieudacznik. Oczekiwał, że nim się zaopiekuję.

Jeden z kamerdynerów przypadkiem wpadł na Georgette.

— Proszę wybaczyć — powiedział, podsuwając im tacę z wątróbkami w bekonie.

— Dziękuję. — Regan wzięła jeden koreczek i zanurzyła w musztardzie. — Są naprawdę dobre.

— Nigdy nie zostają po przyjęciu —

odrzekł i ruszył dalej, gdy Georgette odmówiła poczęstunku.

— Więc wczoraj wieczorem nic nie zwróciło twojej uwagi? — zapytała Regan.

— Nie. Byli ci sami ludzie, co dzisiaj. Facet z kamerą też. Chyba spał w kuchni z kamerdynerami.

Nie ulega wątpliwości, że sporo wczoraj nakręcił, przeszło przez głowę Regan. Przez następną godzinę rozmawiała z gośćmi. Kiedy wspomniała mamusi Snoopy'ego, że jedna z kobiet używających mocnych perfum nie brała udziału we wczorajszym wieczorku, ta tylko wzruszyła ramionami.

— Czasami wszystko mi się płacze.

Regan zauważyła, że perfumy większości kobiet są bardzo mocne, podobnie jak makijaż. W końcu to taniec godowy, każdy chce wyglądać jak najlepiej.

— Dobrze się bawisz? — zapytała Lydia, odciągając ją na bok.

— Chciałabym dostać nazwiska i adresy wszystkich obecnych tu osób — odrzekła cicho Regan. — A także nazwiska tych wczorajszych gości, którzy dzisiaj odmówili przyjścia. Postaram się, żeby sprawdzono ich dyskretnie, nikt o niczym się nie dowie.

— Lepiej żeby to się nie rozeszło. — Lydia zmrużyła powieki. — Ja z tego żyję.

— Nie musisz się o nic martwić —

zapewniła ją Regan. — To dla dobra Klubu Osadników. Potrzebne mi są też nazwiska i adresy kamerdynerów.

Lydia ze świstem wciągnęła powietrze.

— Maldwin nie będzie zachwycony.

— Jeśli on i jego uczniowie nie mają nic do ukrycia, nie muszą się przejmować. To standardowa procedura. Teraz idę zobaczyć się z Thomasem.

— Zrobię listę i wsunę ci pod drzwi — przyrzekła Lydia.

— Im szybciej, tym lepiej — odparła Regan. — Chcę jak najszybciej ze wszystkimi się skontaktować.

W majestatycznej jadalni przy świetle świec Thomas i Janey dochodzili do siebie po ciężkim dniu. Zjedli makaron i sałatę, a teraz kończyli butelkę wina. Przed kolacją Pilsner z ciężkim sercem zadzwonił do kilku członków klubu, zapewniając ich, że przyjęcie oczywiście się odbędzie i wszystko pójdzie dobrze. Przygotował też zimny kompres dla Janey i namówił ją, żeby się położyła. Pożyczyła od niego okulary przeciwsłoneczne, bo oczy miała czerwone i spuchnięte od gazu.

Regan zastała ich przy narożnym stoliku, nad którym wisiał portret założyciela klubu. Pewnie przewraca się

w grobie, pomyślała.

— Udało ci się czegoś dowiedzieć?
— zapytał Thomas, ocierając usta serwetką. W drodze powrotnej z mieszkania Bena analizowali kwestię perfum, które poczuła Janey, a także wzmianki o perfumach w liście Nata i dzienniku Bena.

Regan uśmiechnęła się cierpko.

— Prawie wszystkie obecne na przyjęciu kobiety używały mocnych perfum. I nikt nic nie widział. — Odwróciła się do kelnera, który stanął przy stoliku. — Proszę o kieliszek czerwonego wina.

— Przykro mi, że nie mogłam pójść z tobą — odezwała się Janey. — Ale nie czułam się dobrze, a poza tym fatalnie

wyglądam.

— Nie przejmuj się tym. Zresztą Lydia nie byłaby zadowolona. Nie chce, żeby ktoś odniósł wrażenie, że podejrzewamy kogoś z jej klientów, a twoje pojawienie się tam z oczami spuchniętymi od gazu bez wątplenia zostałoby odebrane jako dziwne.

— Albo pomyśleliby, że desperacko szukam męża.

— To też — zgodziła się Regan.

— A ja nie jestem w desperacji. Mam Thomasa. — Janey wzięła za rękę uszczęśliwionego narzeczonego.

I lepiej go się trzymaj, mała, pomyślała Regan, bo coś mi mówi, że z twojego powodu jutro w prasie będzie aż huczeć od wiadomości o Klubie

Osadników. A nie będą one miłe. Janey i Thomas patrzeli sobie w oczy, Regan zaś napiła się wina, które przyniósł jej kelner. Chyba mogę mówić dalej, uznała.

— Zapytałam każdą z kobiet o nazwę jej perfum. Jutro kupię po flakoniku i zobaczymy, czy któreś rozpoznasz... Oczywiście złodziejka z mieszkania Bena wcale nie musi być tą samą kobietą, z którą widywał się Nat. To mógł być zbieg okoliczności.

— Związek Producentów Perfum pewnie by się ucieszył na wieść, jak wielu ludzi używa ich wyrobów — zauważył Thomas.

— Można by rzec, że cała sytuacja śmierdzi — oznajmiła Janey, po czym

opróżniła kieliszek i zaczęła chichotać.

Ciekawe, ile już wypła? — pomyślała Regan, uśmiechając się do niej. Przypuszczam, że też bym się wstawiła po spędzeniu tylu godzin w zimnej, mrocznej szafie, nie wiedząc, kiedy ktoś mnie uratuje.

— Jutro przychodzi Clara — oznajmił Thomas. — Chce jakoś naprawić szkody wywołane tym fatalnym telefonem do telewizji.

— Muszę z nią porozmawiać — oświadczyła Regan.

— Oczywiście.

Kilka minut gawędzili o drobiazgach, a później podniosła się z krzesła.

— Czas iść spać. Do zobaczenia

rano.

— W jadalni podajemy smaczne śniadanie. Może przyjdiesz?

— Brzmi zachęcająco — odrzekła Regan. Wychodząc z jadalni, spojrzała na zegarek: wpół do dwunastej. Jestem tu już prawie od czternastu godzin, a na znalezienie sprawcy przestępstwa mam tylko dwa dni.

Przestępstwo. Z każdą chwilą była coraz bardziej przekonana, że Nat został zamordowany. Dlatego właśnie koniecznie musi porozmawiać z Clarą; niewykluczone, że pokojówka ma jakieś informacje, z których znaczenia nie zdaje sobie sprawy.

Kiedy wysiadła z windy, w holu wciąż słychać było głosy dochodzące z

apartamentu Lydii. Niedobitki przyjęcia, pomyślała.

Po kwadransie była już w łóżku w pokoju gościnnym. Budzik nastawiła na siódmą. Muszę wstać wcześniej i dokładnie obejrzeć całe mieszkanie, pomyślała. Na pewno są tu jakieś ślady. Zgasiła światło i położyła głowę na poduszce. Nie minęło pięć minut, a Regan smacznie spała.

47

— Akcja! — krzyknął Jacques Harlow do Daphne.

Znajdowali się w jego skromnie umeblowanym, wysokim, pełnym przeciągów mieszkaniu na strychu, w

domu usytuowanym przy opuszczonej uliczce na dolnym Manhattanie. Jacques wcześniej dał znak jednemu ze swoich asystentów, by włączył maszynę do wytwarzania mgły. Daphne siedziała w ciemności na podłodze, rapsodycznym tonem wyliczając radości i smutki spowodowane sprzedażą farmy. Z obu stron miała owce Nata i Wendy.

— Patrzę na wrzosowiska — mówiła niemal szeptem — i moje serce zaczyna śpiewać...

— Stop! — zawołał operator.

— Stop? Co to ma znaczyć? — zaprotestował Jacques. — Szefem jest reżyser! Reżyser woła: „Akcja!” i reżyser woła: „Cięcie!”. Jak mogłeś o tym zapomnieć?

— Zmarnujemy mnóstwo taśmy.
Oczy owiec brzydko blikują.

— Więc odwróćcie je na boki i
pochylcie im głowy! — wrzasnął
zniecierpliwiony Jacques.

Dwóch zmęczonych asystentów
pośpieszyło ku owcom. Kiedy
odwracali Dolly twarzą do Daphne,
jedno oko wypadło i potoczyło się w
ciemność. Gorączkowo zaczęli go
szukać, ale przerwał im kolejny wrzask
Jacques'a:

— Zostawcie! Oczy owiec nic mnie
nie obchodzą. Obchodzi mnie to, co
dzieje się w oczach aktorów.
Odwróćcie wreszcie te owce i gramy
dalej.

Z Bah-Bahem po jednej, a Dolly po

drugiej stronie, Daphne gotowa była zacząć od początku. Owieczki wyglądały teraz tak, jakby umierały z ciekawości, co też zaraz usłyszą.

— Akcja! — krzyknął Jacques.

Przez następne sześć minut Daphne z głębokim uczuciem opisywała owczą farmę swojej bohaterki. Na koniec z łkaniem zniżyła głowę do podłogi, powtarzając słynny gest Scarlett O'Hary z „Przeminęło z wiatrem”.

— Cięcie! — zawołał Jacques drżącym głosem. Otarłszy łzę z kącika oka, podbiegł do Daphne, by ją uściskać. — Byłem głęboko wzruszony — szepnął jej do ucha przy wtórze oklasków ekipy. — Jesteś rewelacyjną aktorką. Chcę, żebyś zagrała główną

rolę w moim następnym filmie.

Z wrażenia zabrakło jej słów. Tak dobrze nie czuła się od lat, jej życie zarówno osobiste, jak i zawodowe od dawna było mniej niż satysfakcjonujące. Teraz jednak, zupełnie nieoczekiwanie, otwierał się przed nią nowy cudowny świat. Ta propozycja na pewno bije na głowę pracę dublerki.

— Och, Jacques — udało jej się wreszcie wykrztusić. Oparła głowę na jego ramieniu.

Pumpkin siedziała w kącie, kipiąc z wściekłości.

— Czy jesteśmy gotowi, aby nakręcić moją końcową scenę?

— Nie! — warknął reżyser. — Daphne jeszcze raz powie swój

monolog. Jej talent mnie inspiruje, chcę wychwycić z tego jak najwięcej.

— Cóż, w takim razie idę zapalić — oznajmiła Pumpkin i okręciła się na pięcie.

Jacques spojrział na Daphne z figlarnym błyskiem w oku.

— Chcesz, żeby Pumpkin była twoją dublerką?

Wybuchnęła śmiechem, a Jacques wrócił na fotel reżysera. Poklepała Dolly i Bah-Baha.

— Możecie sobie wyobrazić, jak zaskoczeni byłiby mamusia i tatuś, gdyby się dowiedzieli, że zostałąście gwiazdami filmowymi?

Regan obudziła się przerażona, słysząc łoskot dochodzący z salonu. Serce biło jej jak szalone. Co to było? Usiadła i wyteńczyła słuch, lecz wokół panowała cisza. Budzik koło łóżka wskazywał jedenaście minut po drugiej.

Zsunęła się z łóżka, złapała szlafrok, wolno podeszła do zamkniętych drzwi i nadstawiała uszu. Gdzieś w mieszkaniu skrzypnęły deski podłogi. O mój Boże, pomyślała, rzeczywiście ktoś tam jest! A potem stłumione szepty uświadomiły jej, że intruz nie przyszedł w pojedynkę.

Co najmniej dwoje ludzi, pomyślała ogarnięta paniką, a ja nie mam nic, czym mogłabym się obronić. I w dodatku zeszłej nocy zamordowano tu człowieka.

Nie mogę stąd wyjść. Kto wie, co zastanę za drzwiami? Sięgnęła, by przekręcić klucz, lecz jej palce natrafiły na gładką powierzchnię. W drzwiach nie było zamka. Boże wielki, muszę sprowadzić pomoc, bo w przeciwnym wypadku skończę jak Nat.

Na palcach wróciła do łóżka; telefon komórkowy ładował się na nocnym stoliku. Złapała go trzęsącymi się dłońmi i wystukała numer policji.

— Jestem w Klubie Osadników w Gramercy Park — szepnęła. — W mieszkaniu ktoś jest, a wczoraj w nocy było tu włamanie.

— Proszę podać adres — poleciła rzeczowo telefonistka, jakby przyjmowała zamówienie na dania na

wynos w miejscowych delikatesach.

— To koło parku w Gramercy Park.
Ulica Dwudziesta Pierwsza.

— Nie zna pani dokładnego adresu?

— Nie. Wczoraj w nocy być może dokonano tu morderstwa... Gdy mówiła ostatnie słowa, drzwi sypialni się otworzyły. Ktoś z sykiem wciągnął powietrze i natychmiast trzasnął drzwiami, a potem rozległ się tupot biegnących stóp.

— Bardzo proszę przysłać patrol do Klubu Osadników — powtórzyła błagalnie Regan, po czym odłożyła telefon i pośpieszyła do holu.

Usłyszała trzask zamykanych tylnych drzwi, więc pędem rzuciła się w stronę kuchni. Teraz już serce miała w gardle.

Gdybym tylko choć przelotnie ich ujrzała, myślała. W kuchni najpierw zapaliła światło, a następnie pchnęła wahadłowe drzwi. W pomieszczeniu nikogo nie było, za to po tylnej klatce schodowej ktoś zbiegał.

Regan wróciła do holu i podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu.

— Słucham — odpowiedział zaspany głos z recepcji.

— Mówi Regan Reilly. Jestem w apartamencie Nata Pemroda. Ktoś się tutaj włamał, ale przepłoszyłam intruzów. Biegną teraz w dół po schodach koło służbowej windy.

— O mój Boże!

— Niech pan coś zrobi! — zawołała Regan.

— Alarm przy tylnych drzwiach niedawno się zepsuł. Musieli się wydostać tamtędy.

— Tylnymi drzwiami? —
powtórzyła z niesmakiem.

— Używane są tylko w razie nagłej potrzeby.

Regan potrząsnęła głową.

— To chyba podpada pod włamanie. Policja powinna tu być za kilka minut.

— Poślę ich na górę.

— Dziękuję.

Odwiesiła słuchawkę i ruszyła przez mieszkanie, zapalając po drodze wszystkie światła. Salon wyglądał tak, jakby przeszło tędy tornado. Musiałam spać jak zabita, pomyślała.

Na podłodze walały się książki i

obrazy, zawartość biurka została wyrzucona na podłogę. Przypuszczam, że następny byłby mój pokój, pomyślała czując zimny dreszcz na plecach. A gdyby nie obudziła się na czas? Miałabym pewnie szczęście, jeśli skończyłoby się na ataku gazem łzawiącym jak w wypadku Janey.

Lepiej od razu powiadomić Thomasa. Regan wróciła do wewnętrznego telefonu.

— Mógłby pan zadzwonić do prezesa?

— Już to zrobiłem i właśnie miałem telefonować do pani. Policja idzie na górę.

Kiedy Regan otworzyła drzwi, Thomas wysiadał z windy. Ubrany był w

płócienny szlafrok i skórzane pantofle, które bez wątpienia sugerowały beztroski tryb życia. Tuż za nim przy akompaniamencie trzasków i szumów z krótkofalówek szli policjanci.

— Regan! — zawołał Thomas i po raz drugi w przeciągu niecałych sześciu godzin objął osobę wplątana w przestępstwo.

— Mogło być o wiele gorzej — zapewniła go. — Chyba nie spodziewali się zastać mnie w pokoju gościnnym.

W tym momencie do rozmowy włączyli się policjanci i podali swoje personalia.

— Byliśmy tu wczoraj wieczorem — oznajmił funkcjonariusz Angelo, po czym zwrócił się do Pilsnera: — Jak

pan się czuje?

— Lepiej, dziękuję — odrzekł Thomas, razem z Regan podążając za policjantami do salonu. — Miło, że pan pyta.

— Uciekli tylnymi drzwiami — wyjaśniła Regan.

— Nie ma śladów włamania? — zapytał Angelo.

— Ja żadnych nie widziałam — oświadczyła.

— Tak samo jak wczoraj.

— Co się stało!?! — krzyczała Lydia, Biegając przez hol z Maldwinem. Oboje mieli na sobie piżamy i szlafroki. Szlafrok Księżniczki Miłości był godny Las Vegas.

— Panna Lydia obudziła mnie, bo

usłyszała w holu jakieś hałasy — wyjaśnił Maldwin niepytany.

— Witaaajcie! — Przyszła kolej na wielkie wejście Daphne. — Właśnie wróciłam z planu i na dole dowiedziałam się, że coś się tu dzieje. — Powiodła wzrokiem po bałaganie w salonie. — Kiedy to się skończy?

A ona nawet nie ma pojęcia, co wydarzyło się u Bena, pomyślała Regan. Ponieważ pytanie Daphne było retoryczne, nikt jej nie odpowiedział, choć Maldwin najwyraźniej odczuwał potrzebę mówienia.

— Może zaparzę dla wszystkich herbaty?

— Ale nie tutaj — uprzedził go jeden z policjantów. — To miejsce

przestępstwa.

— Wcale nie miałem takiego zamiaru — odparł sztywno kamerdyner. — Moja kuchnia i czajniki znajdują się po drugiej stronie holu.

— To wspaniały pomysł — uznała Lydia. — Chcesz, żebym ci pomogła?

— Nie. Jak będziecie po wszystkim, to przyjdźcie.

Na widok Maldwina, który, ubrany w szlafrok, kłaniał się w progu, Regan o mało nie wybuchnęła śmiechem.

— Daphne, przyniosłaś owce? — odezwał się do niej Thomas szorstko.

— Nigdy byś nie zgadł... — zaczęła Daphne.

— Jak przypuszczam, oznacza to odpowiedź przeczącą.

— Moja kariera aktorska nabrała nowego impetu.

— A Bah-Bah to twój nowy agent? — zapytał.

— To mi się nie podoba. Owce też grają w filmie. Jutro kręcimy kilka dodatkowych scen, więc nocują u reżysera.

— Chcę je tu mieć na przyjęcie — oświadczył stanowczo Thomas.

— Na pewno będą.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

— Może pójdziecie do Lydii? — zaproponowała Regan. — Ja zaraz do was przyjdę. Chcę zamienić kilka słów z policjantami.

— Przyda mi się filiżanka herbaty —

oznajmiła Daphne. Po ich wyjściu Angelo zwrócił się do Regan:

— Sprawca włamania sprawia wrażenie dość zdeterminowanego. Moim zdaniem nie powinna pani zostać tu na noc sama.

— Wcale nie mam na to ochoty.

— Co pani zrobi?

— Jestem pewna, że któreś z nich ma wolny pokój — odrzekła Regan, wskazując na drugi koniec holu. Angelo uśmiechnął się do niej.

— Szczęściara z pani.

— Nigdy nie będziemy bogaci — szlochała Georgette, leżąc w ramionach

Blaise'a na nierównym łóżku.

— To wszystko wina tej Regan Reilly — powiedział. — Kto by pomyślał, że ona tam mieszka.

— Nie wspomniała o tym, kiedy rozmawialiśmy.

— No cóż... a tak przy okazji, nie mów tak dużo. Ostatnio zrobiłaś się cokolwiek gadatliwa.

— Podobały jej się moje perfumy.

— Nie używaj ich więcej.

Georgette uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Dlaczego nie?

— A jak myślisz?

— Nie mam pojęcia.

— Słyszałaś kiedyś o psach tropiących sprowadzanych na miejsce

przestępstwa?

— Jasne.

— Mogą podjąć zapach. Pomyśl o Regan Reilly jako o psie tropiącym.

Georgette spuściła głowę.

— Nie będę używać tych perfum, dopóki stąd się nie wyniesiemy. Szkoda, że nie możemy wyjechać dzisiaj.

— Nie możemy. Kiedy usłyszałem, jak Reilly mówi o morderstwie, uświadomiłem sobie, że musimy zostać. Gdybyśmy teraz zniknęli, byłoby to zbyt podejrzane. Wtedy naprawdę zaczęliby nas szukać. A ja nie mam zamiaru odpowiadać za coś, czego nie zrobiłem.

— A ja nie mam zamiaru wracać tam dzisiaj na przyjęcie rocznicowe. W życiu nie dostaniemy tych brylantów,

więc po co?

— Po to, że sprawa dopiero wtedy jest skończona, jak jest skończona. Mam przed sobą jeszcze kilka tygodni zajęć w szkole kamerdynerów. A ty pomyśl o swoim przyjacielu Nacie. Zastanów się, skąd mogą pochodzić te szklane paciorki i co zrobił z brylantami.

— Uwielbiał płać wszystkim figle.

— To rzeczywiście świetny kawał ukryć brylanty warte kilka milionów.

Georgette wpatrzyła się w sufit.

— Ten, kto go zamordował, zapewne wie, co Nat z nimi zrobił.

Blaise pogładził ją po włosach.

— Ale kto to może być?

— Nie mam pojęcia. — W głosie Georgette zabrzmiała irytacja. — Chyba

nie sądzisz, że Nat mnie oszukiwał, co?

50

Kiedy Jack wysiadł z samolotu w Londynie, było kilka minut po siódmej rano. Co oznaczało, że w Nowym Jorku minęła druga. Mam nadzieję, że Regan smacznie śpi, pomyślał. Nie miał bagaży, a formalności wjazdowe nie zabrały mu wiele czasu, szybko więc znalazł się na postoju taksówek, gdzie czekał na niego kierowca.

Czterdzieści minut później był już w recepcji hotelu położonego niedaleko Scotland Yardu.

— Ma pan szczęście — powiedziała recepcjonistka. — Pański pokój jest

gotowy. Dżentelmen, który go zajmował, wyprowadził się wcześniej rano.. Pokojówka już posprzątała.

— Wspaniale — odrzekł Jack.

Wiedział, że doba hotelowa zaczyna się dopiero o trzeciej po południu, ale marzył o prysznicu i chciał jak najszybciej pójść do Scotland Yardu. Był niespokojny, aczkolwiek sam nie wiedział dlaczego. Jeśli dopisze mi szczęście, załatwię wszystko dzisiaj i złapię nocny lot do Nowego Jorku, pomyślał z nadzieją.

Zrezygnował z pomocy portiera, jako że miał tylko torbę na ramię, i wziął klucz do pokoju na czwartym piętrze. Przed otwartymi drzwiami stał wózek pokojówki.

— Dzień dobry! — zawołał, wchodząc do środka.

— Dzień dobry, kochaneczku. — Na oko pięćdziesięciokilkuletnia kobieta wystawiła głowę z łazienki. Wyglądała na osobę pełną radości życia.

— Przepraszam, powiedziano mi, że pokój jest już gotowy.

— Jasne, im zawsze wszystko się płacze, no nie? Kończę za minutkę.

— Dziękuję. Wezmę tylko prysznic i wyruszam do pracy.

— Więc pan też pracuje w sobotę?

Jack uśmiechnął się i położył torbę na łóżku.

— Tak.

— Cóż, z czegoś trzeba żyć — zauważyła filozoficznie pokojówka. —

Dobra, już mnie nie ma. Miłego dnia panu życzę.

— I wzajemnie. — Jack zobaczył na komodzie banknot i kartkę. — Proszę poczekać! — zawołał za znikającą w drzwiach kobietą. — To chyba dla pani.

— Dziękuję, kochany — odrzekła, podchodząc do komody. Sprawdziwszy, że nominał jest niski, oznajmiła sentencjonalnie: — Niewarte zdartych po drodze zelówek. — Mimo to wsunęła banknot do kieszeni i wzięła kartkę: — „Dziękuję za wspaniałą obsługę. To było tak, jakbym miał osobistego kamerdynera”. — Spojrzała na Jacka i przewróciła oczyma. — Może powinnam zostać czyjś kamerdynerem?

Jack się uśmiechnął.

— Wiem, że w Nowym Jorku niedawno otwarto szkołę dla kamerdynerów.

Pokojówka machnęła ręką.

— Tutaj mamy wiele takich szkół. Po prawdzie aż za dużo. I wszystkie ze sobą rywalizują. Ale to nie dla mnie, nigdy długo nie wytrzymałam w takich miejscach. Jak na mój gust, za dużo tam sztywniaków. — Ruszyła ku drzwiom. — Powodzenia, kochaneczku.

— Powodzenia — odrzekł Jack. Otworzył torbę i z przyborami do golenia pośpieszył do łazienki.

— Herbaty, panno Regan? — zapytał Maldwin, wprowadzając ją do salonu, gdzie Daphne, Lydia i Thomas delektowali się drugą już filiżanką. Dochodziło wpół do czwartej nad ranem.

— Dziękuję, Maldwinie — odpowiedziała, siadając na kanapie koło Daphne.

— Co się tam teraz dzieje? — zapytała aktorka.

— Policja już skończyła. Zdjęli odciski palców i zabezpieczyli mieszkanie. Zamknęli frontowe drzwi na specjalną kłódkę. Thomasie, rano musimy wymienić wszystkie zamki.

— Naturalnie. Regan, czy chcesz zatrzymać się na noc w moim

mieszkananiu?

— Och, zaproponowałabym ci gościnę u siebie, ale mam straszny bałagan — wtrąciła Daphne. — Przygotowywanie się do zdjęć jest okropne. Wszędzie walają się rzeczy...

— Musisz zostać u mnie! — nalegała Lydia. — Do kuchni przylega służbówka z amerykanką. To bezpieczne, spokojne miejsce i będziesz sama.

— Chyba przyjmę twoją propozycję — odrzekła Regan. W swoim czasie często sypiała na amerykankach.

— Pokoik jest mały, dlatego nie oddałam go Maldwinowi — wyjaśniła Lydia — ale dla twoich celów wprost idealny.

Wcześniej Thomas wtajemniczył zebranych w szczegóły włamania do Bena. Postępek Janey przedstawił w najlepszym, acz nieco przesłodzonym świetle.

— Nie znosi, kiedy coś się marnuje — zakończył.

— Regan, skoro tyle się tu ostatnio dzieje, może powinniśmy wzmocnić środki bezpieczeństwa — odezwała się Daphne.

— Nie możemy pozwolić, żeby uzbrojeni strażnicy przechadzali się korytarzami klubu — zaprotestowała Lydia. — Przecież to ma być miejsce luksusowe i wyrafinowane.

— Trudno być wyrafinowanym, kiedy jest się martwym — odparła

Daphne.

— Ale nas na to nie stać! — zawołał Thomas. — Jeśli nie zdarzy się cud i nie odzyskamy brylantów albo obsada „Ben Hura” nie zapragnie nagle wstąpić do klubu, to znajdziemy się w bardzo poważnych tarapatach. Może nawet będziemy musieli go zamknąć.

— Moja agencja! — jęknęła Lydia.

— Moja szkoła! — zakrzuszył się Maldwin.

— A co ze mną? — zapytał Thomas. — Dla mnie to więcej niż posada. Marzyłem, że przywrócę klubowi dawną świetność. Że uczynię z niego pulsujące życiem miejsce, w którym kultywuje się sztukę i klasę. Wyobrażałem sobie, że za pięć lat będziemy mieli kolejkę

oczekujących!

— Pięć lat potrwa, nim znajdę sobie porządne mieszkanie w Nowym Jorku! — zauważyła Daphne podniesionym głosem. — Lubię to miejsce i chcę w nim zostać. Klub Osadników był całym moim życiem przez ostatnie dwadzieścia lat...

— Posłuchajcie mnie — przerwała Regan. — Klótnie nie mają żadnego sensu. Wszystkim nam zależy na tym samym. Proponuję, żebyśmy połączyli siły i postarali się, aby jutrzejsze przyjęcie przyniosło wielki sukces. To setna rocznica istnienia klubu. Stanley ma filmować imprezę, prawda?

Lydia skinęła głową.

— Będzie wściekły, że ominęły go

dzisiejsze wypadki.

— Nie chciałbym, żeby takie rzeczy znalazły się w jego reportażu — zauważył Pilsner. — Niech pokaże klub tylko od najlepszej strony.

— Poproszę rodziców, żeby przyszli — zaproponowała Regan. — I żeby przyprowadzili przyjaciół, którzy biorą udział w konferencji kryminologicznej.

— Dobry pomysł — uznał Thomas, szarpiąc zębami chusteczkę.

— Musimy dołożyć starań, żeby wszystko dobrze się udało. Do tego czasu będę współpracowała z policją. Trzeba znaleźć tych, którzy się włamali do apartamentu Nata. Mogą być bardzo niebezpieczni. Zamknijcie więc dobrze drzwi na klucz.

— Co za dzień! — westchnęła Daphne. — Chociaż dla mnie nie taki najgorszy.

Thomas wstał.

— Pamiętaj, że owce mają tu się znaleźć na przyjęcie. Może przyniosą nam szczęście!

52

Clara jęknęła, gdy rozdzwonił się budzik. Sama jestem sobie winna, że muszę wstawać tak wcześnie w sobotę rano, pomyślała. Poniosło mnie z tym telefonem do telewizji, a jeszcze bardziej, kiedy zaproponowałam Thomasowi, że będę pracowała za darmo. Wyłączywszy sygnał, leżała

nieruchomo przez kilka minut. Oj, chciałabym, żeby któryś z tych uczniów Maldwina przyniósł mi teraz kawę. Od razu lepiej by się wstawało.

No cóż, w tym życiu na pewno nie będę miała kamerdynera, pomyślała refleksyjnie, z trudem opuszczając ciepłe posłanie. Mogę tylko mieć nadzieję, że w następnym wcieleniu urodzę się jako Rockefeller. Poszła do kuchni i włączyła ekspres do kawy, a później skierowała się do łazienki. Dobrze było poczuć ciepły strumień wody, spadający na plecy i ręce, które tak wiele godzin dziennie szorowały cudzy brud.

Otulona w szlafrok, wróciła do kuchni i nalała sobie pierwszą filiżankę

kawy, którą zawsze popijała przy ubieraniu się. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że nie będzie miała czasu na drugą filiżankę. Obiecała przecież przyjść wcześniej.

W dwadzieścia minut później wyszła z mieszkania, ubrana w spodnie ze streczu, obszerny sweter i zimowy płaszcz. Strój pokojówki wkładała w klubie.

Jest trzynastego marca, a wydaje się, że od wiosny dzielą nas miesiące, pomyślała, wciągając rękawiczki. Jak zwykle ruszyła pieszo na stację metra. Na ulicach nie było nikogo. Na stacji podeszła do stoiska z prasą. Tchu jej zabrakło, gdy zobaczyła ogromne nagłówki w „New York World”:

SERIA PRZESTĘPSTW W
KLUBIE OSADNIKÓW

DZIEWCZYNA PREZESA
KRADNIE JEDZENIE Z DOMU
ZMARŁEGO CZŁONKA KLUBU

Clara złapała gazetę ze stosu i zaczęła czytać.

— Paniusiu, a co z zapłatą? — zapytał sprzedawca.

Nie odrywając wzroku od gazety, wygrzebała z portmonetki kilka monet i rzuciła na ladę. Jedna odbiła się od regału ze słodyczami, ale Clara nawet tego nie zauważyła.

— Wielkie dzięki, szanowna pani.

— Nie ma za co — odrzekła, kręcąc głową. I oni mieli pretensje z powodu telefonu do telewizji! Clara była prawie

zdecydowana wrócić do domu i ponownie się położyć.

Na peron podjeżdżał pociąg do Gramercy Park. A co tam, okazę wielkoduszność i pomogę biednemu Thomasowi, pomyślała. Całą podróż przez Manhattan kręciła głową, wciąż od nowa czytając artykuł.

53

Służbówka była rzeczywiście przytulna. Do tego stopnia, że drzwi przy otwieraniu odbijały się od amerykanki. Regan jednak to nie przeszkadzało. Kiedy po raz drugi tej nocy położyła się spać, była czwarta nad ranem. Dzisiaj zmieniam łóżka jak rękawiczki,

pomyślała, naciągając kołdrę i odwracając się twarzą do ściany.

Sen nie przyszedł tak szybko jak w pokoju gościnnym Nata. A kiedy już się pojawił, równie szybko zniknął; towarzyszyły mu dziwne obrazy, których potem nie pamiętała. Dopiero kiedy przez okno zaczęło się sączyć światło dnia, zasnęła w końcu mocno.

Dziesięć minut po dziewiątej zadzwonił telefon komórkowy. Regan otworzyła oczy i rozejrzała się, w pierwszej chwili nie poznając otoczenia. Później wspomnienia ostatnich dwudziestu czterech godzin powróciły niczym bumerang. Sięgnęła po telefon leżący na nocnym stoliku. Wyświetlał numer jej rodziców.

— Cześć — odpowiedziała na powitanie głosem, w którym brzmiało zmęczenie.

— Regan, dobrze się czujesz? — zapytała Nora z troską.

— Tak, tylko jeszcze nie całkiem się obudziłam.

— Więc nie widziałaś dzisiejszych gazet?

— Nie, ale teraz można już uznać, że jestem w pełni przytomna. Jest źle?

— Bardzo.

— Na której stronie?

— Na pierwszej. — Nora przeczytała jej nagłówek.

— Thomas będzie miał cudowny dzień.

— Z artykułu wynika, że w Klubie

Osadników rozpętało się istne piekło.

— Bo tak jest — przyznała Regan. Wiedziała, że musi opowiedzieć matce o tym, co zdarzyło się w nocy.

— Co masz na myśli?

— Wczoraj w nocy, kiedy spałam, ktoś włamał się do mieszkania Nata Pemroda.

— O mój Boże, Regan! Nic ci się nie stało?

— Nie. — Regan zreferowała Norze szczegółowo nocne zamieszanie, po czym dodała: — Spałam w służbówce po drugiej stronie holu.

— W mieszkaniu, gdzie odbywają się zajęcia dla kamerdynerów i wieczorki dla samotnych?

— Skąd wiesz?

— Jest o tym w artykule — odrzekła Nora, po czym zrelacjonowała treść rozmowy z córką stojącemu obok Luke'owi.

Regan westchnęła i potarła oczy.

— Nie mogę się już doczekać, żeby go przeczytać. Właściwie to dziwne, że Thomas jeszcze do mnie nie przybiegł. To dopiero będzie, jak ta dziennikarka się dowie o ostatnim incydencie. A tak przy okazji, dawała do zrozumienia, że jest twoją znajomą.

— Obsługuje konferencję, choć, jak przypuszczam, wydarzenia w Klubie Osadników uznała za bardziej interesujące. Posłuchaj tego: „Podczas gdy Nora Regan Reilly prowadzi konferencję dla autorów powieści

kryminalnych, jej córka Regan zajmuje się prawdziwym śledztwem w snobistycznym Gramercy Park. I możecie mi wierzyć, ma pełne ręce roboty”.

Regan usiadła.

— To prawda.

— „Kiedy zapytano starszą panią Reilly — ciągnęła Nora — o to, co robi jej córka, odpowiedziała, że pracuje nad sprawą w Nowym Jorku, odmówiła jednak podania szczegółów...”.

— To tyle jeśli chodzi o potwierdzone informacje.

— Dlaczego piszą o mnie „starsza pani Reilly”? To mi się nie podoba.

— Przynajmniej mnie nie nazwała „młodsza”.

— Ależ nazwała.

— Chyba będzie najlepiej, jeśli sama przeczytam ten artykuł. Mamo, posłuchaj, czy nie mogłabyś zebrać paru przyjaciół z konferencji i wpaść z nimi na dzisiejsze przyjęcie? Staramy się, żeby było interesujące i odwróciło uwagę od tego, co się tu dzieje. Choć po takim szumie w mediach to chyba mało prawdopodobne. Mamy sporo strat do nadrobienia.

— O której zaczyna się przyjęcie?

— O siódmej.

— To doskonale. Nasz koktajl trwa od wpół do szóstej do wpół do siódmej, potem uczestnicy mają wolne aż do końcowej sesji jutro i posiłku w południe. Zobaczę, kto zechce ze mną

pójść. Nie wyłączaj się jeszcze, ojciec chce z tobą rozmawiać.

— Dobrze.

— Cześć, słoneczko — przywitał córkę Luke. — Bądź ostrożna, dobrze? Oboje zachichotali ze starego rodzinnego żartu. Kiedyś Regan poślizgnęła się i upadła w śnieg, a Nora, pochylając się nad córką, powiedziała: „Bądź ostrożna”. „Za późno, mamó”, odrzekła wtedy Regan.

— Wczoraj wspomniałem Austinowi o twoim zleceniu — ciągnął Luke. — Mówił mi, że w zeszłym roku plotkowano o jakiejś dziewczynie z Hoboken, która odziedziczyła pieniądze po zmarłej staruszce z sąsiedztwa i otworzyła agencję matrymonialną.

— Tak? — zapytała Regan, czując, jak budzi się w niej instynkt zawodowy.

— Ta staruszka zostawiła mnóstwo pieniędzy.

— Wiem.

— Okazało się, że po śmierci owej kobiety spadkobierczyni zyskała sobie niezbyt wielu przyjaciół. W czasie imprezy charytatywnej odmówiła datku braciom Connellym, którzy zajmowali się pogrzebem. Opowiadali, że nie miała klasy i bardzo śpieszyła się z wyjazdem z miasta.

— Brak klasy to nie przestępstwo — zauważyła Regan.

— To prawda, lecz zaczęli się zastanawiać, czy ktoś nie wywarł na staruszkę jakiegoś niewłaściwego

wpływu...

A ja jestem w jej mieszkaniu. Czy to możliwe, że Lydia ma jakiś związek z tym, co się tu dzieje?

— Chyba powinnam z nimi porozmawiać. Masz ich numer?

— Tak — odrzekł Luke i podyktował go córce. — Nie wiem, czy to warte zachodu.

— Nic mnie już nie zaskoczy — oświadczyła Regan. — Zobaczymy się wieczorem.

— Bądź ostrożna.

— Będę, tato.

Po skończonej rozmowie narzuciła szlafrok i poszła do kuchni, gdzie Maldwin wyjmował filiżanki z kredensu.

— Przepraszam, że nie przyniosłem pani kawy, ale dzisiaj wszyscy trochę zaspaliśmy. Już jest gotowa.

— To świetnie — odrzekła. — Idę teraz do mieszkania Nata wziąć prysznic. Mam tam wszystkie rzeczy.

— Proszę wziąć kawę ze sobą.

— Dziękuję. Czy Lydia już wstała?

— Nie. Zaraz ją obudzę. O dziesiątej przychodzi pedikurzystka.

Chciałabym, żeby i mnie ktoś wymasował stopy, pomyślała tęsknie Regan.

— Proszę jej ode mnie podziękować. Później z nią porozmawiam.

Maldwin nalał do filiżanki doskonale zaparzoną kawę.

— Mleko i cukier?

— Tylko mleko. Wie pan co, Maldwinie, powinien pan otworzyć szkołę kamerdynerów w Kalifornii.

Fecklesowi wypadł z ręki dzbanuszek z mlekiem.

— Przepraszam — rzucił nerwowo.

— O co chodzi? Nie lubi pan Kalifornii? — zażartowała Regan.

— Za dużo słońca — odparł, nalewając drugą filiżankę i stawiając ją na tacy dla Lydii.

Czym on się tak denerwuje? — zastanawiała się Regan. Otworzyła kłódkę kluczem, który dostała od policji, i weszła do mieszkania, które teraz wydawało jej się zimną otchłanią.

Dolly i Bah-Bah, porzucone gdzieś w kącie strychu Jacques'a Harlowa, sprawiały wrażenie opuszczonych i samotnych. W łóżku, do którego trzeba było wchodzić po drabinie, Jacques chrapał jak drwal. Poprzedniego dnia pracowali do późna i cały sprzęt pozostał na miejscu. Aktorzy oraz ekipa techniczna mieli wrócić o dwunastej.

Przez ogromne brudne okna sączyło się szare światło. Zegar na piecu wskazywał dziewiątą pięćdziesiąt dziewięć.

Powietrze przeciął przeraźliwy dzwonek domofonu, oznaczający, że na dole czeka gość. Minęło jednak kilka

minut, nim fakt ten przebił się do świadomości Jacques'a i wyrwał go ze snu. Wyskoczył z łóżka.

— Co tam? — warknął do słuchawki.

— Dobre wieści, szefie. — To był jeden z jego asystentów, ruchliwy człowieczek o imieniu Stewie, z ambicjami na hollywoodzką sławę.

— Lepiej, żeby były dobre. Obudziłeś mnie.

— Otwórz.

Jacques nacisnął guzik, specjalnie zainstalowany koło łóżka, po czym zszedł po drabinie. Otworzył drzwi, kiedy Stewie wchodził już po schodach z gazetą w jednej i preclami oraz kawą w drugiej ręce.

— Super, super, sam przeczytaj —
nucił pod nosem. Za progiem wręczył
Jacques'owi egzemplarz „New York
World”.

— O czym mam przeczytać?

— O problemach Klubu Osadników.
Jest też artykuł o naszym filmie i scenach
kręconych w klubie.

— O moim filmie.

— Niech ci będzie. — Stewie
położył torby z zakupami na stoliku do
kawy.

Reżyser czytał chwilę, potem rzucił
gazetę w kąt.

— Od kiedy to jesteś producentem?

— Powiedziałem jej, że pracuję
przy produkcji.

Jacques przewrócił oczyma i

podniósł gazetę.

— A, tu jest o mnie: „Nieprzewidywalny i nowatorski reżyser Jacques Harlow pozwala aktorom improwizować na planie całą historię. Jej częścią stały się dwie wypchane owce, będące własnością zmarłego członka klubu, Nata Pemroda; zabrano je z klubu, by wykorzystać w scenach kręconych na następnym planie. Thomas Pilsner, prezes klubu, którego narzeczona wkradła się do mieszkania Bena Carneya, innego zmarłego członka, by wziąć stamtąd jedzenie, zdenerwował się faktem, że owce zabrano bez jego pozwolenia. Być może jego narzeczona chciała przyrzucić barani udziec”.

— Proszę, tu masz kawę.

Jacques napił się i powiedział:

— To dobrze, że wzięliśmy te owce z klubu. W przeciwnym razie pewnie nie wspomniano by o nas w artykule.

— To dobrze, że znalazłem ten klub — odparł Stewie, krążąc po strychu. Kiedy mijał owce, poklepał Bah-Baha po głowie. Nie zauważył, że jedno jego oko wypadło i potoczyło się gdzieś pod kaloryfer. — Szefie, coś mi mówi, że powinniśmy pośpieszyć się ze zdjęciami i pójść na to wieczorne przyjęcie. Mam przeczucie, że sporo tam się będzie działo. Możemy znowu znaleźć się w prasie. — Przerwał na chwilę, po czym zapytał: — Na co tak patrzysz?

— Coś mi mówi, że powinniśmy za

wszelką cenę trzymać się tych owiec.
Zrobimy z nich logo naszej wytwórni.
Nazwiemy ją Dwie Owce.

— Trzeba by je chyba kupić,
prawda?

— Tak myślę.

— A jeśli nie będą chcieli
sprzedać?

Jacques posłał mu ostre spojrzenie.

— Złożymy im propozycję nie do
odrzućenia.

55

W całym mieście ludzie zaczytywali się artykułami o Klubie Osadników. Dawny kochanek Lydii, Burkhard Whittsley, czerpał z tej lektury

szczególną przyjemność, ćwicząc na rowerze w najtańszej, najbardziej cuchnącej sali gimnastycznej w Nowym Jorku. Tylko na tyle mógł sobie obecnie pozwolić. Ponieważ jednak zdecydowany był odzyskać względy Księżniczki Miłości, musiał zachowywać dobrą formę. Nic lepszego od poznania Lydii nie trafiło mu się w całym życiu. Powiniennem był przyzwoicie ją traktować, pomyślał. Trochę przesadziłem.

Choć naturalnie nie wątpił, że został stworzony do życia pośród arystokracji. W końcu był przystojny i obdarzony wdziękiem, dlatego wpadał na wszystkie przyjęcia urządzone przez wyższe sfery w mieście. Zawsze czujnie wypatrywał

większej, lepszej zdobyczy.

Od czasów college'u udawało mu się dostawać na każdą listę gości. Do perfekcji opanował też sztukę wpadania na koktajle urządzone w hotelach, gdzie krążył wśród zebranych ubrany we frak i sprawdzał, czy jest pośród nich ktoś godny zachodu, a potem znikał, kiedy przychodziła pora zajmowania miejsc. Jeśli spotkał kogoś ciekawego, mówił, że musi iść gdzie indziej, ale czy mogliby się zobaczyć w innym terminie? Na razie jednak nic z tego nie wychodziło. Każda majątna kobieta szybko się domyślała, że on na pewno nie ma żadnych środków.

Gdyby Burkhard w prawdziwą pracę wkładał tyle samo wysiłku, ile w

szukanie kogoś, kto weźmie go pod swoje skrzydła, z pewnością znalazłby się na czele najlepiej zarabiających ludzi w Ameryce. Jednakże każde zajęcie, którego z wielkim szumem się podejmował, nieodmiennie kończyło się klapą. Polecane przez niego akcje spadały, zawierane umowy nie dochodziły do skutku. Teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat, zaczynał martwić się o przyszłość. Jego współlokator — którego nazwisko widniało na umowie wynajmu nory z jedną sypialnią i karaluchami — postanowił zamieszkać w komunie w Nowym Meksyku. Za kilka tygodni Burkhard znajdzie się więc na ulicy.

Czytając artykuł, pedałowiał z

zapałem. Ten klub rzeczywiście ma problemy. Dziś wieczorem będzie niezła zabawa, pomyślał. Nie obchodzi mnie, co mówi Lydia, pójdę i spróbuję ją oczarować. Pokażę jej, jakim kapitałem może być moja osoba. Jeśli nie chwyci przynęty, podejść do pierwszego dziennikarza, który się napatoczy.

W najgorszym razie wypisze czek, żeby zamknąć mi usta, uznał, zsiadając z roweru i idąc do łazienki. Widok podobnej do wełny pleśni pokrywającej odpływy pod prysznicami był zniechęcający, Burkhard wyjął więc z szafki dres i ubrał się. Wezmę prysznic w domu, postanowił, a potem przejdę się po Gramercy Park, żeby przygotować się psychicznie na wieczór.

Lydia to jego ostatnia szansa, nim będzie musiał wrócić do rodziców, mieszkających na zabitej dechami wsi, i zarabiać na życie rąbaniem drewna. Nie zamierzał tego robić.

Kiedy opuścił salę i wreszcie wciągnął w płuca świeże powietrze, poczuł się zadowolony. Wieczór zapowiadał się obiecująco. Roześmiał się głośno. Obiecująco dla Burkharda Whittsleya.

56

Regan skończyła się ubierać, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Zaczyna się, pomyślała. To była Clara.

— Thomas powiedział, żebym

przyszła do ciebie — oznajmiła z niepokojem, wchodząc do środka.

— Muszę zaraz się z nim zobaczyć. Nie wiesz, czy czytał już dzisiejszą prasę?

— Jest w rozsypce — odrzekła Clara z emfazą. — A ta jego dziewczyna wypłakuje sobie oczy.

— Naprawdę?

— A ty byś nie płakała? — Pokojówka uniosła ręce. — Przez ten artykuł ludzie myślą, że nasz klub to dom wariatów.

Regan tylko na nią spojrzała.

— Dobrze, przyznaję, telefon do telewizji nie był dobrym pomysłem, ale przynajmniej nie ma o nim wzmianki w gazecie.

— Zawsze jeszcze jest jutro.

— Regan!

— Przepraszam, Claro. Chciałam porozmawiać z tobą o Nacie.

— Biedny staruszek.

— Słyszałaś o tym włamaniu w nocy? — Regan poprowadziła ją do salonu.

— Thomas mi mówił. Ależ tu bałagan! Nat uwielbiał swoje książki, a dziś wszystkie walają się po podłodze.

— Clara potrząsnęła głową. — To straszne. I te owce. Od tak dawna stały w salonie. A teraz są gdzieś daleko na jakimś obłąkanym planie filmowym. Daphne nie miała prawa pozwolić tym świrom, żeby je zabrali.

— Obiecała, że na wieczór oddadzą

owce.

— Mimo to nie miała prawa. To były dzieci Nata i Wendy.

— Jak długo tu pracujesz?

— W przyszłą sobotę będzie dziesięć lat.

— Więc znałaś oboje Pemrodów?

Kobieta skinęła głową.

— Kochana para. Jak na mój gust trochę zwariowani na punkcie owiec, ale to ich sprawa.

— Thomas mówił mi, że Wendy pochodziła z Anglii i wychowała się na wsi, gdzie było mnóstwo owiec.

— Tak, a ja wychowałam się koło schroniska dla psów. Ale nie trzymam w domu stada wypchanych kundli.

Regan nie zamierzała na ten temat

dyskutować.

— Stanowili idealne małżeństwo, prawda?

— Wiesz, jaka była ich ulubiona piosenka? — zapytała Clara. — „Moje oczy są tylko dla ciebie”. Nat ciągle jej to śpiewał. I bez przerwy się śmiali. — Głos jej złagodniał. — Uwielbiał płatać ludziom figle. Bardzo lubił się bawić.

— Claro, czy w ostatnim miesiącu widziałaś jakieś ślady świadczące o tym, że Nat spotykał się z jakąś kobietą?

Na twarzy pokojówki pojawił się wyraz namysłu.

— Wiesz, Regan — zaczęta, wychodząc do holu — rzeczywiście, ze trzy tygodnie temu kupił sobie nowe ubrania, poza tym ostrzygł się i ogolił u

fryzjera. Powiedział mi, że od lat nie chodził się golić. Śmiał się, że fryzjer bardzo się namęczył, wycinając mu włosy z nosa i wyrównując brwi. Kiedy jednak w zeszłym tygodniu gdzieś wychodził i żartem zapytałam go, czy idzie sobie wyciąć włosy z nosa, odrzekł, że już nie musi przejmować się takimi idiotyzmami.

To wtedy pewnie postanowił, że z nią zerwie, pomyślała Regan, głośno zaś zapytała:

— Nic ci o tej kobiecie nie wspomniał?

— Nie! Może było mu głupio, bo przedtem tylko opowiadał o Wendy. Prawie tak, jakby wciąż żyła. Teraz jak o tym myślę, to faktycznie przez kilka

tygodni wcale o niej nie wspominał, a później, w tym ostatnim tygodniu, znowu ciągle mówił: „Wendy to, Wendy tamto”. Moim zdaniem nigdy nie pogodził się z jej śmiercią. — Clara zatrzymała się przed główną sypialnią. — Kiedy umarła, wszystko zostawił po staremu. Wcale się nie dziwię, że nawet jeśli zaczął się z kimś spotykać, szybko z tym skończył. — Weszła do łazienki. — Urządził ją specjalnie dla Wendy. — Nieoczekiwanie machnęła ręką. — No właśnie, Regan!

— O co chodzi?

— Nie ma jej ręczników!

— Ręczników?

— Tak, zawsze były tutaj. — Clara wskazała pusty wieszak na ścianie. —

Wczoraj byłam zbyt wstrząśnięta i nie pomyślałam o tym. Nat nigdy nie używał tych ręczników, chciał jednak, żeby tu wisiały. Od czasu do czasu je prałam, żeby wyglądały świeżo.

— Czy miały aplikację z owcami?
— zapytała Regan.

— Oczywiście.

— Znalazłam jedną aplikację na podłodze koło prysznicza.

— Były bardzo delikatne. Pewnie odpadła.

Więc zniknęły ręczniki, zastanawiała się Regan, a jedna z aplikacji leżała na podłodze koło prysznicza.

— Dlaczego ktoś miałby zabierać ręczniki tej nocy, kiedy umarł Nat? — zapytała na głos.

— I nie zapominajmy, że tamtego wieczoru Nat brał kąpiel, a nie jak zwykle mył się pod prysznicem. Mówił mi, że codziennie wchodzi pod prysznic między dziesiątą a dziesiątą trzydzieści wieczorem. — Clara nie kryła zdziwienia.

— Jeśli jednak wziął prysznic, a ktoś chciałby upozorować wypadek w wannie, wtedy sprawca musiałby osuszyć kabinę, na wypadek gdyby Nata odnaleziono, nim sama wyschnie. Łapie więc ręczniki i starannie wyciera...

— A owca odpada! — wykrzyknęła pokojówka, kończąc zdanie za Regan. — Nata na pewno ktoś zamordował!

— Claro, musisz poszukać tych ręczników. Możliwe, że ukryto je gdzieś

w klubie.

— Morderca tu był, Regan!
Morderca!

— Claro, tego nie wiemy.

— Wiemy, dobrze wiemy. Z jakiego innego powodu miałyby zniknąć te ręczniki?

Dobre pytanie, pomyślała Regan.

— Claro, proszę cię, nie dzwoń...

— Nie będę dzwoniła do tego programu, nie martw się! Przeszukam jednak cały klub i przekonam się, czy znajdę te ręczniki. — Kobieta ścisnęła mocno rękę Regan. — Chcę pomóc w wykryciu mordercy. Mówię ci, Nat bardzo ułatwiał mi pracę. Nienawidził kąpać się w wannie!

W Scotland Yardzie Jack bez powodzenia przeglądał stos papierów, zdjęć i map, które znaleziono w mieszkaniu podejrzanego. Nie znalazł jednak nic, co miałoby dla niego znaczenie.

— Może dasz sobie spokój i pójdziesz do Finnegan's Wake na lunch?
— zaproponował w końcu jego przyjaciel Ian.

Jack spojrział na zegarek: minęła już druga. W takim razie zdąży na samolot o szóstej.

— To brzmi zachęcająco — odpowiedział, w duchu zaś dodał: W drodze na lotnisko zadzwonię do Regan.

— Dlaczego nie chcesz zostać na noc, Jack? — zapytał Ian. — Moglibyśmy nieźle się zabawić.

Jack z uśmiechem pokręcił głową.

— Dzięki, Ianie, ale muszę wracać.

— Coś mi mówi, że nie chodzi tu o sprawy zawodowe — odrzekł przyjaciel z błyskiem w oku.

Jack napił się piwa.

— Niezupełnie sprawy zawodowe, to prawda. — I opowiedział Ianowi o Regan i o jej śledztwie w Klubie Osadników. — To śmieszne, ale w jednym z mieszkań mieści się szkoła kamerdynerów. Wspomniałem o tym pokojówce w hotelu, a ona oświadczyła, że tutaj jest mnóstwo takich szkół i ostro ze sobą konkurują.

Ian wzniósł oczy do nieba.

— Rzeczywiście, trudno to nazwać przyjacielską rywalizacją. Zwłaszcza jednego z właścicieli owych placówek mamy na oku. Nazywa się Thorn Darlington i sprawia nam wiele kłopotów.

— Dlaczego?

— Wydaje mu się, że tylko on jeden w tym kraju, a właściwie na całym świecie, powinien uczyć kamerdynerów, jak się podaje herbatę. Większość innych szkół została zamknięta, zwykle w dość podejrzanych okolicznościach. Szef jednej zginął w wypadku samochodowym. W drugiej wybuchł pożar od palącego się w kuchni tłuszczu. W jeszcze innej wszyscy uczniowie

zatruli się jedzeniem, a kilkoro omal nie umarło. Nie trzeba dodawać, że po tym zdarzeniu nie znaleźli się chętni na kolejny kurs. Tylko w szkole Darlingtona nic nigdy się nie dzieje.

— Myślisz, że maczał palce w tych incydentach?

— Można powiedzieć, że jego nazwisko było wypisane na każdym, ale nie zdołaliśmy niczego mu udowodnić. Słyszeliśmy, że chce otworzyć szkołę dla kamerdynerów w Nowym Jorku.

Jack zmarszczył czoło.

— Szkoła kamerdynerów znajduje się w mieszkaniu naprzeciwko tego, w którym nocuje Regan.

— Chętnie bym poznał szczegóły — odrzekł Ian. — Kto wie, czy Thorn

Darlington o tym nie słyszał?

Jacka ogarnął nagły niepokój.

— Cieszę się, że dzisiaj wracam.

— Gdyby chodziło o moją dziewczynę, też wolałbym wracać.

— Wiesz, to nie znaczy, że Regan nie potrafi o siebie zadbać...

Ian uniósł dłoń.

— Rozumiem, kiedy się kogoś kocha...

— Kocha? Tego nie powiedziałem...

— Nie musiałeś. Teraz zapłacę rachunek i wrócę do biura przeczytać o ostatnich poczynaniach Thorna Darlingtona. Ty idź po swoje rzeczy do hotelu, a za pół godziny przyślę samochód, żeby odwiózł cię na lotnisko. Przekażę kierowcy wszystkie informacje

o Darlingtonie, jakimi dysponujemy.

— Dzięki, Ianie.

— Nie ma za co. Jak przyjedziesz tu następnym razem, przywieź Regan Reilly ze sobą. Chciałbym ją poznać.

— Dobrze — obiecał Reilly. Jego niepokój jeszcze wzrósł i Jack nie mógł się już doczekać, kiedy wróci do domu.

58

Spakowanie torby nie zajęło mu wiele czasu. Wystukał numer Regan na swojej komórce. Odebrała po trzech sygnałach.

— Witaj — powiedział.

— To ty, Jack! — W głosie Regan brzmiała ulga.

— Co się dzieje?

— Od czego zacząć? Zaraz, niech pomyślę. Wczoraj w nocy, kiedy spałam, ktoś wszedł do mieszkania. To znaczy intruzów było chyba dwóch. Uciekli, gdy się zorientowali, że tam jestem.

Jack mocniej ścisnął telefon.

— Od razu miałem złe przeczucia co do tego miejsca.

— I teraz jestem już całkowicie przekonana, że Nata Pemroda zamordowano.

— Wracam do domu — oznajmił.

— Naprawdę? — zapytała Regan z radością.

— Tutaj już skończyłem. Poza tym dowiedziałem się o czymś, co może być

kolejnym źródłem kłopotów w klubie. Facet nazwiskiem Thorn Darlington, który prowadzi najświetniejszą w Anglii szkołę kamerdynerów, zamierza otworzyć filię w Nowym Jorku. Tych, co próbują z nim konkurować, nie traktuje zbyt miło.

— Och, wspaniale. Maldwin będzie zachwycony, kiedy o tym usłyszy.

— Zbierają dla mnie informacje o tym człowieku. A tymczasem bądź ostrożna.

Regan się uśmiechnęła. Nie wyjaśniła mu jeszcze specjalnego znaczenia, jakie miało dla niej to wyrażenie. Będzie musiała z tym poczekać do powrotu Jacka.

— Postaram się. I mam dla ciebie

rewelacje, w które nie będziesz chciał wierzyć. Wczoraj to już był szczyt. Rano Klub Osadników i wszystkie jego zgryzoty trafiły na pierwszą stronę „New York World”.

Jack westchnął.

— Naprawdę się cieszę, że wracam wieczorem do Ameryki.

— Ja też. Dzisiaj mamy przyjęcie rocznicowe w klubie.

— Zarezerwuj dla mnie taniec.

Regan się roześmiała.

— Będzie mnóstwo samotnych od Lydii. Jestem pewna, że kobiety ustawią się w kolejce do ciebie.

Do drzwi zapukała pokojówka i od razu otworzyła je na oścież.

— Cześć, kochaneczku —

powiedziała.

— Wygląda na to, że twój karnet jest już pełny — skomentowała Regan.

— Bardzo śmieszne. Do zobaczenia wieczorem.

Regan z uśmiechem wyłączyła telefon.

— To był twój chłopak? — zapytała Clara.

— Tak — odrzekła Regan, chociaż nigdy nie nazywała tak Jacka.

— Wiesz, miałaś taki sam wyraz twarzy jak Nat, kiedy mówił o Wendy.

Cudownie, pomyślała Regan. Miejmy tylko nadzieję, że wyjdę z tego żywa.

— Może powinniśmy zerwać? —
wykrzyknęła żałośnie Janey, pochylając
głowę nad talerzem płatków.

Thomas złapał ją za rękę.

— Możemy przecież iść do
terapeuty.

— A po co? Dlaczego mielibyśmy
iść do terapeuty?

— Bo ty chcesz ze mną zerwać.

— Wcale nie chcę. Wstyd mi, że
postawiłam cię w kłopotliwej sytuacji.

— Zapomnij o tym! Jakoś to
przetrwamy. A teraz jedz, musisz jeść.

— Thomas zanurzył łyżeczkę w jajku na
miętko. — Potrzebne nam siły, żeby
przeżyć dzisiejszy dzień.

— Gdyby tylko pani Buckland nie

zadzwoiła do mnie wczoraj, to by się nie stało.

— Janey — odrzekł Thomas — życie jest pełne „gdyby tylko”. Gdyby tylko Ben nie umarł, gdyby nie umarł Nat, gdyby tylko dali nam brylanty, zanim umarli...

— Cześć wam. — Przy ich stoliku pojawiła się Regan.

— Regan! — Thomas podniósł głowę. — Siadaj, proszę.

— Tylko na kilka minut — zastrzegła się, zajmując miejsce. Siedzieli przy tym samym stoliku co poprzedniego wieczora, a jadalnia znowu przypominała grobowiec. Dzisiaj wieczorem jednak, pomyślała Regan, będzie się tutaj coś działo. Spojrzała na

portret założyciela klubu; była niemal pewna, że w ciągu nocy na jego twarzy pojawił się wyraz pogardy. I trudno go winić. — Rozmawiałam z Clarą.

— Druga mąciicielka — zauważyła Janey.

— Nie mów tak sama o sobie, kochanie. Clara jest gorsza — pocieszał ją narzeczony. — Roztrąbiła o naszych kłopotach na cały świat. Ty nie mogłaś wiedzieć, kiedy poszłaś do Bena zabrać jedzenie, które...

— Thomasie, doskonale wiem, co zrobiłam!

Regan poczęstowała się rogalikiem i upiła trochę kawy, którą postawił przed nią kelner. Nie miała zamiaru wtrącać się w sprzeczkę zakochanych.

— Wiem, że wiesz — odparł Thomas. — Mówię tylko, że nie miałaś pojęcia, że cała sprawa wylądjuje na pierwszych stronach gazet.

— Zapomnijcie o gazetach — poradziła Regan.

— Czytałaś to? — zapytał Pilsner.

— Nie, mama dzwoniła, żeby mi opowiedzieć.

Janey jęknęła.

— Mam ochotę zabić panią Buckland. — Zaraz jednak na jej twarzy pojawiło się przerażenie. — Też musiała to czytać! Moja firma przestanie istnieć!

— Witaj w klubie! — powiedział Thomas ironicznie.

— Dajcie spokój — wtrąciła Regan.

— Pójdę teraz kupić te perfumy. Będiesz tu później, Janey?

— Tak. Pomagam Thomasowi dmuchać balony na wieczór.

To niezły sposób na pozbycie się napięcia, pomyślała Regan. Jak skończycie, możecie walnąć się nimi wzajemnie w głowę.

— Policja będzie sprawdzała listę gości, którą dała mi Lydia. Jeśli rozpoznasz któreś z kupionych przeze mnie perfum, zyskamy punkt zaczepienia.

Thomas sprawiał wrażenie zmartwionego.

— O co chodzi? — zapytała go Regan.

— Rano Janey kichała. Nos ma całkiem zapchany. Przepuszczalnie

przeziębła się, siedząc tyle godzin w tej zimnej szafie. Janey, po śniadaniu dam ci witaminę C.

— To nie zajmie mi wiele czasu — zapewniła ich Regan. — Mam nadzieję, że nie stracisz powonienia do mojego powrotu.

— Postaram się — odrzekła Janey i twarz jej pojaśniała. — Przypomniał mi się cytat z „Romea i Julii”, który zawsze lubiłam.

— Jaki? — zapytała Regan.

— „Czymże jest nazwa? To, co zowiem różą, pod inną nazwą równie by pachniało”.

— Piękne — mruknęła Regan, a potem pomyślała o perfumach, które szczególnie ją zaintrygowały.

„Śmiertelny zastrzyk”! Nie mogła się już doczekać, żeby zobaczyć, w jakim flakonie to sprzedają!

60

Na posterunku detektyw Ronald Brier powitał Regan jak starą znajomą. Telefonicznie uprzedziła go o swoim przyjsciu. Na biurku przed nim leżał „New York World”.

— Rozumiem, że mieliście ciekawą noc.

— O tak. — Regan wskazała gazetę. — A teraz niech tylko ta dziennikarka dowie się o niezapowiedzianych gościach, którzy nocą złożyli wizytę w mieszkaniu Nata.

— Już wie.

— Tak szybko?

— Przyszła tu rano i dopytywała się o niedawne wypadki w Gramercy Park. Cholera, ale była zszokowana, kiedy przeczytała raport o tym, co się pani przydarzyło.

— Wspaniale, nie ma co! — westchnęła Regan.

— Wiem, ale mam też dobre nowiny. W laboratorium pracują już nad odciskami palców, które wczoraj zdjęliśmy w mieszkaniach Bena Carneya i Nata Pemroda. To sprawa priorytetowa.

— A co z pudełkiem po brylantach? Policjant potrząsnął głową.

— Też nad tym pracują, ale wygląda

na to, że odciski są zamazane.

Regan wyjęła kilka kartek z torebki.

— Oto nazwiska ludzi, którzy byli na przyjęciu dla samotnych, a także uczniów szkoły dla kamerdynerów oraz lokatorów zajmujących apartamenty w klubie, w tym Lydii Sevatury, właścicielki agencji matrymonialnej. Krążyły na jej temat pewne plotki, kiedy niespodziewanie odziedziczyła spadek po sąsiadce w Hoboken. Miałam nadzieję, że będzie pan mógł to sprawdzić.

Brier wziął od Regan notatki.

— Nie ma tu jej numeru polisy ubezpieczeniowej ani daty urodzenia, więc to trochę potrwa. Skoro jednak wynajmuje apartament w Klubie

Osadników, może uda nam się tam coś wygrzebać.

— Teraz jest jeszcze jeden powód, poza włamaniami, by sprawdzić tych ludzi — wyjaśniła Regan. — Zaczynam sądzić, że Nat Pemrod został zamordowany.

Brier spojrział na nią uważnie.

— Wiem, że tamtego wieczoru nikt tak nie myślał, ale sporo faktów wzbudza podejrzenia. Najpierw giną brylanty, własność Nata i Bena. Później ktoś włamuje się do ich mieszkań. A od pokojówki wiem, że Nat nigdy nie kąpał się w wannie i że zniknęły ręczniki z aplikacją, których nie używał, ponieważ należały do jego zmarłej żony i nie chciał ich niszczyć.

— Zginęły ręczniki? — zapytał Brier.

— Pokojówka twierdzi, że Nat co wieczór brał prysznic. Może zabójca wykorzystał te ręczniki do wytarcia kabiny, bo gdyby staruszka znaleziono w wannie krótko po śmierci, ktoś mógłby się zainteresować, dlaczego prysznic jest mokry.

— Za późno, żeby wysłać tam techników — westchnął Brier.

— Wiem. Sprawdźmy, czego dowiemy się dzięki tej liście. A tymczasem ja zajmę się innymi sprawami.

Georgette była niespokojna. Blaise poszedł na zajęcia do szkoły kamerdynerów, więc mogła tylko obgryzać paznokcie aż do wieczora, kiedy miała udać się na przyjęcie. Nie dysponowała ani gotówką, żeby pójść na zakupy, ani energią, by zapolować w kawiarniach.

Życie jest ponure.

Włączyła telewizor i zaczęła sprzątać. Gdybyśmy tylko zdobyli te brylanty, pomyślała. Na blacie leżały cztery kryształły, które znalazła w czerwonym pudełku Nata. Już miała wyrzucić je do śmieci, gdy jakiś impuls

kazał jej wziąć błyskotki do ręki.

Usiadła na łóżku, zacisnęła dłoń na kryształach i zaczęła inkantację. Sama ją sobie wymyśliła. Bywała czasem u jasnowidzów i żywiła umiarkowane zainteresowanie dla objawień. Przyszło jej wszakże do głowy, że dzięki tej inkantacji może spłynie na nią olśnienie i dowie się, gdzie teraz są brylanty.

— Ummmmm — mruzczała z zamkniętymi oczyma. — Ummm.

Nic, żadnego błysku.

Otworzyła oczy i utkwiała je w kryształach. Nic. Jeszcze mocniej zacisnęła powieki i głośniej zaśpiewała:

— Ummmmm.

„Ummm” zmieniło się w „aj”, kiedy uderzyła głową w ścianę. Rozcierając

obolałe miejsce, wzięła pluszowego misia, który był z nią na dobre i na złe — ostatnio głównie na złe — i mocno przytuliła.

— Jaskierku, co my teraz poczniemy?

Z uśmiechem przypomniała sobie, jak powiedziała Natowi, żeby tak ją nazywał. To był naprawdę miły staruszek. O wiele miłszy od tego na Florydzie, który zrobił się nieprzyjemny i wezwał gliny, gdy przyłapał ją, jak zabierała biżuterię. Musiała pędem stamtąd zwiewać. Nat był słodki. Samo to, jak kochał te owce, świadczyło, że miał dobrą duszę.

Georgette spojrzała na misia.

— On miał Dolly i Bah-Baha, a ja

mam ciebie.

Miś patrzył na nią. Był tak stary, że nie miał jednego oka.

— Moje biedactwo. — Georgette bez namysłu wzięła jeden z okrągłych kryształów i wsunęła w oczodół ulubieńca. Pasowało! — Tak jest o wiele lepiej. Teraz poszukam kleju. — Już chciała wstać, gdy w głowie mignął jej pewien obraz. Krzyknęła znowu, tym razem jednak nie była to inkantacja.

— Dolly i Bah-Bah! — wołała, wpatrując się w kryształy na dłoni. — To oczy Dolly i Bah-Baha! I tam teraz są brylanty! — Uderzyła dłonią o łóżko, myśląc o ulubionej piosence Nata „Moje oczy są tylko dla ciebie”.

— Cały Nat! — Pobiegnęła po telefon

komórkowy i zadzwoniła do Blaise'a. Odpowiedziała jej poczta głosowa. — Chyba uczy się, jak właściwie wykręcać żarówkę! — syknęła. Po skończonej zapowiedzi wręcz warknęła do słuchawki: — Wiem, gdzie są brylanty! Zadzwon do mnie, póki nie jest za późno!

62

Na lotnisku Kennedy'ego Thorn Darlington był zmęczony i poirytowany. Archibald posłał po niego kierowcę, który już czekał, trzymając w ręku tablicę z prostym napisem: „Kuzyn Thorn”.

Ależ ten Archibald zabawny,

pomyślał z sarkazmem przybysz.
Podszedł do kierowcy, który zapytał:

— Kuzyn Thorn?

— Dla niektórych. Chodźmy po mój bagaż.

W piętnaście minut później siedział na tylnym siedzeniu długiej limuzyny, która wiozła go na Manhattan.

— Kierowco — odezwał się — proszę o odrobinę prywatności.

Mężczyzna skinął głową i nacisnął guzik. Kiedy między nimi wyrosła szklana ściana, Thorn wyjął telefon komórkowy i wystukał numer. Jak zwykle zgłosiła się poczta głosowa.

— Mam nadzieję, że na wieczór wszystko jest gotowe — powiedział. — Będę naprzeciwno, u kuzyna Archibalda.

Jego kompleks wyższości jest irytujący. Sądzi, że przyjechałem świętować klęskę Klubu Osadników, którą on spowodował. Nie ma pojęcia o moich własnych planach względem siedziby Szkoły Kamerdynerów Maldwina Fecklesa! Oddzwoń!

Wyłączył telefon i zachichotał.

To po prostu doskonałe, pomyślał. Moja rodzina zawsze była sprytniejsza od rodziny kuzyna Archiego.

63

Na żółtych kartkach książki telefonicznej Regan znalazła drogerię o nazwie „Zmysłowe zapachy”, mieszczącą się przy przecznicy

niedaleko hotelu, w którym trwała konferencja kryminologiczna. „Mamy każdą markę, jaka tylko przyjdzie ci do głowy — głosiła reklama. — Przyjdź i powąchaj”.

— Już idę — oznajmiła Regan, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Przed klubem złapała taksówkę i po chwili stała już przed niewielkim sklepikiem, którego witryna pełna była flakonów z perfumami. Kiedy otworzyła drzwi, rozległy się dzwonki.

Za długą ladą stała kobieta koło sześćdziesiątki, z platynowymi włosami uczesanyymi na kształt hełmu. Nawet z odległości kilku metrów łatwo było zauważyć, że miała oczy podkreślone

najgrubszą i najczarniejszą kreską, jaką Regan w życiu widziała. Ubrana była w kostium naśladowający skórę lamparta, a jej paznokcie miały koło czterech centymetrów długości. Musiała dostać tę robotę, gdy „Koty” zeszły z afisza, pomyślała Regan.

Nic dziwnego, że powietrze w maleńkim pomieszczeniu pełne było aromatów, walczących ze sobą o palmę pierwszeństwa.

— Dzień dobry, ko-ochana — zwróciła się sprzedawczyni do Regan. — Jak mogę pani pomóc?

Identyfikator na piersi głosił, że na imię ma Sissy.

— Dzień dobry. — Regan trzymała listę w dłoni. — Chciałabym kupić

siedem buteleczek perfum.

— Doskonale, ko-ochana. Jedna na każdy dzień tygodnia.

— Racja — odrzekła Regan, myśląc, że nie da się ustalić pochodzenia akcentu Sissy. — Pierwszy to „Wody oceanu”.

— Piękny, doskonale nadaje się na wycieczki w plener. — Sissy cofnęła się i zdjęła z półki flakonik. — To na niedzielę. A co na poniedziałek?

— „Ekspres namiętności”.

— Najlepszy. Może nawet się okazać, że na poniedziałek to za wiele! — roześmiała się, stawiając buteleczkę na ladzie. — Następny.

— „Krople rosy”.

Sissy się skrzywiła.

— Jest pani pewna? Taka młoda i

ładna dziewczyna? To staroświecki zapach.

— Jestem pewna — odrzekła Regan. To byty perfumy kobiety od Snoopy'ego. Nic dziwnego, że inne jej się nie podobały.

— Dobrze.

W ciągu minuty na ladzie stały już perfumy na prawie każdy tydzień tygodnia.

— Co za zróżnicowanie — zauważyła sprzedawczyni. — Ale to dobrze. Dzięki temu mężczyzna nie popada w zubożenie.

Gdyby Jack mógł to zobaczyć! Regan uśmiechnęła się, wyobrażając sobie jego reakcję.

— Ostatni to „Śmiertelny zastrzyk”.

Sissy mimo grubego makijażu zdołała otworzyć szeroko oczy i zachichotała.

— Niegrzeczna z pani dziewczynka.

Dobry Boże, pomyślała Regan.

— Ma pani chłopaka? — zapytała tamta, sięgając po flakonik.

Regan miała wrażenie, że rozmawiając z tą kobietą o Jacku, popełnia świętokradztwo. Skinęła tylko głową.

— Będzie mu się podobało — szepnęła konspiracyjnie sprzedawczyni. — To bardzo silny zapach. Mnóstwo mężczyzn kupuje go dla swoich wybranek.

Regan uniosła buteleczkę i przyjrzała się jej. Była w kształcie

grubej czarnej strzykawki.

Sissy odkręciła zakrętkę.

— Żeby rozpylić, trzeba nacisnąć jak przy robieniu zastrzyku.

— Urocze — mruknęła Regan. — Ciekawe, co to za geniusz wymyślił.

— Nie mam pojęcia, to nowa marka — odrzekła Sissy.

— Nowa marka? — powtórzyła Regan.

— Pojawiła się w tym roku na walentynki... Stało się coś?

Regan pokręciła głową, myśląc o tamtej kobiecie, Georgette, która mówiła jej, że dostała perfumy od chłopaka. Jeśli to było tak niedawno, to po co chodzi na przyjęcia do Lydii?

— Nie, nic — odrzekła. — Ile

płace?

Kobieta wystukała ceny.

— Czterysta dwanaście dolarów i trzydzieści siedem centów razem z podatkiem — oznajmiła radośnie, odrywając paragon.

Mam szczerą nadzieję, że znajdziemy te brylanty, pomyślała Regan, podając kartę kredytową, bo w przeciwnym razie mogę na zawsze pożegnać się z tymi pieniędzmi. Podpisała rachunek i schowała kartę do portfela.

— Dziękuję, ko-ochana — powiedziała Sissy; wrzuciła do torebki wizytówkę sklepu, podała Regan zakupy i mrugnęła. — Proszę wrócić i powiedzieć mi, który dzień tygodnia

najbardziej się podobał pani chłopakowi.

— Dziękuję — odrzekła Regan z całą uprzejmością, na jaką było ją stać, po czym pośpiesznie opuściła sklep.

64

W swoim mieszkaniu przerobionym ze stacji benzynowej Stanley przeżywał naprawdę ekscytujący poranek. Na stole walał się „New York World”, taśmy z przyjęć u Lydii leżały na kanapie. Od Maldwina, który do niego zadzwonił, Stock dowiedział się o nocnym włamaniu do apartamentu Nata.

— Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć — oznajmił kamerdyner. —

Mimo to mam nadzieję, że skoncentrujesz się na mojej szkole i przyjęciach Lydii w swoim programie. To dla nas bardzo wiele znaczy.

— Tak zrobię — zapewnił go Stanley.

Teraz jego taśmy mogą okazać się wprost bezcenne! Jestem taki wdzięczny, pomyślał, spłynęło na mnie prawdziwe błogosławieństwo. Znajdował się na miejscu z kamerą, gdy w klubie doszło do tych wszystkich afer. To szczęśliwy traf, przełom, jaki nigdy w życiu się nie przydarzył wielu dziennikarzom. A on będzie wieczorem na przyjęciu rocznicowym, żeby znowu filmować historię.

Dobrze zrobił Maldwin, że wysłał

mu ulotkę o szkole kamerdynerów. Teraz Stanley zamierzał przejrzeć wywiady, które przeprowadził poprzedniego wieczora z czworgiem uczestników zajęć.

Wsunął kasetę do odtwarzacza i nacisnął „play”. Pierwszy był ten okropny Vinnie. Stanley za skarby świata nie potrafił wyobrazić sobie człowieka, który zdecydowałby się zatrudnić tego faceta jako kamerdynera. Nikomu nie okazywał szacunku i najwyraźniej za grosz nie zależało mu na życiu z klasą. Ja bym nie przyjął go do pracy nawet na stacji benzynowej, a co dopiero mówić o posiadłości ziemskiej.

Następny przed kamerą pojawił się przystojny Blaise. Wyglądał jak

gwiazdor opery mydlanej. Bez wątpienia odznaczał się tym chłodnym dystansem, stanowiącym nieodłączną cechę wszystkich kamerdynerów z Hollywoodu. Czy on udaje?

— Chciałbym bez reszty się temu poświęcić — mówił Blaise do kamery. — I wiem, że praca kamerdynera może trwać dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Nie mogę się już doczekać.

Co za oszust, pomyślał Stanley.

Teraz przyszła kolej na Harriet, uśmiechającą się świętoszkowato.

— Ojej — zaczęła — zawsze marzyłam, żeby zostać kamerdynerem, choć nigdy nie sądziłam, że to będzie możliwe. Dzięki Bogu żyjemy w

czasach, kiedy kobiety w końcu przyjmowane są do szkół dla kamerdynerów. Moim zdaniem posiadają naturalny instynkt zajmowania się domem, a ja zamierzam wykorzystać go dla dobra mojego pracodawcy. Bardzo, bardzo dziękuję.

Czy ktoś mógłby znieść tę słodycz Polyanny na co dzień? — pomyślał Stanley. Przecież zęby od tego bolą.

Jako ostatni wystąpił Albert, który jakoś nie potrafił usunąć z twarzy głupkowatego wyrazu.

— Lubię wykwinne rzeczy, a wiem, że nigdy nie będzie mnie na nie stać. Więc pomyślałem, czemu nie zostać kamerdynerem? Wtedy znajdę się w otoczeniu piękna, w dodatku będę o nie

dbał. Wcześniej pracowałem w wypożyczalni wideo, ale kiedy do oferty włączyli filmy pornograficzne, powiedziałem sobie: „Dość tego! To zbyt odrażające!”. Następnego dnia zapisałem się do szkoły Maldwina, a reszta to historia.

Niezbyt inspirująca grupka, zauważył w myślach Stock. Ale dzięki odpowiedniej muzyce w tle i porządnemu montażowi zrobi Maldwinowi dobrą reklamę. A facet na to zasługuje.

Poprzedniego dnia ekipa filmowa wprowadziła zbyt wielki zamęt, w parku wszędzie stały ciężarówki, a Stanleyowi zależało na spokojnych ujęciach. Teraz za to pora była idealna. Pilsner

zapropował mu, żeby przyszedł wcześniej i nakręcił przygotowania do przyjęcia. Będzie mógł się przebrać u Thomasa.

Stanley spakował kasety i kamerę. Ciemny garnitur wisiał wyprasowany i gotowy do włożenia. Zapowiadał się ekscytujący dzień.

Kto wie, w jakim kierunku potoczy się program?

65

Thomas i Janey byli w jego gabinecie, otoczeni tuzinami unoszących się w powietrzu balonów. Po sensacyjnym artykule w porannej gazecie przedstawiciele telewizji i

agencji prasowej ciągle dzwonili, prosząc o komentarz. Niektórzy chcieli przyjść na przyjęcie, lecz Pilsner wszystkim odmówił. Doskonale się orientował, jakie mają zamiary.

Przedstawić Klub Osadników w najgorszym świetle.

Postanowił, że wpuści jedynie Stanleya. Jeśli klub czeka druzgocąca klęska, to przynajmniej należy przyjąć ją z godnością. Ludzie z programu o prawdziwych przestępstwach okazali nie lada tupet, dzwoniąc do klubu i prosząc Clare. Thomas jednak zdusił takie próby w zarodku.

— Wszystkie telefony do Clary muszą przechodzić przeze mnie — poinstruował recepcję.

— A od jej siostry?

— Zwłaszcza od niej! Ta kobieta żywi się gadulstwem — odparł Thomas.

— Dobra, szefie. Na drugiej linii mamy prawniczkę pana Pemroda. Chce pan z nią rozmawiać?

— Naturalnie! Proszę ją przełączyć.

Katla McGlynn była już w kancelarii, za sobą mając wczesną partię golfa. Mieszkała i pracowała w Westchester; Nata poznała, gdy ponad dwadzieścia lat temu kupiła od niego naszyjnik. Wkrótce potem zaczęła prowadzić sprawy jubilera. Skończywszy pięćdziesiąt lat, dorobiła się niewielkiej praktyki, która zaspokajała zróżnicowane potrzeby klientów.

— Halo! — niemal wrzasnął do słuchawki Thomas.

— Czy pan Pilsner?

— Przy telefonie.

— Nazywam się Katla McGlynn i jestem prawnikiem Nata Pemroda. Przed chwilą przeczytałam o jego śmierci i zaginionych brylantach. Bardzo mi przykro z jego powodu, był dobrym człowiekiem.

— To prawda — zgodził się Thomas, stukając nogą o podłogę.

— Chciałam pana poinformować, że dzisiaj pocztą otrzymałam datowany w czwartek list od Nata i Bena Carneya, w którym deklarują zamiar przekazania brylantów klubowi.

Pilsner omal nie zemdlał.

— Tak?

— Tak. Na wypadek gdyby brylanty się odnalazły, powinien pan mieć kopię tego oświadczenia.

— Czy przedtem słyszała pani o brylantach?

— Nie, Nat nigdy o nich nie wspominał, jedynie żartował na temat owiec. Powiedział, że po jego śmierci mają być wystawione w głównym salonie klubu. Są tam?

— To długa historia — wykręcał się Thomas.

— Mam czas. Mianował mnie wykonawczynią testamentu i zamierzam dopilnować, by wszystkie jego życzenia zostały spełnione.

— Wczoraj mieliśmy tu ekipę

filmową...

— Czytałam o tym.

— No cóż, wykorzystali owce w filmie, a potem zabrali je na następny plan, nie pytając mnie o pozwolenie. Dziś otrzymamy je z powrotem.

— Mam nadzieję. Wszystkie życzenia człowieka, który przekazał klubowi tak szczodry datek, powinny zostać spełnione, i to niezależnie od okoliczności.

— Całkowicie się z panią zgadzam — oznajmił Pilsner z naciskiem.

— W poniedziałek zajmę się wszystkim. — Katla podała mu swój numer. — Proszę do mnie zadzwonić, jeśli wcześniej coś będzie panu potrzebne.

— Dobrze.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, telefon znowu zadzwonił.

— To Daphne. Jest na planie filmowym.

— Połącz ją.

— Thomas, tu Daphne.

— Natychmiast przynieś owce!

— Mam wspaniałe wiadomości!

Chcą kupić owce dla wytwórni!

— Nie!

— Proszę!

— Nie!!

— Gotowi są zapłacić sporą kwotę.

— Nie życzę sobie nawet wiedzieć, ile. Przed chwilą dzwoniła do mnie prawniczka Nata. Chciała się upewnić, że Dolly i Bah-Bah znajdują się w

miejscu, które wybrał dla nich Nat. A tym miejscem jest frontowy salon w Klubie Osadników.

— Ale Natowi na pewno ten pomysł by się spodobał. Odkąd umarła Wendy, zawsze byłam dla niego dobra. Żadne z nas nie skorzysta, jeśli klub trzeba będzie zamknąć.

— Nie ma mowy. Już prawie się zdecydowałam, żeby przyjechać na plan i osobiście je odebrać. Gdzie jesteś?

Odpowiedział mu szczęk odkładanej słuchawki.

W hotelu Paisley dobiegała końca poranna sesja. Kyle Fleming, agent FBI

z Florydy, poprzedniego dnia wygłosił niezwykle pouczający, a jednocześnie zabawny wykład o oszustach, i tak się spodobał, że poproszono go, by zastąpił mówcę, który w ostatniej chwili odwołał swój przyjazd. Fleminga zawsze fascynowali oszuści.

— Wielcy hochsztaplerzy czy drobni kanciarze, tym ludziom zależy na waszych pieniądzach — mówił. — Gotowi są na wszystko, żeby położyć na nich łapę. Nie interesują mnie włamywacze ani kieszonkowcy. Każdy może wejść przez okno i ogołocić czyjeś mieszkanie albo w tłumie na lotnisku ukraść torebkę, kiedy właścicielka na moment się odwróci. Oszuści zaś najpierw zdobywają zaufanie ofiary i

dopiero potem ograbiają ją doszczętnie. A to naprawdę boli. Wielu z nich nigdy nie spotyka kara, ponieważ ludzie zbyt są zażenowani, by zgłaszać tego rodzaju przestępstwa. Oszuści są różni, wielu z nich to mistrzowie charakteryzacji, dlatego tak trudno ich wyśledzić. Długo krążą, a potem dopadają ofiary i znikają. Niełatwo ich złapać. Oto niektórzy z moich ulubieńców... — Przygotował slajdy przedstawiające parę osób i opowiadał o dokonaniach każdej z nich. — Ten spryciarz poślubił kilka kobiet, które wzajemnie nie miały o sobie pojęcia. Zabrał im oszczędności i złamał serca. Może nie wygląda jak Romeo, ale najwyraźniej coś w sobie ma... Ta para działa w wielkich miastach i udaje ludzi

sukcesu, urządzając szumne przyjęcia, a później namawia swoich co bardziej naiwnych gości, na których robi wrażenie owo rzekome bogactwo, do inwestowania w podejrzane interesy...

Słuchacze zadawali tak wiele pytań, że Flemingowi nie udało się pokazać wszystkich slajdów. Następne w kolejności było zdjęcie Georgette Hughes, ale agent spojrział na zegarek i oznajmił:

— Teraz chciałem wam opowiedzieć o oszustce, która na zawołanie perfekcyjnie zmienia swój wygląd, ponieważ jednak moim zdaniem zasługuje na co najmniej dziesięć minut, a nasz czas się skończył, więc na tym poprzestaniemy.

Po widowni przeszedł jęk zawodu.

Nora podniosła się z miejsca.

— Chyba mogę śmiało zapewnić, że wszyscy bardzo byśmy chcieli, żeby Kyle mówił dalej. Mam nadzieję, że w przyszłym roku także weźmie udział w naszej konferencji.

Rozległy się entuzjastyczne oklaski, a pisarka podeszła i uścisnęła Flemingowi dłoń.

— Masz wolny wieczór? — zapytała. — Zaprosiłam kilka osób stąd na przyjęcie do Klubu Osadników wydawane z okazji setnej rocznicy jego istnienia. Później wybierzemy się na kolację.

— Dziękuję, Noro — odrzekł Kyle — postaram się wpaść, ale mam już

plany na wieczór.

67

Regan zawahała się, mijając hotel Paisley. Bardzo by chciała wejść i przywitać się z matką oraz znajomymi. Miała okazję spotkać się z nimi jedynie na koktajlu otwierającym konferencję, a wydawało się, że od tamtego wieczoru upłynęły tygodnie.

Lepiej nie marnować czasu, pomyślała, naprawdę powinnam wracać. Zatrzymała taksówkę i po kwadransie była już w klubie.

— Panno Reilly — powitał ją strażnik. — Clara pani szuka.

Serce Regan zabiło mocniej.

— Gdzie ona jest?

— W salonie.

Regan wbiegła na schody. Clara stała przy kominku, polerując pogrzebaczę i szufelki, które służyły wyłącznie ku ozdobie. Odkąd cały klub wypełnił się dymem z powodu niesprawnego przewodu kominowego, prawdziwy ogień zastąpiono elektrycznym paleniskiem.

Na widok Regan otworzyła szeroko oczy i upuściła szufłę. Metaliczny dźwięk słychać było chyba na drugim końcu parku.

— Regan!

— Dobrze się czujesz?

— Muszę porozmawiać z tobą na osobności — szepnęła pokojówka.

Poszły do apartamentu Nata, nikogo po drodze nie spotykając. Clara zamknęła za sobą drzwi i pobięła prosto do kuchni.

— Zobacz, co znalazłam! — wykrzyknęła.

Na podłodze leżał czarny worek na śmieci. Clara otworzyła go szarpnięciem i wyjęła wilgotny ręcznik.

— Ręczniki Wendy! — jęknęła, wyciągając drugi. — Co za szkoda. Zaśmierdły całe od tego worka.

— Gdzie je znalazłaś? — zapytała Regan szybko.

— W pojemniku na śmieci z tyłu budynku.

— Przecież mówiłaś, że pojemnik opróżniany jest w piątki.

— Bo jest! Ktoś musiał je tam wrzucić już po odjeździe śmieciarki!

— Czyli wczoraj późnym wieczorem albo dzisiaj wczesnym rankiem.

— Aha — kiwnęła głową pokojówka, a potem, jakby kierowana automatycznym pilotem, powtórzyła: — Co za szkoda. Nic z nich nie będzie, cuchną i brakuje kilku aplikacji z owieczkami, a bez nich to już nie te same ręczniki. A worek na śmieci musiał być wzięty od Nata. W czwartek powiedziałam, żeby kupił nowe, bo został tylko jeden. Popatrz! — Otworzyła szalkę i triumfalnie wyjęła puste pudełko z obrazkiem kosza na śmieci na pokrywce. — Nie ma ani jednego!

— Claro, ty przeszukiwałaś pojemnik? — zapytała Regan z niedowierzaniem.

Kobieta jakby się trochę zawstydziła.

— Taka byłam dzisiaj rozgorączkowana, że w czasie przerwy pobiegłam na tylny dziedziniec, żeby zapalić. Rzuciałam papierosy co najmniej dziesięć razy! Tak czy owak, jeden z kelnerów wyszedł ze śmieciami, a kiedy wrzucił je do pojemnika, zobaczyłam, że przez rozdarcie w worku widać różowy kolor.

— Więc sprawdziłaś, co to?

— Powiedziałaś, żebym była dyskretna, więc poczekałam, aż kelner wróci do budynku. Kiedy się

przekonałam, że to ręczniki Wendy, pobiegnęłam po torbę na pranie, schowałam do niej worek i zaniiosłam na górę.

— Claro, zadziwiasz mnie.

— Dziękuję, Regan, ale wiesz co...

— Tak, Claro?

— Trochę się boję.

Obie wpatrywały się w wilgotne różowe ręczniki, które Wendy tak lubiła. Nie ulegało już wątpliwości, że użyte zostały do zatarcia śladów po zamordowaniu Nata.

Po skończonej rozmowie telefonicznej Daphne bała się

powiedzieć Jacques'owi, że Thomas w żadnym razie nie sprzeda owiec. Bądź dobrą aktorką, przykazała sobie. Tylko to się liczy.

Ruszyła w stronę reżyserskiego fotela, w którym siedział Jacques. Cygarniczka zwisała mu z ust, czarny beret zdobił głowę.

— I co?

Daphne roześmiała się beztrósco.

— Okazuje się, Jacques, że owce mają niezwykle ważne znaczenie dla klubu.

— Co rozumiesz przez „ważne znaczenie”?

— To, że są istotną częścią jego historii i Thomas nie zamierza się ich pozbywać.

Reżyser wyjął cygarniczkę.

— Chcesz dostawać główne role w moich filmach?

— Naturalnie, że chcę. To dla mnie zaszczyt pracować z tobą, Jacques.

— Te owce są magiczne. — Wskazał Dolly i Bah-Baha. — Nie wiem, na czym to polega, ale mają w sobie coś szczególnego. I ja je chcę! Chcę, chcę, chcę zatrzymać te owce! A tylko ty możesz to załatwić, więc zrób to! Zaproponuj im pięćdziesiąt tysięcy dolarów. — Odwrócił się i machnął ręką. — Weź czek od tego, jak on się tam nazywa, i idź. Postaraj się, żeby go przyjęli!

Chwilę później Daphne była już na ulicy, śpiesząc do klubu, jakby od tego

zależało jej życie.

69

— Teraz możecie zrobić sobie przerwę na lunch — oznajmił Maldwin swoim słuchaczom.

— Dziękuję! — zawołała Harriet radośnie. — Czy mam komuś przynieść kanapkę ze sklepu?

— Nie — odparł Albert.

— Nie — zawtórował mu Vinnie.

— Właściwie nie jestem głodny — oświadczył Blaise z całą uprzejmością, na jaką było go stać. Miał ochotę skręcić Harriet kark. Była jak ten uczeń w szkole, który zawsze przypomina nauczycielowi o zadaniu klasie pracy

domowej.

— Dobrze. — Zmarszczyła swój nosek jak u mopsa. — Wrócę za kilka minut i jeśli coś trzeba będzie zrobić, zajmę się tym.

— Weź sobie wolne na całą godzinę — powiedział Maldwin z naciskiem. Zrób mi tę przysługę, dodał w duchu. Nam wszystkim.

— Chodźmy na piwo — szepnął Vinnie do Alberta. — Zapowiada się długi dzień.

— Doskonały pomysł.

Blaise podszedł do Fecklesa i zapytał:

— Czy mógłbym dostać klucz do parku? Chciałbym odetchnąć świeżym powietrzem.

— Jest zimno — prychnął Maldwin.

— Mam czapkę. — Blaise się uśmiechnął.

Maldwin wzruszył ramionami.

— Czemu nie? — Poszedł do kuchni po klucz, który otrzymywali tylko mieszkańcy Gramercy Park. Zamek zmieniano co roku i musieli płacić za nowy klucz. W taki chłodny dzień jak dzisiaj na pewno nikogo tam nie będzie, więc nikt też nie przyjdzie z pretensjami, że po parku kręci się obcy. — Miłego spaceru — dodał.

Blaise poszedł prosto do parku i otworzył bramę. Zaczynała go ogarniać klaustrofobia, jak zawsze gdy nad głową gromadziły mu się czarne chmury. Było zimno i deszczowo, ale czuł, że musi

wyść z domu. Chcę wrócić na Florydę, pomyślał, wyciągając z kieszeni wełnianą czapkę, która służyła mu w czasie wypraw na narty. Rozejrzał się i szybko wcisnął ją na głowę. W parku poza nim nikogo nie było.

Usiadł na pierwszej napotkanej ławce i znowu sięgnął do kieszeni, tym razem po telefon. Włączywszy go, przekonał się, że ma wiadomość. Pewnie Georgette z nowymi pretensjami, pomyślał. Kiedy jednak odsłuchał, co miała mu do powiedzenia, skoczył na równe nogi. Gorączkowo krążąc po ścieżce, wystukał jej numer.

— Gdzie one są?! — krzyknął, gdy odebrała.

— W oczodołach owiec!

— O czym ty gadasz?

— No, siedziałam sobie z Jaskierkiem, bo trochę było mi smutno i żal siebie, a potem zastanowiłam się i...

— Do rzeczy!

— Rzecz w tym, że brylanty są w tych wypchanych owcach, które Nat trzymał w salonie. Miały oczy z kryształów, a on musiał je zamienić.

— To wariat!

— Mnie tego nie musisz mówić.

— Zaraz, zaraz. Gdzie dokładnie są te owce?

— Koło okna w salonie.

— Tam ich nie ma.

— Ależ są.

— Nie ma ich, mój Jaskierku — powtórzył Blaise drwiąco. — Wczoraj

w nocy na pewno ich tam nie było.

— W takim razie, gdzie są?

— A skąd niby mam to wiedzieć?

Georgette zaczęła płakać.

— Czuję się jak ta dziewczynka z wierszyka, której zginęły owieczki.

Blaise usiadł na powrót na ławce.

— Tak, tylko że jej owce nie były warte miliony.

Po tej uwadze Georgette rozszlochała się rozpaczliwie.

— Posłuchaj — odezwał się uspokajająco — wrócę teraz do klubu i postaram się dowiedzieć, gdzie są owce. — Nie mógł pozwolić, by Georgette się załamała. — Otrzyj teraz oczy i zacznij się stroić na wieczór. Coś mi mówi, że z tego przyjęcia wyjdziemy

jako milionerzy. Nie zapomnij włożyć rewolweru do torebki.

— Dobrze — odrzekła Georgette, nieco zdenerwowana. — Chyba faktycznie może nam się przydać.

— Tak, jeśli ktoś spróbuje nas powstrzymać. — Blaise wyłączył telefon i uniósł oczy do nieba. — Mała dziewczynka z owieczkami — powiedział głośno.

Nie miał pojęcia, że filmuje go Stanley, który przed chwilą podszedł do bramy.

Jack poczuł ulgę, kiedy samolot wystartował. Czas wracać, powiedział

sobie w myślach, najwyższy czas. Niepokoił go Thorn Darlington. Tuż przed odlotem Jack dowiedział się, że tamten również jest w drodze do Nowego Jorku i zamierza zatrzymać się u krewnych w Gramercy Park. Za blisko, żeby spokojnie o tym myśleć. Raz jeszcze zadzwonił do Regan i przekazał jej wiadomość.

Teraz przyjął od stewardesy drinka i usiadł wygodnie, bębniąc palcami o stół. Po chwili sięgnął po torbę i wyjął z niej notatnik i pióro. Chciał przygotować listę spraw do załatwienia.

Nie potrafił się jednak skupić. Instykt mówił mu, że kłopoty Klubu Osadników jeszcze się nie skończyły.

Modlił się w duchu, żeby samolot

leciał szybciej.

71

Archibald, Vernella i kuzyn Thorn jedli lunch w jadalni przy rozkładanym stole pod oknem, kiedy zauważyli, jak Blaise wyszedł z klubu i skierował się w stronę parku. Ponieważ Endersowie znali nazwiska i twarze wszystkich posiadaczy klucza do bramy, nie kryli oburzenia.

— Sam widzisz! — powiedział Archibald do Thorna, który częstował się drugim kawałkiem ciasta. — Ci z Klubu Osadników pozwalają każdemu wchodzić do parku! I popatrz, jak ten człowiek w idiotycznej pomarańczowej

czapce wymachuje rękoma! Chyba postradał zmysły. Natychmiast tam idę!

— Bardzo dobre — oblizał się Thorn.

— Będziemy na ciebie patrzeć, kochanie — oznajmiła Vernella, najwyraźniej doskonale się bawiąc.

Archibald włożył płaszcz i kapelusz, po czym złapał laskę i ruszył do drzwi. Wyglądał jak dżentelmen udający się na ranną przechadzkę.

— Jak w teatrze — skomentowała Vernella, nie spuszczając wzroku z męża. Żądał wyjaśnień od mężczyzny w czapce, który miał tupet wpuścić do parku człowieka z kamerą wideo.

Cztery minuty później Enders wrócił do salonu.

— Mam dobre wieści, kuzynie. To żałosne indywiduum to jeden z uczniów Maldwina!

— Jeden z uczniów Maldwina! — powtórzył Thorn. — Dobitnie świadczy o poziomie jego szkoły, nie ma co! Trudno uznać Fecklesa za poważnego konkurenta!

— Trzeba to uczcić szklaneczką sherry! — zawołała Vernella.

— Nie wiem, czy nie za wcześnie na radość — odrzekł Thorn z niepokojem. — Może upłynąć jakiś czas, nim otworzymy tam naszą szkołę dla kamerdynerów. Lepiej nie zapeszać.

— Uwierz mi, kuzynie, śmiało możemy się już cieszyć — oznajmił Archibald. — Cała owa negatywna

reklama skutecznie zniechęci ludzi do wstępowania do klubu. Nim na drzewach pojawią się pączki, będę właścicielem budynku.

Vernella pośpieszyła do kredensu po trzy kieliszki, Archibald otworzył ulubione sherry i uroczyście je rozlał.

— Proponuję toast.

— Słuchamy, złotko — ponagliła go Vernella.

— Za koniec żałosnego okresu w dziejach Gramercy Park i upadek Klubu Osadników. Niechaj nastąpi jak najszybciej!

Stuknęli się kieliszkami.

Lepiej w to uwierzcie, pomyślał Thorn. Nie wiecie nawet, jak szybko to się stanie. Spojrzał na budynek po

drugiej stronie ulicy i wyobraził sobie wozy na sygnalach pędzące wieczorem do Klubu Osadników.

Nie mógł się już tego doczekać.

72

Na biurku Thomasa Regan ustawiła w rzędzie siedem flakoników z perfumami. Janey siedziała z zamkniętymi oczyma, odwrócona do niej plecami. Regan zależało na tym, by Janey skoncentrowała się wyłącznie na zapachach, nie biorąc pod uwagę nazw perfum ani kształtów butelek.

— Gotowa?

— Gotowa.

Thomas w kącie obgryzał paznokcie.

Zwyczaju tego nabrał od poprzedniego dnia.

Regan wzięła „Krople rosy” i rozpyliła na kartkę papieru. Równie dobrze możemy zacząć łagodnie, pomyślała. Mało prawdopodobne, by przestępczyni lubiła taki zapach, ale nigdy nie wiadomo. Podsunęła kartkę pod nos Janey.

— Jaki piękny — westchnęła Janey.
— Mogłabym go dostać, kiedy skończymy?

— Pewnie, czemu nie? Domyślam się jednak, że nie tego szukamy..

— Nie. — Janey wyprostowała się i łagodnie wytarta nos chusteczką.

Regan na kolejną kartkę rozpyliła „Wody oceanu”.

— Zdecydowanie nie.

Regan od początku obawiała się próby ze „Śmiertelnym zastrzykiem”, ponieważ na dnie serca była przekonana, że to najbardziej prawdopodobny zapach i nie chciała usłyszeć odpowiedzi odmownej. W końcu Georgette okłamała ją, że ma chłopaka. Wzięła flakonik i rozpyliła perfumy. Ledwo podsunęła papier pod nozdrza Janey, gdy ta krzyknęła:

— To ten! To są jej perfumy!

Thomas zerwał się z fotela i oboje padli sobie w objęcia, jak poprzedniego dnia, gdy Janey została uwolniona z szafy.

— Wiedziałem, że ci się uda! — zawołał. — Taki jestem z ciebie dumny.

Regan spojrzała na pozostałe cztery flakoniki. Ciekawe, czy w sklepie przyjmą je z powrotem? Chyba nie, pomyślała cierpko. Przecież są odpakowane.

Gdy Thomas i Janey odsunęli się wreszcie od siebie, odchrząknęła i oznajmiła:

— Idę teraz na górę porozmawiać z Lydią.

A potem zadzwonię do Ronalda Briera, pomyślała. Dowiem się, czy ma coś na Georgette.

— Muszę z wami porozmawiać — oznajmiła Regan Maldwinowi, gdy ten

otworzył jej drzwi. — Na osobności.

— Panna Lydia odpoczywa przed przyjęciem.

— To bardzo ważne. — Jej ton jasno dawał do zrozumienia, że nie chodzi o żadne drobiazgi.

— Dobrze — powiedział Feckles, prowadząc gościa do salonu. — Zaraz wracam.

Regan usiadła, popatrując na nowe meble. Wszystko to znalazło się tutaj, ponieważ Lydia odziedziczyła pieniądze starej sąsiadki. Muszę zadzwonić do właścicieli zakładu pogrzebowego, o których mówił mi tata, pomyślała.

Po kilku minutach do pokoju weszła Lydia; sprawiała wrażenie spiętej. Maldwin kroczył tuż za nią.

— Cześć, Regan.

— Czujesz się dobrze, Lydio?

— Martwię się dzisiejszym wieczorem, to wszystko. Ten cały rozgłos na pewno nam nie pomoże. — Nie wspomniała, że niedawno znowu zadzwonił do niej Burkhard i powiedział, żeby zarezerwowała dla niego taniec. W jego głosie było tyle złośliwości, że przeszedł ją dreszcz. — Zależy mi, żeby przyjęcie się udało.

— Jak nam wszystkim — odparła Regan krótko.

Maldwin się zaniepokoił. Niepotrzebne mu były żadne nieporozumienia.

— Poleciałem moim uczniom na nowo poukładać rzeczy w szafkach

kuchennych — wtrącił — więc
będziemy sami.

— Dziękuję. A teraz przejdźmy do
rzeczy. Maldwinie, czy znasz niejakiego
Thorna Darlingtona?

Feckles zbladł.

— Tak.

— Mój przyjaciel był w Londynie.
Dowiedział się, że Thorn leci do
Nowego Jorku. Nie mam pojęcia, po co.

— Przypuszczalnie po to, żeby mnie
zniszczyć — odrzekł kamerdyner. — To
zły człowiek.

— Zatrzyma się gdzieś w Gramercy
Park.

Maldwin głośno przełknął ślinę.

— A jakie dobre wieści masz dla
mnie, Regan? — zapytała Lydia z

niepokojem.

— Chciałam cię zapytać, co wiesz o kobiecie imieniem Georgette, która przychodzi na twoje przyjęcia?

Lydia pochyliła się i podparła głowę dłońmi.

— Tylko mi nie mów, że nie jest osobą samotną z klasą.

— Wydaje się nieco arogancka — odezwał się Maldwin, zadowolony, że rozmowa zeszła na problemy innych ludzi.

— Co masz na myśli? — zapytała Regan.

— Podczas przyjęć wpada do kuchni, zabiera kilka wątróbek w bekonie, a po pięciu minutach wychodzi.

Regan zacisnęła szczękę. W koszu na

śmieci Nata znalazła wątróbki.

— Przychodziła na każde przyjęcie — zaprotestowała Lydia. — Nawet na krótko.

A potem znikwała po drugiej stronie holu, pomyślała Regan. Coraz bardziej wygląda na naszego Jaskiereczka.

— Lydio, nie masz jej adresu, prawda?

— Nie podała mi. Cenię prywatność moich klientów, więc jej nie ponaglałam.

— Wiesz, czy dzisiaj wieczorem tu będzie? — zapytała Regan.

— Powiedziała, że tak.

W holu stał Blaise i podsłuchiwał. Och, przyjdzie, pomyślał, przyjdzie, ale jako ktoś inny.

Za rogiem ukrył się jeszcze ktoś, aby podsłuchiwać. Niech tylko Thorn się o tym dowie, pomyślał.

74

— To wykluczone! — oznajmił Thomas stanowczo. — Daphne, wieczorem musisz przywieźć tu owce!

Aktorka stała w progu jego gabinetu. Teraz weszła do środka, strąciła z krzesła kilka balonów i usiadła.

— Thomasie, błagam! Mam czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

— Nie mogę go przyjąć. Nat zacząłby straszyć w tym domu.

— Ale to tak wiele znaczy dla mnie i mojej kariery! A klubowi potrzebne są

pieniądze! Nat tyle jest mi winien!

— Daphne, odpowiedź brzmi: nie! Te owce były tu od lat, to ich dom. Wendy i Nat tego pragnęli. Jeśli klub zostanie zamknięty, wytwórnia może je kupić. Na razie jednak ich miejsce jest tutaj!

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, Thomasie!

— Te pieniądze ani klubu nie uratują, ani nie zrujnują. A teraz chcę, żebyś przywiozła owce do domu. Mają tu być na przyjęcie, które rozpoczyna się o siódmej!

Daphne wybiegła, pod powiekami czując gorące łzy. W holu o mało nie zwała z nóg Blaise'a.

— Przepraszam — wymamrotała,

nie zatrzymując się nawet.

— Blaise! — zawołał Thomas.

— Słucham, pana. — W progu gabinetu pojawił się Blaise.

— Dzwonili nasi stuknięci sąsiedzi z pretensjami, że Maldwin dał ci klucz do parku. Przykro mi, ale to zabronione.

Tamten uśmiechnął się wesoło.

— Przyrzekam, że to już nigdy się nie powtórzy.

75

Chociaż Thomas zapewniał, że doskonale ją rozumie, Janey było niedobrze na wspomnienie tego, co zrobiła. Przypuszczam, że w gruncie rzeczy nic aż tak złego się nie stało,

ludzie popełniają gorsze przestępstwa, pomyślała. Dzisiaj jednak wyobrażała sobie, że cały świat musi o niej mówić — o kobiecie, która nie jest lepsza od hieny cmentarnej.

Przyjrzała się własnemu odbiciu w lustrze w damskiej toalecie na parterze. Muszę odkupić swoją winę, postanowiła. Tylko jak? Teraz powinna jechać do domu po torty, ciasta i ciasteczka, które przygotowała na przyjęcie. Choć dotąd pewnie wszystko już wyszło albo się zepsuło, pomyślała z poczuciem winy. Przesunęła grzebieniem po włosach, wzięła płaszcz i torebkę i otworzyła drzwi w samą porę, by zobaczyć pędzącą korytarzem Daphne.

— Daphne, kiedy przywieziesz owce z powrotem? — zapytał strażnik.

— Jak będę gotowa! — odkrzyknęła. Janey zamarła, odprowadzając wzrokiem biegnącą postać.

Strażnik pokręcił głową i spojrzał na Janey.

— Lepiej niech je zwróci dzisiaj. Thomasowi naprawdę zależy, żeby stały tu podczas przyjęcia.

Przez szybki we frontowych drzwiach Janey dostrzegła, jak Daphne wsiada do taksówki. To moja szansa na odkupienie, pomyślała i wybiegła. Przy sąsiednim budynku stała jeszcze taksówka, z której właśnie wysiadł poprzedni pasażer. Janey rzuciła się na tylne siedzenie i wrzasnęła:

Wróciwszy do apartamentu Nata, Regan, zadowolona z chwili spokoju, usiadła na kanapie i zapaliła lampę. Była dopiero trzecia, ale w pokoju panował szary półmrok. W taki dzień w takim pokoju człowiek miałby ochotę zwinąć się pod kocem z dobrą książką w rękę i herbatą na stoliku. I może nawet się zdrzemnąć. Ale nie po ostatniej nocy. Regan zadrzała. Albo przedostatniej. Nie miała ochoty zamykać oczu w tym miejscu. Postanowiła, że nie będzie nawet mrugała.

Clara poukładała wszystkie książki

na półkach. Miejsce koło okna, gdzie wcześniej stały owce, teraz było puste. Thomas mówił, że Nat i Wendy często żartobliwie nazywali Dolly i Bah-Baha swoimi dziećmi. Nie ulegało wątpliwości, że tutaj zajmowały honorowe miejsce, myślała Regan, w pokoju, w którym „Kolory” zazwyczaj grały w karty.

Nat i Ben opowiadali Thomasowi, że podczas gry wyjmowali brylanty z sejfów i bawili się nimi. Wyjaśniali to tak: „Jaka jest frajda z posiadania cennych kamieni przez tak długi czas, skoro człowiek nie mógłby w żaden sposób się nimi cieszyć?”. Co robili, że było to takie zabawne? — zastanawiała się Regan.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer detektywa Ronalda Briera. Kiedy odebrał, opowiedziała mu o ręcznikach i perfumach.

— Więc kto używa tych perfum? — zapytał.

— Georgette Hughes.

— Nie ma pani jej adresu, prawda?

— Nie.

— I oczywiście żaden samotny nie podał daty urodzenia.

— Naturalnie.

Brier sprawdził listę.

— Nic na nią nie mamy. Łatwo było sprawdzić pracowników klubu, ponieważ mieliśmy numery ubezpieczeń i daty urodzenia. W przypadku całej reszty to o wiele trudniejsze.

— Dobrze. Georgette będzie dzisiaj na przyjęciu. Zobaczymy, czego uda mi się dowiedzieć.

— W poniedziałek wraca pani do Kalifornii, tak?

— Tak. I obawiam się, że jednak nie pomogę w rozwiązaniu tej sprawy. To dość przygnębiające.

— My będziemy nadal szukać — zapewnił ją Brier. — Sprawdzanie odcisków palców zawsze trwa dłużej, poza tym zajmiemy się tropami z tych list.

— Ciekawa jestem... — zaczęła Regan.

— Tak?

— Czy dowiedział się pan czegoś o Lydii, właścicielce agencji

matrymonialnej?

Brier zastukał piórem o biurko.

— Niewiele. Zadzwońłem do domu pogrzebowego. Jestem pewna, że orientuje się pani, jak to jest, pani ojciec też pracuje w tym biznesie. Kiedy ktoś umiera, zawsze jest mnóstwo plotek. Wygląda na to, że Lydia mieszkała dokładnie naprzeciw tej staruszki, pani Cerencioni. Przynosiła jej jedzenie, załatwiała sprawy i tak dalej. Żartowała, że powinny znaleźć sobie bogatych mężów. Policjant, którego wezwano po śmierci pani Cerencioni, powiedział, że Lydia była szczerze przejęta. To sąsiedzi z kamienicy zaczęli opowiadać różne rzeczy. — Brier roześmiał się. — Myślę, że zazdrościli,

że to nie im staruszka zostawiła pieniądze.

— I to wszystko?

— Nie wiadomo, może owa dobroć nie była bezinteresowna. Tylko że nikt się nie orientował, ile pieniędzy ma starsza pani. Kto wie? Niewykluczone, że Lydia jakimś sposobem dowiedziała się o majątku i postanowiła zdobyć garnek złota na drugim końcu tęczy, jak to mówią. Pani Cerencioni nie miała krewnych.

Chyba nie muszę już dzwonić do braci Connollych, pomyślała Regan.

— A tak przy okazji, czy wie pan, jak umarła pani Cerencioni? — zapytała.

— Upadła w wannie.

Wspaniale, po prostu cudownie,

pomyślała Regan.

77

Janey ogarnęło poczucie siły. Sama przywiezę te owce do klubu, pomyślała. Nic więcej nie trzeba. Z tylnego siedzenia kilka razy instruowała kierowcę, żeby zmieniał pas ruchu.

— Dobrze, dobrze! — krzyknął w odpowiedzi, strzelając palcami w rytm muzyki płynącej z radia.

Na podmiejskiej uliczce, która sprawiała wrażenie, jakby wymagała poważnego remontu, taksówka Janey zahamowała tuż za taksówką Daphne. Janey rzuciła kierowcy kilka banknotów i wyskoczyła. Zdążyła złapać drzwi,

przez które wbiegła tamta, nim się zatrzasnęły. Daphne pędziła schodami na pierwsze piętro.

Szybko biegnie, pomyślała Janey, ale ja też tak potrafię. Dogoniła ją na podeście.

— Daphne!

Ścigana okręciła się na pięcie i spojrzała na nią płonącym wzrokiem.

— Czego chcesz, mała złodziejko jedzenia?

— Zignoruję tę uwagę — oświadczyła Janey uprzejmie. — Wiesz dobrze, po co tu jestem. Najwyższy czas zabrać Dolly i Bah-Baha do domu.

— Bez nich moja kariera będzie zrujnowana! — zawołała Daphne.

— Cóż, jak przypuszczam, obecnie

moja kariera też nie wygląda dobrze — odrzekła Janey. — Wszyscy w Nowym Jorku wiedzą, że jeśli umrą, nim zjedzą przygotowane przeze mnie potrawy, ja po nie wrócę. Jak twoim zdaniem się czuję?

— To twoja wina, nie chciało ci się przygotować jedzenia — warknęła Daphne.

— I znowu nadstawię ci drugi policzek, ale zabiorę owce.

Daphne zadzwoniła do drzwi, które zaraz otworzył asystent. Pumpkin, sama na środku planu, przeciągała się i chrząkała, przygotowując się do następnej sceny. Janey dostrzegła, że Dolly i Bah-Bah ustawione zostały pod mocnymi lampami. Wyglądały tak, jakby

je uczesano, wyszczotkowano i natapirowano im sierść.

— Wróciłaś! — zawołał Jacques na widok Daphne. — A kto jest z tobą?

— Dzień dobry. Jestem z Klubu Osadników i przyszedłam po owce.

— Co takiego?! — zagrzemiał.

— Nie udało mi się ich przekonać. Przykro mi — wyjaśniła Daphne przepaszającym tonem.

Reżyser potrząsnął głową.

— Więc się wynoś! Obie się wynoście! Zepsujcie mój film! Zabierzcie owce! Gdzie indziej znajdę sobie nowe!

— Wyrzucasz mnie? — zapytała Daphne.

— Chyba tak można to nazwać.

Daphne pobiegła po ubrania, które przyniosła rano, Janey zaś ruszyła ku owcom. Kiedy złapała Dolly, jedno oko wyleciało i potoczyło się na podłogę. Szybko je złapała i wsunęła w oczodół, zauważając przy tym, że drugiego oka też nie ma. Uniosła wełnę z oczu Bah-Baha — on też był jednooki.

— Pośpieszcie się! — polecił Jacques. — Wynoście się! Nie mogę znieść waszego widoku!

Janey schyliła się, szukając brakujących paciorków.

— Już was nie ma! — wrzasnął.

— Nie mają oczu — wyjaśniła Janey. — Muszę je odzyskać.

— Poszuka ich pani kiedy indziej. Teraz muszę kręcić film.

Poczucie siły, które Janey odkryła w sobie, jadąc taksówką, nie zmalowało.

— Nie wyjdę, póki ich nie znajdę!

— Pomóście jej szukać tych oczu!!!

— ryknął Jacques. Zaraz też jego asystenci padli na kolana.

— Dość tu zakurzone — mruknął jeden.

— Daję wam trzydzieści sekund — oznajmił Jacques. — Czas to pieniądz.

Z jednego kąta rozległ się głos:

— Znalazłem jedno! Było pod kaloryferem!

— A ja znalazłem drugie!

Obaj asystenci podeszli do Janey i wręczyli jej błyszczące kamyczki.

— WYNOŚCIE SIĘ!

Janey wepchnęła oczy do kieszeni

płaszczka i złapała Dolly w obie ręce. Zawołała Daphne, lecz jej już nie było.

— Czy ktoś może mi pomóc zanieść drugą owcę na dół? — poprosiła. — Będę bardzo zobowiązana.

Co najmniej sześciu asystentów rzuciło się ku niej, tratując się wzajemnie. Po dwóch minutach Janey stała już na chodniku razem z Dolly Bah-Bahem. Nigdzie nie widziała jednak taksówki.

— No cóż — powiedziała, wyciągając z torebki telefon — będę musiała zadzwonić do agencji wynajmującej samochody. — Nowo odkryte poczucie siły jakoś nie zniknęło. — Mam dwoje bardzo ważnych pasażerów — oznajmiła do słuchawki.

— Chciałabym limuzynę, najlepiej długą!

78

W klubie tymczasem aż wrzało. Stanley ze swą wierną kamerą w ręku chodził za personelem i uczniami ze szkoły kamerdynerów, podczas gdy ci polerowali wszystko wokół, ustawiali świeże kwiaty w pomieszczeniach na parterze, gdzie miało odbyć się przyjęcie, przygotowywali dania w kuchni i nakrywali stoły. Cały parter aż lśnił czystością. Clara od wczesnego ranka harowała jak wyrobница i teraz była już wykończona.

— Claro, może zostaniesz na

przyjęciu? — zaproponował Thomas.

— Żeby pracować? — zapytała z niedowierzaniem.

— Nie, żeby się bawić.

— To co innego.

— Masz ubranie na zmianę?

— W szatni trzymam suknię i ładne buty, bo moja siostra czasami w ostatniej chwili dostaje zniżkowe bilety do teatru, więc na wszelki wypadek chcę być gotowa...

— Bardzo dobrze — przerwał jej Thomas. — Jeśli chcesz odpocząć, możesz położyć się na kanapie w moim mieszkaniu.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Clara podejrzliwie.

— Doskonale — odparł. —

Zdecydowałem, że skoro spadamy, to równie dobrze możemy ostatnie chwile przeżyć przyjemnie.

Clara się zamyśliła.

— To trochę jak w tych filmach, kiedy bohater umiera, a potem wraca do życia i wszystko bardziej go cieszy.

— Coś w tym rodzaju. — Popatrzył przez frontowe okno. — O mój Boże!

Clara podążyła za jego wzrokiem.

— Janey z owcami wysiada z długiej limuzyny!

— Teraz rozumiesz, dlaczego się w niej zakochałem — powiedział Thomas cicho.

— Jeśli ją kochasz, to lepiej pomóż jej zatańczyć owce do środka.

Za ich plecami pojawił się Stanley.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Wróciły owce Nata i Wendy — wyjaśnił Thomas, biegnąc do drzwi.

— To mi się podoba! — wykrzyknął Stanley, filmując limuzynę i owce przenoszone przez próg klubu. — Na pewno będę mógł to wykorzystać.

Thomas i Janey zanieśli zguby do salonu pod baczny okiem kamery.

— Jeśli te owce są takie ważne, to powinniśmy jakoś je wyeksponować — powiedział Stock. — Świetnie wyjdą na filmie.

— Ale jak? — zapytał Thomas. — Miałem zamiar postawić je koło kominka.

Stanley pokręcił głową i rozejrzał się wokół.

— A może postawimy je na platformie koło okna? Wyglądałyby rewelacyjnie. Wiesz, jak w niektórych restauracjach rozmaite rzeczy wiszą na ścianach? Owce mogłyby trzymać straż w klubie jak wartownicy przed pałacem Buckingham. A jeśli będą wysoko, zobaczą je ludzie z ulicy.

— Brzmi wspaniale — odezwała się Janey. — A pomiędzy nimi możemy postawić wielki tort.

— To ty jesteś wspaniała — oznajmił Thomas. — Przywiozłaś je z powrotem.

Clara przewróciła oczyma, a następnie zwróciła się do Stanleya:

— A kto zbuduje platformę?

— Ja. W końcu przekształciłem

stację benzynową w dom.

— Thomasie — odezwała się Janey — idę teraz do siebie po tort i ciasta.

— Jeśli zadzwoni pani Buckland, to proszę cię, nie odbieraj! — zawołał za nią Thomas.

Janey wybiegła ze śmiechem. W kieszeni brzęczały jej owcze oczy.

— Thomas — odezwał się Stanley. — Wiem, z czego zrobić tę platformę.

— Chcesz jakiegoś kamerdynera do pomocy?

— Ja mu pomogę — oświadczyła Clara. — To będzie świetna zabawa.

Osadników gotów był na swój łabędzi śpiew. Dolly i Bah-Bah stały na udekorowanej platformie w oknie, a pomiędzy nimi wznosił się dumnie wspaniały tort ozdobiony wstążkami i kolorowym groszkiem. W kuchni kelnerzy kończyli przygotowywanie przystawek. Maldwin powtarzał zasady etykiety swoim słuchaczom, którzy w oficjalnych strojach stali wokół niego, trzymając srebrne tace na drinki. Z wieży płynęła muzyka klasyczna, na palenisku sztuczne płomyki skakały po sztucznych polanach, a Clara w kwiecistej sukience z krótkimi rękawami i ładnych, choć tradycyjnych butach, stała na drabinie, strosząc owcom wełnianą sierść.

— Nat byłby z was bardzo dumy —
powiedziała.

— Może ci pomóc?

Clara spojrzała w dół. To był
Blaise, jeden ze studentów Maldwina.

— Dziękuję, ale nie — odmówiła
stanowczo.

— Na pewno?

— A czy ja wyglądam na niepewną?
Poza tym wszystko już gotowe. —
Odwróciła się do niego plecami. Na
zewnątrz zapadł już zmierzch, ale
widziała przechodniów którzy
zatrzymywali się na chodniku i patrzyli
na owce. Pomachała do nich wesoło.

Tymczasem Janey wracała do klubu
ze swojego mieszkania z torbami
pełnymi deserów. Była to już jej druga

wyprawa, w czasie pierwszej przyniosła tort. Zanim wzięła prysznic i przebrała się, okazało się, że jest już późno. Teraz biegiem pokonała schody i wpadła do salonu.

— Claro! — zawołała. — Owce wyglądają wspaniale! Mam dwoje oczu, zapomniałam je włożyć.

Clara dopiero co zeszła z drabiny.

— Ja je włożę — zaproponował Blaise.

— Lepiej pomóż pani przy tych torbach — wtrącił Maldwin.

Janey wyjęła z kieszeni płaszcza dwa kamienie, które znaleziono na podłodze strychu Jacques'a Harlowa.

— Chciałabym sama to zrobić — powiedziała, wręczając torby

Blaise'owi. — To reszta ciast i ciasteczek. Proszę zanieść je do kuchni.

Blaise zadrżał na widok brylantów w dłoni dziewczyny, która ruszyła szybko w stronę drabiny.

— Claro, gdzie jest Thomas? — zapytała.

— Tu jestem, kochanie — odezwał się z progu. — Pomogę ci, dobrze?

— Nie, sama to zrobię. Dolly i Bah-Bah stracili po oku, kiedy byli poza domem. Ale już je znaleźliśmy, prawda? — Umieściła na miejscu lewe oko Dolly i prawe Bah-Baha.

— Teraz wszystko jest po prostu idealne! — zawołała Clara. — Możemy zaczynać przyjęcie.

Archibald stał przy oknie z lornetką w dłoni.

— Mój Boże! — wykrzyknął. — To miejsce zmienia się w zoo.

— Co to znaczy, mój drogi? — zapytała Vernella, wyłaniając się z garderoby w długiej sukni i z perłami na szyi.

Z sypialni na górze zszedł Thorn. Ubrany był w aksamitny smoking.

— Co ja słyszę?

— Oni naprawdę są żalosni! W oknie postawili owce.

— Jak u rzeźnika! — skomentował Thorn, zapalając fajkę.

— Nie sądziłem, że sytuacja może

jeszcze się pogorszyć, tym razem jednak przeszli samych siebie — oświadczył Archibald. — Kiedy przypominam sobie park z mojego dzieciństwa, widzę, jak zmienił się w cyrk...

Vernella objęła go w pasie.

— Nie martw się, najdroższy. Przywrócimy mu dawną świetność. Kiedy kupisz Klub Osadników, będziemy królem i królową Gramercy Park.

Archibald uśmiechnął się z dumą.

— Tak sędzę. A ty kim będziesz, kuzynie?

Z kącika ust Thorna, który gryzł fajkę, pociekł mały strumyczek śliny. Będę bogiem ognia, pomyślał, głośno zaś powiedział:

— Och, przypuszczam, że będę wizytującym księciem.

— Nie ty! — Archibald się roześmiał. — O wiele bardziej do ciebie pasuje rola dyktatora. A teraz otwórzmy szampana.

81

O siódmej trzydzieści w Klubie Osadników było już tłoczno. Samotni Lydii, obecni członkowie klubu i kandydaci oraz grupa uczestników konferencji Nory dobrze się bawili. W tłumie pojawili się nawet żądni przygód awanturnicy, którzy kupili bilety wstępu w ostatniej chwili, przeczytawszy o uroczystości w gazecie.

Z pozoru wydawało się, że to udane przyjęcie w uroczym klubie. Czy jednak tak było? Stanley uwieczniał roześmianych gości na taśmie. Reporterka, która w „New York World” rozgłosiła skandaliczną historię, nie ośmieliła się pokazać.

Regan krążyła po sali, wypatrując Georgette, lecz jak dotąd nigdzie jej nie dostrzegła. Clara popijała wódkę z martini. Thomas i Janey dokładali starań, by jak najlepiej grać rolę gospodarzy. Lydia gawędziła z grupą osób w kącie, bez wątpienia próbując zwerbować ich na swoje wieczorki. Maldwin pilnował kamerdynerów, którzy dbali, by wszyscy mieli drinki. Daphne nie przyszła. Tak zdenerwowała

się na Thomasa z powodu owiec i utraconej szansy na role w filmach Jacques'a Harlowa, że Regan właściwie trochę jej współczuła.

Gdyby tylko był tu Jack, pomyślała, dołączając do kręgu gości otaczających jej rodziców.

— Te owce są niezwykle interesujące — mówiła Nora. — Podobają mi się.

— Podobały się też pewnemu reżyserowi, który w ogóle nie chciał ich oddać. Chyba są znacznie cenniejsze, niż można by pomyśleć na pierwszy rzut oka — wtrąciła Regan.

— A ich oczy rzeczywiście ładnie błyszczą — zauważyła Nora.

Koło platformy z owcami kręciła się

jakaś ciemnowłosa kobieta i od czasu do czasu na nie spoglądała. Regan wydała się znajoma, choć była pewna, że nie spotkała jej na wieczorku Lydii.

— A oto Kyle Fleming — oznajmiła Nora, widząc w progu agenta. — Regan, powinnaś go poznać. Miał rewelacyjny wykład o oszustach.

— Bardzo żałuję, że mnie tam nie było — odrzekła Regan.

Thomas miał wygłosić toast, zanim goście zaczną częstować się przystawkami o ósmej, poszedł więc do swego gabinetu po notatki. Ciężko pracował nad swoją krótką mową. Jeśli istniała jakaś szansa na przyciągnięcie do klubu nowych członków, to teraz albo

nigdy.

Zamknął za sobą drzwi, podszedł do biurka i usiadł. Kiedy uniósł głowę, naprzeciw zobaczył opierającą się o ścianę Daphne. Po jej policzkach płynęły się strumienie łez.

— Daphne!

— Możesz wyjść ze mną? — zapytała łamiącym się głosem. — Potrzebuję świeżego powietrza. Nie chcę, by ktoś zobaczył mnie w tym stanie.

— Naturalnie!

— Regan, nie wiesz, gdzie jest Thomas? — zapytała Janey.

— Nie widziałam go.

— Nie ma go w gabinecie, a zaraz

powinien wygłosić toast.

— Przepraszam!

Wszyscy odwrócili się w kierunku mężczyzny, sprawiającego wrażenie, jakby wypił o kilka kieliszków za dużo, który wspiął się na platformę w pobliżu owiec. Machnął obiema rękami.

— Chciałbym coś wam powiedzieć — wybełkotał. — Na imię mam Burkhard i przypuszczam, że niektórzy z was są bywalcami przyjęć dla samotnych urządzanych przez Lydię Sevaturę. Pomyślałem, iż powinniście wiedzieć, że ona sobie żartuje...

— Aaach!! — Lydia ruszyła przez pokój niczym jeden z byków biorących udział w biegach w Pampelunie i potraçała konstrukcję. Burkhard się

zachwiał, poruszył platformą, na której stały owce, i wylądował na rocznicowym torcie.

Ten nagły ruch sprawił, że jedno oko Dolly potoczyło się na podłogę. Kiedy Regan pośpieszyła w tamtym kierunku, ciemnowłosa kobieta, która wcześniej tak często przyglądała się owcom, uklękła, a pokryty lukrem Burkhard stoczył się na nią.

Regan pochyliła się, by pomóc mężczyźnie wstać, i w tym samym momencie zobaczyła, jak dłoń kobiety zamyka się na owczym oku. I nagle wszystko stało się jasne. „Moje oczy są tylko dla ciebie”. Brylanty. Iskrzące oczy.

— Jaskierek! — zawołała Regan.

Głowa Georgette odruchowo odwróciła się w kierunku, skąd dochodził głos.

— To ty, Georgette, prawda? — powiedziała Regan. — Może mi to oddasz?

Kobieta wolną ręką sięgnęła do buta, wyjęła broń i pobięła ku drzwiom.

Tłum z krzykiem rozstępował się przed nią. Regan jednak rzuciła się w pogoń i złapała przestępczynię od tyłu.

— Nie, Georgette! — krzyknęła, gdy rewolwer wystrzelił w powietrze, dziurawiąc jeden ze starych portretów na klatce schodowej. Regan wytrąciła broń z dłoni kobiety i przycisnęła ją do podłogi.

Zza palców Regan zadudnił głos Kyle'a Fleminga:

— Georgette, jak miło znowu cię widzieć.

Pojmana zaczęła wrzeszczeć, gdy Regan odebrała jej brylant, a Kyle zręcznie zamknął kajdanki na jej przegubach.

Regan pobiegła z powrotem do platformy, podniosła drabinę z podłogi, wdrapała się po szczeblach i szybko wyjęła pozostałe trzy brylanty z oczodołów Dolly i Bah-Baha. Odwróciła się do tłumu gości i zawołała:

— Zaginione brylanty!

— Klub jest uratowany! — zawołał ktoś. Odpowiedziały mu wiwaty.

W tej samej z progu rozległ się głos Janey:

— Regan, nigdzie nie mogę znaleźć Thomasa!

Zanim Regan zdążyła się odezwać, z kuchni wybiegła Harriet.

— Pożar! — krzyknęła, pędząc do wyjścia.

Po raz kolejny tłum ogarnęła zbiorowa histeria. Klub był zatłoczony i teraz wszyscy jak na komendę odwrócili się na pięcie i ruszyli ku drzwiom.

Regan zobaczyła, że w progu stoi Jack.

— Jack!

— Regan, kim była ta kobieta, która wołała o pożarze?

— To Harriet, jedna z uczennic

szkoły! — odkrzyknęła Regan. Wokół pełno było dymu.

Jack pobiegł w kierunku kuchni.

— Regan, muszę odnaleźć Thomasa!

— krzyczała Janey.

Nora i Luke kierowali uciekającymi gośćmi. Regan mijając ich, zawołała:

— Wychodźcie! My musimy znaleźć Thomasa. I obawiam się, że nie jest sam.

— Idę z tobą — odparł Luke.

— Ja też — dodała Clara.

Razem pobiegli przez zadymiony hol.

— W gabinecie go nie ma! — zauważyła Regan.

— To gdzie on może być? — jęknęła Janey.

Clara wzięła z biurka główny klucz.

— Sprawdźmy u Daphne —
powiedziała Regan. Znowu pobiegli
holem, wołając Daphne i Thomasa.
Regan zadudniła pięścią w drzwi
mieszkania. — Daj mi klucz — poleciała
Clarze.

Otworzyła drzwi i zapaliła światło
w holu.

— Daphne!

Zajrzała do sypialni i zobaczyła
piętrzący się na łóżku stos ubrań. Czy to
możliwe, że Daphne ukryła się pod
nimi? Regan nacisnęła kontakt, po czym
razem z Clarą, która nie odstępowała jej
na krok, podbiegła do łóżka i podniosła
sweter z wierzchu. Nikogo tam nie było.

— O mój Boże! — wykrzyknęła
Regan.

— Słodki Jezu! — zawtórowała jej Clara.

Do prawego rękawa swetra przyczepione były dwie aplikacje w kształcie owiec.

— To Daphne zabiła Nata! — zawołała Regan z przerażeniem.

— I jest wściekła na Thomasa! — zapłakała Janey.

— Idziemy! — zakomenderowała Regan.

— Założę się, że są na tylnym dziedzińcu! — oświadczyła Clara.

Przez hol, w którym gęsto było od dymu, pobiegli ku schodom. Na dole skierowali się do tylnych drzwi. Daphne atakowała Thomasa olbrzymim nożem.

— Daphne! — wrzasnęła Regan.

Kobieta odwróciła ku niej głowę. W jej oczach błyszczała nienawiść.

— Zniszczył moją karierę!

— A Nat co ci zrobił? — zapytała Regan, wyciągając rewolwer Georgette, który miała w kieszeni.

— Byłam dobra dla niego i Wendy. Po jej śmierci zależało mu jednak tylko na przyjaciółach, z którymi grał w karty. Chciałam, żeby był ze mną! A on znalazł sobie kogoś innego! Wiem, że tak było! I nic mi nie powiedział o brylantach! Wściekłam się, gdy o nich usłyszałam. Nat mnie zdradził!

— Daphne, oddaj nóż — odezwała się Regan łagodnym tonem.

— Nie!

Obok nich Thomas chwiał się na

nogach.

— Odłóż go.

Po chwili Daphne upuściła nóż, a w jej oczach pojawiły się prawdziwe łzy.

— Straciłam wszystkie szansę. Nat...
kariera aktorska...

Thomas i Janey po raz kolejny padli sobie w ramiona. Regan podniosła nóż i zwróciła się do Luke'a:

— Tato, możesz go wziąć? Muszę zadzwonić.

Wyjęła telefon i wykręciła numer domowy Edwarda Golda.

— Czy może pan przyjechać tu wkrótce z tym poświadczonym czekiem?

— zapytała.

— Co? — krzyknął Thomas.

Regan wyciągnęła dłoń, na której

leżały cztery brylanty. Teraz przyszła kolej na Thomasa, by zapłakać.

— Były w oczodołach Dolly i Bah-Baha. Janey wspaniale zrobiła, że przywiozła owce do domu. Thomas zwrócił się do Janey:

— Wyjdiesz za mnie?

W holu dym już się rozwiewał. Regan pobiegła szukać Jacka. Był w kuchni, razem z Harriet, która miała na nadgarstkach kajdanki.

— Regan — powiedział Jack cicho i przytulił ją mocno.

Wreszcie się doczekałam, pomyślała Regan.

— Nasza panienka sprytnie podłożyła ogień — wyjaśnił Jack. —

Teraz idę złożyć wizytę jej ukochanemu, Thornowi Darlingtonowi, który zatrzymał się naprzeciwno. Razem doprowadzali do ruiny każdą konkurującą z nimi szkołę kamerdynerów. Ponieważ uznali, że w Nowym Jorku nikt nie rozpozna Harriet, zapisała się na zajęcia do Maldwina.

Dziewczyna prychnęła gniewnie.

Feckles pomagał sprzątać bałagan w kuchni.

— Powinienem był wiedzieć, że Thorn spróbuje infiltrować moją szkołę. Nigdy mnie nie lubił — powiedział. — Ale ja mu pokażę! Zamierzam dalej prowadzić moje zajęcia. Przynajmniej pozostała trójka to porządni ludzie.

— Raczej dwójka! — zawołał Kyle

Fleming z progu. — Szukam tego Blaise'a już od jakiegoś czasu. Jego też aresztowaliśmy.

Maldwin o mało nie zemdlął.

Po drugiej stronie ulicy Vernella i Archibald ze zdumieniem patrzyli na dym unoszący się z rezydencji.

— To straszne! — powiedział Archibald. — Zależało mi na upadku klubu, lecz nie chciałem, żeby komuś stała się krzywda. Nie wspominając już o tym, że pożar wyrządzi znaczne szkody w moim budynku!

Dostrzegli nagle, że jakaś postać odrywa się od tłumu i śpieszy w stronę ich domu. Zaraz też rozległ się dzwonek do drzwi. Archibald i Vernella

wymienili spojrzenia.

To był Jack Reilly.

— Czym mogę panu służyć? —
zapytał Archibald.

— Zastałem pana Thorna
Darlingtona?

— Kuzyn Thorn jest w swoim
pokoju na piętrze.

— Przyszedłem go aresztować pod
zarzutem współudziału w podpaleniu.

— Zhańbiłeś imię naszej rodziny! —
zawołał Archibald, odwróciwszy się do
stojącego na szczycie schodów kuzyna.

— I zniszczyłeś nasze szansę na
zostanie parą królewską Gramercy Park!
— warknęła Vernella, po czym odebrała
Thornowi kieliszek szampana.

W godzinę później goście wrócili do salonu; pożar został opanowany i nic już nikomu nie groziło. Pojawił się Edward Gold z żoną, trzymając w ręce olbrzymi poświędzony czek na cztery miliony dolarów, wystawiony na Klub Osadników.

— Przyjechalibyśmy wcześniej, gdyby nie te okropne korki.

— Wcześniej! — wykrzyknęła jego żona. — Pędził jak szaleniec!

Thomas wdrapał się na rusztowanie, by wznieść toast. Zebrani unieśli kieliszki. Regan i Jack stali koło kominka, Clara obok nich. Nora i Luke towarzyszyli uczestnikom konferencji, a Lydia zajmowała się swymi samotnymi, z których dwoje obejmowała niczym

matka własne dzieci. Burkharda wyprowadzono z klubu; okruchy tortu i lukru przykleiły się do jego jedyne­go dobrego garnituru. Maldwin stał pomiędzy swoimi dwoma lojalnymi uczniami, Albertem i Vinniem, którzy nagle wyglądali na wykwalifikowanych kamerdynerów. U stóp drabiny Janey z podziwem wpatrywała się w narzeczonego, a członkowie klubu oddzielili się od pozostałych, bo nieoczekiwanie ogarnęła ich duma, że stanowią część takiej instytucji.

Stanley z przejęciem filmował wszystko. Mój program będzie wprost niewiarygodny, pomyślał z radością.

— Chciałbym wznieść toast za pamięć Nata i Bena. Dzięki nim Klub

Osadników będzie istniał. Przed nami jest wspólna przyszłość, wiele lat owocnej pracy pośród tych zadymionych ścian.

Odpowiedział mu śmiech; goście wypili doskonałego szampana, a Dolly i Bah-Bah stały na straży klubu.

— Jutro przy lunchu będziemy mieć sobie sporo do opowiedzenia — zwróciła się Nora do Luke'a i Kyle'a.

— Szkoda, że nasza przyjaciółka Georgette nie będzie mogła wziąć w nim udziału — roześmiał się Kyle.

— W jednym ze swoich wcieleń — dodał Luke.

Jack uśmiechnął się do Regan.

— I co teraz robimy?

— Zdawało mi się, że planowaliśmy

wyjazd do Kalifornii.

— Nie mogę już się doczekać.

— Ja też — odrzekła Regan, splatając palce z jego palcami.

— Wiecie co — pomiędzy nich wsunęła się Clara — w zeszłym roku pojechałyśmy z siostrą do Kalifornii. Było cudownie...

Jack uścisnął dłoń Regan.

Naprawdę nie mogę się już doczekać, pomyślała, oddając mu uścisk.

— A jechaliście kiedyś samochodem wzdłuż wybrzeża? — ciągnęła Clara. — Jest wspaniale, wprost rewelacyjnie. Powinniście spróbować...